

JAN CZAR

Rece

BIJA

DZWONY

ŁOMŻA — NAKŁADEM
BIBLIOTEKI DOBRYCH KSIĄŻEK

Jan Czar

Bija dzwony...

**Rozważania
religijno-moralne**

ŁOMŻA

AKLADEM „BIBLIOTEKI DOBRYCH KSIĄŻEK”

NIHIL OBSTAT

Ks. M. Piaszczyński
cenzor

Łomża, 25. I. 1937



IMPRIMATUR

Fr. Wądołowski, Prael. S. S.
Vicarius Generalis

Łomżae, d. 16 Julii 1937 a.

Nr. 2612/37

Drukarnia Diecezjalna
w Łomży.

W poszumie lasów augustowskich, nad błękitami pięknych jezior, powstawały te „rozważania”.

Ich tłem — obecna walka duchów, jaka zawrzała na globie. Z każdego zakątka ziemi słyhać jej echo podwójne... Pod krwawy swój sztandar nawołują okrzyki oszalałych szatanów... I potężnie, majestatycznie, z powagą Boską Ewangelii — — —

— — — BIJĄ DZWONY!

Wiem... Cudownym echem wiary drgają coraz potężniej serca młode — najwyższej inteligencji — które walkę z duchami zła podjęły, poprowadzą i zakończą triumfem Krzyża.

Im też poświęcam te myśli „religijno-moralne”...

Aby to, co mi do serca o BOGU poszepnęła piękna natura, tysiącom ich religijnie nastrojonych serc odszepnęły te stronic.

Jan Czar

Mikaszówka 8. II. 1937.

W NOC WIGILIJNĄ. *)

Przez niebo płyną — hen, z wysokich wieżyc
dzwonów śpiewania, jak aniołów chóry:
niebios wysłańcy lecą, szemrząc pióry,
z tych mgieł srebrzystych, z tych przelotnych śnieżyc.

Kędyś na polach okna zagród świecą,
jak gdyby jasne betlejemskie łuny:
snadź Narodzenia Pańskiego zwiastuny
między gromadę zestąpili kmiecią —

i niosą owo błogie zwiastowanie
na mrocznym smutkiem obciążoną ziemię,
że narodzony dzisiaj w Betlejemie
Zbawiciel świata spoczywa na sianie...

O Chryste, wielki niebios Gospodzinie!
Tę nędzną szopkę i ten żłóbek mały
obrałeś sobie za pierwszą świątynię,
skąd miały rozbrzmieć pienia Twojej chwały: —

me serce lichsze, niż żłóbek i szopka,
lecz wiem, że chętnie w nim zamieszkasz, Panie,
gdy będę wiarę miał, umiłowanie
i tę prostotę ubogiego chłopka...

Daj mi tę miłość i prostotę!... Daj mi
z ufnością patrzeć w czarną, smutną dolę...
Daj śpiew anielski słyszeć, co oznajmi
ludziom, mym bliźnim, pokój — dobrą wolę!...

JÓZEF BIRKENMAJER.

*) „Rodzina Polska”.

BIJĄ DZWONY...

Cicho, powoli, jak z oczu ludzkich nie-
przeplakane łzy, płyną zwolna z niebieskich
przestworów srebrne, puszyste, gęste płatki
śniegu.

Jakby w zamieć wiosenną, kiedy wiatr
niesie zawieruchę wonnych kwiatów wiśni
i czeremchy, padają kruche, mokre, iskrzące
pyłki śniegu i otulają ziemię w wełnistą, bia-
łą chustę. Tymczasem z niewidzialnych dróg
zsuwa się noc i na świat schodzi błogosławio-
na, wyczekiwana przez człowieka — cisza...

A w tej ciszy — noworoczne biją dzwony.

Gdzieś po rozstajach śnieżnych, po zasy-
panych szlakach, po puszystej powodzi świata,
płyną i rozpływają się ich stokrotne echa.
Jakby w spiżu serce zatętniło mocarnym
drgnieniem na tę wieść — upragnioną, czy też
dziwną — że ku ludziom idzie Rok Nowy.

Rok idzie nowy, ale starą pieśń mu grają
dzwony. Dźwięk ich potężny, gromowy z wie-
życ miliona, wśpiewuje weń nieprzedawnioną
nigdy, wiecznie młodą treść. O niej mówi
Księga ksiąg — ewangelia, której głoskę każdą
należałoby rzeźbić z brylantów.

Było to przed wielu wiekami — mówi ta
księga. Nad pola betlejemskie, w łunach gwia-

zdy cudownej, zawitał anioł. O północy zbudził pasterzy, stróżujących wpołsennie przy stadach owiec i rzekł do nich: „Zwiastuję wam wesele wielkie! Oto się wam dziś narodził Zbawiciel, Chrystus Pan, w mieście dawidowym“.

Przebrzmiał, ale nie zamarł głos anioła. Zbudził falę radosną pośród gwiazdnych sfer, która jednym rzutem przelała się w niebiosa, ogarniając chóry duchów i popłynęła w dal wieków i ziem, zagarniając serca ludzkie.

Bóg się rodzi, moc truchleje,

Pan niebiosów — obnażony.

Ogień krzepnie, blask ciemnieje,

Ma granice — Nieskończony...

W tej chwili jej rytm i mnie dotyka, potrąca o serce moje, duszę ogarnia... Z wysokości gdzieś, spod kopuły niebios, wielką, wszechświatową chwałą Nowonarodzonego noworoczne biją dzwony.

Rzekłbyś, głos anioła z pól Betlejemu stokrotnym echem powtórzony, potężnie znów a słodko się rozlega: „Wesele wielkie zwiastuję wam!“ Niebu i ziemi, dolinom i górcom, wioskom, miastom, krainom. Na wschód czy na zachód, na południe czy na północ idę — dla wieści radosnej nigdzie nie masz rubieży. Choćby legie zbrojne stanęły na jej drodze, choćby jej przepaści kopano pod stopami, ona w legiach serca stalowe na ludzkie zamieni, przepłyśnie oceany, przekroczy wirchy lodowe

Alp, Himalajów, Kordyliarów, pokruszy chińskie mury, roztrąci czerepy bożyszcz, pogruchoce bałwany pogan...

Wesele tak wielkie zwiastując nam, z kościelnych wieżyc biją dzwony.

Z falą radosną ich dźwięków płynie myśl, okrąża, obejmuje świat cały.

I powstają przed oczyma duszy, idące w nieskończoną dal, jakby rozszerzone, ubogie pola Betlejemu. Ziemie, morza, oceany... Srebrne śniegi tatrzańskie i złote piaski Egiptu... Znaczone wąskimi punkcikami na mapach grząskie tundry i przemiatane suchymi wiatrami drogi Sahary... Tu i tam na tych przestrzeniach okiem nieobjętych wyrastają domy, skupienia domostw... To wioski i miasta wszystkich krain, wszystkich narodów... Ale wszystko to — jedno betlejemskie pole świata, rozesłane na obszarach pięciu lądów wokół żłóbka Zbawiciela.

Pod licho skleconymi szafasami — pałaców czy chat — w mrokach nocy doczesnej, wszędy obozują pasterze... Ludzie i ludy. Każdy ma swoje owce, swoje mleko i runo, którego strzeże zazdrośnie i czujnie, upadając z utrudzenia...

A nad nimi gwiazdy chodzą, siejąc złote blaski niebios. I z wieścią zbawczą, radosną, rok w rok potężniej, widomiej, rozgłośniej — przepływają aniołowie. I w dal noworoczną gromowym głosem biją dzwony:

— „Zwiastuję wam wesele wielkie — — —
Bóg się rodził!”

Już Europa, Ameryka i Azja, Afryka i Oceania pełne są dźwięków tej anielskiej nowiny... Jak serca betlejemskich pasterzy, wciąż otwierają się na jej przyjęcie serca koczowników na łańcach doczesności. Liczba ich za dni naszych przekracza czterysta milionów. Niebawem będzie pół miliarda, miliard...

To też w dal noworoczną biją dzwony. Wołają, nawołują, aby do złóbka Zbawiciela niezwłocznie pośpieszyli wszyscy!

Czegoż się bowiem wahać, zwlekać i obawiać, lub uchodzić precz od złóbka?

Któż się ulęknie prześlicznej, młodziuchnej Matki i Panny? Kogo przerazi widok małej Dzieciny, która wyciąga do niego rączęta stęsknione.

I ja się przeto odważę! Pójdę do Betlejem, gdzie oczekuje na mnie wesele wielkie... Bóg mój i Pan—Zbawiciel duszy mojej...

Potężnym tętnem serc, w rozsrebrzoną dal—noworoczne biją dzwony!

ŻYCZENIA NOWOROCZNE

Z BOGIEM

Mam żywo przed oczyma obraz, pełen niezwykle silnych akcentów, pędzla współczesnego, włoskiego malarza.

Na samotnej, nagiej skale, którą zorały wieki i pioruny, klęczy cień człowieka — ślepiec. Okrywają go łachmany, podarte obuwie ma na nogach, twarz wychudłą, zbiedzoną, niemytą. Jakiś strzęp kapelusza wala się u jego nóg na głazach. Dwa puste oczodoły ślepca patrzą beznadziejnie w mroczną dal, co idzie hen, w nieskończoność. Choćby nie wiem jak wysilił swój zamarły organ wzroku, nic mu to nie pomoże.

I tak się męczy sam, opuszczony, bezradny...

Ale dłonie ślepca szukają ratunku, wyciągają się przed siebie. Jedna ręka namacała drzewo krzyża, stojące tuż obok i sięgające w niebo ze szczytu skały. To mu dodaje otuchy. Mimowiednie i druga ręka chwyta za trzon krzyżowy. Pod smutnymi oczodołami wyraz twarzy się rozjaśnia, rozpogadzają zbolełe rysy. Odnalazł źródło siły i pomocy. W krzyżu zbawienie... Chrystus odtąd będzie mu światłem, przewodnikiem, pociechą. Jemu zaufał. On go nie zawiedzie, nie opuści. Pój-

dzie z nim i przeprowadzi przez otchłanną, mroczną dal...

Nie wiem, co myślał malarz, wyczarowując na płótnie postać ślepcą, skałę i krzyż, rozcinający błyskawicami ramion mrok otchłani. Czy chciał przedstawić tylko zwykłego ślepcą, szukającego oparcia w Bogu, czy też wielkiego ślepcą — ludzkość współczesną?... Wszystkie rządy i narody, jakby ociemniałe w swej dziejowej drodze, otoczone mrokami otchłannej nocy. Nie wiedzą, dokąd się udać, czego szukać, jakiemu przewodnikowi zaufać...

Rok nowy, w który wkraczamy, możemy podobnie odmalować. Niewielka to przyszłość, zaledwie 366 dni, ale ten krótki okres czasu jest dla każdego z nas otchłanią, pełną mroków o zasięgu nam nieznanym. Zawsze jakiś trwoźny dreszcz owłada nami na myśl — co nam nowy rok przyniesie? Ludzie, co prześlizgują się po powierzchni życia, witają go tańcem, pieśnią, zabawą, muzyką i winem. Jakby na znak, że tego tylko się po nim spodziewają. Wesela, radości, upojeń i szczęścia...

Ale ci spośród nas, co już więcej lat przeżywali, którzy wiedzą z doświadczenia, że życie ludzkie nie jest igraszką, patrzą w nowy rok, jakby przez gęstą mgłę, witają go z zadumą na czole, troską w sercu:

— Nowy Rok? — czy wrogiem nam będzie, czy druhem?

Nie znając ciemnej przyszłości, musimy

naśladować owego ślepcą, który w mrocznej otchłani na samotnej skale, obejmuje ramionami krzyż. W otchłań przyćmioną nowego roku iść winniśmy według wskazówek starego hasła: — z Bogiem!

Nakazywał nam Chrystus, abyśmy wszyscy zwracali się do Ojca w niebie. Nakazywał nam Chrystus, abyśmy w życiu czuli się, jak Jego dzieci. I obiecywał nam, że wtedy jeden włos nie spadnie z głowy naszej bez wiedzy Stworzyciela. Wszystkie bowiem — upewniał — są policzone...

Z Bogiem iść przez życie!

Każdy, kto wiernie zastosuje się do tej woli Jezusa Chrystusa, poczuje na sobie niebawem błogosławione i słodkie jej skutki. Uczuje się naprawdę szczęśliwy, jak dzieci.

Dlaczego dzieci czują się tak pogodnymi, wesołymi, szczęśliwymi. Bo w najgłębszym podłożu ich psychiki króluje to uszczęśliwiająca przeświadczenie: — Nie jestem samo. Z tatusem żyję, z mamusią. — Siły dziecka zawodzą bardzo często, ale to nic a nie go nie przeraża. Ze mną jest tatuś i mamusia — oni złemu zaradzą...

Ta sama psychologia spoczywa w najgłębszych złożach jestestwa i w nas dorosłych. Natura nasza jest nastawiona społecznie. Aristotelesowskie określenie człowieka, jako „animal sociale” — zwierzę społeczne — sprawdza się na każdym z osobna. Rozpacz nas ogar-

nia, ilekroć czujemy się sami, osamotnieni, pozbawieni oparcia w otoczeniu. Potrzebujemy innych, koniecznie potrzebujemy iść przez życie z kimś. A to dlatego, że siły nasze największe, najbystrzejszy rozum, najgenialniejsza intuicja, jednak się kończą. I w pewnych, pionowych chwilach życia same nie wystarczają. Musimy wtedy mieć pomocnika i pomoc.

Stąd ludzie łączą się z ludźmi, wiążą się ściśle i najściślejszymi węzłami, aby iść przez życie zawsze „z kimś drugim”, aby zaspokoić tę społeczną próżnię swego „ja”. Gdy ją zapełnią, gdy znajdą druha, przyjaciela, towarzysza, uspokajają się w głębi duszy, w podświadomości, jak dziecko. Mówią sobie: — Nie jesteśmy sami! — Ciężar trosk życiowych rozkłada się wówczas na kilka bark i staje się lżejszy, łatwiejszy do podźwignięcia, a człowiek czuje się szczęśliwszym.

Towarzystwo ludzkie, współzycie i współpraca innych, równych nam ludzi, wystarcza nam, ale tylko w czasie... w zakresie doczesności. Tymczasem w głębi naszego jestestwa wibruje zagadnienie bytu, domaga się załatwienia. Kładzie się na barki duchowe człowieka wieczność i mówi groźnie: „Podźwignij mnie!” I widzi człowiek z przerażeniem, że dźwigać musi sam, bezwzględnie sam! Najbliżsi i najdrożsi, najsilniejsi i najgenialniejsi, wodzowie i bohaterowie ludów, wobec tej troski jego usuwają się bezsilni. Ludzić mo-

gą najwyżej obietnicami, które pod pręgierzem grobu rozwiewają się, jak mgła. A człowiek widzi i rozumie, że tu najbardziej potrzebuje nie być „sam”. Musi mieć pomoc i pomocnika. Musi—bezwzględnie i koniecznie—bo wie i czuje, że to nie mrzonka, nie zachcianka, nie kaprys wyobraźni, ale najrealniejszy, twarde, jak samo prawo bytu, postulat jego natury ludzkiej.

I wówczas to zbliża się do niego Kościół i mówi: — Ja cię zaprowadzę i oddam towarzyszowi zaufanemu, na którego barki przetrzucisz swe troski i trudy. Nie będziesz sam, ale pójdiesz z Nim. Drogowskazem do Niego—krzyż. Pójdiesz przez życie, rok za rokiem, pogodny, wesoły i nawet szczęśliwy, bo pójdiesz—z BOGIEM!

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!

Tysiące kart pocztowych i biletów z życzeniami noworocznymi okrąża kulę ziemską. Tysiące i setki tysięcy powinszowań krzyżuje się na przyjęciach, „cercle'ach”, zabawach, a zwłaszcza wieczornicach, czy balach sylwestrowych, poprzedzających nadejście tego zwykłego, a tak niezwykle gościa — Nowego Roku. Krewni, znajomi, przyjaciele, czasem nawet wrogowie dla konwenansu przesyłają sobie „serdeczne życzenia”...

— Wszystkiego najlepszego!

Życzenia te tak gęstą siecią oplatają kulę ziemską, że gdyby miały w sobie, jak jej nie mają, siłę twórczą i moc urzeczywistnienia tego, czego życzą, to świat nasz odmieniłby swą postać i oblicze. Z padołu płaczu stałby się powtórny rajem.

Jakże mu jednak daleko do tego!

Nie ucicha płacz, nie ustają troski i trudy, nie zdołano dotychczas przerwać krwawego łańcucha bólów i męczarni i sama dotąd śmierć jest — nieśmiertelną!...

Pomimo to serce ludzkie z każdym rokiem nowym otrząsa się z beznadziei, pręży ku górze, napełnia nową otuchą, że nieosiągalne dotąd wreszcie zostanie osiągnięte i życzy sobie,

życzy innym: — Wszystkiego najlepszego! Pełni dóbr...

Ale zapomina przytem o bardzo prostej, a zasadniczej prawdzie i najczęściej dzięki temu zapomnieniu wszystkie życzenia trafiają w próżnię. Czyż bowiem można mieć „wszystko najlepsze”, jeżeli się nie pomyśli o tym, by stanąć nad źródłem „dobra”?

Wszelkiego dobra źródłem — jest Bóg. I właśnie dzień Imienia Boga-Człowieka umyślił chrystianizm dać jako oparcie, jako początek, jako wskaźnik na źródło dóbr całego roku. Jeszcze dziś wiele narodów kiedy indziej rozpoczyna swój „rok nowy”. Ale wszystkie chrześcijańskie ludy postanowiły od Jezusa Chrystusa oczekiwać „wszystkiego najlepszego”.

Czy to jednak nie ułuda? Czy nie zwykły kwietyzm i sugestia, która w ciągu dwudziestu wieków okrzepła w sercu narodów chrześcijańskich? Czy jest naprawdę na ziemi to przeogromne źródło *wszelkiego dobra*?

Poszukajmy go...

Doświadczenie nas uczy, że istnieją na świecie istoty mniej, lub więcej doskonałe: jedne piastują w sobie mniej, inne więcej dobra. Doskonalsze są rośliny od materii nieorganicznej, od roślin doskonalsze są zwierzęta, od zwierząt ludzie. W ludziach spostrzegamy życie rozumne, którego nie posiadają dwa dziesiątki istot niższych. Zwierzęta mają

Bija

2



życie zmysłowe, którego są pozbawione rośliny, jak i przyroda martwa. Jednym słowem — życie i jego dobra zostały przydzielone jestestwom, ale w stopniu różnym. Na każdym szczeblu zachodzi jakieś ograniczenie bytu, na wszystkich szczeblach zaznacza się nierówność dóbr. W jednych mniej, w innych więcej dobra....

Nie może być zatem żadne z nich — Źródłem Dobra. Są to nikłe źródelka, które ledwo biją, — źródelka dóbr ograniczone! Nie dają „wszystkiego najlepszego!”

Któż je ograniczył?

Kto ograniczył minerały, że nie posiadają doskonałości i dóbr, właściwych roślinom? Kto ograniczył rośliny, że nie mogą się wykazać przymiotami, spotykanymi w świecie zwierząt, albo tymbardziej ludzi? Czyż ograniczyły się same — by się nie przeładować, by innym też coś zostawić?

Niepodobieństwo! — Nikt przecież i nic nie obiera sobie stopnia bytu! Od początku do końca świata ani jedna istota nie wyrokowała o sobie czy chce być atomem, ciałem promieniotwórczym, rośliną, skałą, lwem, orłem, lub człowiekiem!.. Na miliardy tworów — ani jeden!

Któż je za tym ograniczył, skoro same tego nie czynią? Może ich natura?

I to nie! Natura w każdej istocie znajduje się cała. Natura całkowita wody jest w oceanie, jest i w kropli rosy. W małym dziecku i w do-

rośnym człowieku, w czarnym, żółtym, czy białym jest cała natura ludzka. W każdym kwiecie, czy kwiatuszku jest cała natura kwiatu. I tak wszędzie, tak we wszystkich istotach. Natura nie chce być ograniczoną. Najwyraźniej dąży do bezkresu, tworząc mnóstwo istot na każdym stopniu, powołując na pomoc — ich pokolenia.

Jakżeż więc? — Natura każdego jestestwa szuka bezkresu, a znajduje ograniczenia?!

Ktoś inny musi ją ograniczać, urywać z jej dóbr stopniowanych — a Kto?

„Doskonałość ograniczona jest koniecznie doskonałością, pochodzącą od kogoś. Doskonałość bowiem (np. byt, życie, poznawanie...) w swej istocie nie zawiera ograniczenia do pewnego tylko stopnia (poznawania, życia, bytu). Więc jeśli jest ograniczona, to nie sama z siebie, lecz od przyczyny, która jej doskonałościom zakreśla granice. Gdyby i ta przyczyna była też ograniczoną, wróciłby ten sam argument. Aby tedy wytłumaczyć istnienie ograniczonych doskonałości, musimy przyjąć przyczynę bez granic, która jest pełnią życia, poznania, bytu. Tę przyczynę nazywamy—Bogiem.”*)

Oto jest nieograniczone źródło Dobra. Oto krynica wszelkich dóbr—„wszystkiego najlepszego”.

*) Vermeersch. De modernismo p. 58.

Jeśli kto sobie życzy smacznego pokarmu, ożywczego napoju, to nigdy przenigdy nie odsuwa się, nie odwraca od stołu! Pośród życzeń „najserdeczniejszych” umarłby z głodu i pragnienia!

Tak samo — kto sobie lub innym życzy „wszystkiego najlepszego” — nie tylko dóbr wszelkich, lecz dóbr najlepszych i bez ograniczenia — ten niechaj nie ucieka od ich źródła... od Boga! Tam dopiero będzie w pełni nasycony...

„Satiabor, cum apparuerit gloria tua”... Nasycony będę, gdy się ukaże chwała Twoja!

NIE NAM, PANIE, NIE NAM!...

Na początku roku nowego każdy człowiek poważniej myślący zwykle snuje plany i układa projekty na bliższą i dalszą przyszłość, żeby tym rozsądniej, tym pewniej je wykonać.

Plany te bywają różnorodne, bo różnorodne są warunki życia, pobudki, zamiary i cele, jakimi się powoduje każdy w swych dążeniach. Jedna wszelako cecha daje im swoiste zabarwienie. Te plany albo są oparte o Boga, albo dalekie od Niego.

Rosną i zarysowują się coraz wyraźniej oba kierunki w społeczeństwie: — ludzi, żyjących z Bogiem i ludzi, co chcą żyć bez Boga.

Druga ta kategoria w Polsce nie jest jeszcze zbyt liczna, choć z rokiem każdym zdaje się przybierać na liczebności i sile. Stara się przynajmniej olśniewać tupetem — pozorami siły. Jej program zdecydowany na wszystko, śmielszy, niż śmiałość sama. Jej ton i pewność siebie i jaskrawość wystąpień posuwają się niekiedy aż do bezczelności. Jej hasło, uparte i ciasne brzmi: „Nie Panu, nie Bogu, lecz nam!... Nam się należy chwała!... Zupełna, wszelka, za wszystko i wszędzie!”

I coraz gęściej podnoszą się sztandary przeczenia — w obliczu znieważanych krzyków

przydrożnych i zasmuconych kościołów i zdumionej przed ołtarzami lampki wiecznej, co już od dwu tysięcy lat „Królowi wieków nieśmiertelnemu” na chwałę płonie... Nie widzi bowiem, jak dotąd, rzesz niezmiernych, tłumnie garnących się w złotolite, czy ubożuchne progi Jego Domu, zasiadających do jednego z Nim Stołu...

Nie Panu, nie Bogu, lecz im... wszelka należy się chwała... Kłaniają się tylko samym sobie. Sami sobie są sterem, żeglarzem, okrętem — jak mówi poeta — owszem, więcej jeszcze... Sami sobie są morzem, po którym płyną i wiatrem, co żagle rozdyma, i gwiazdą polarną i prądem morskim, co okręt naprzód popycha ku wybrzeżom — grobu!... Nie Bóg lecz oni są wszystkim!

Tymczasem, gdziekolwiek z ziemi naszej w niebo się wznosi znamię krzyża, a z nim łagodny cień Chrystusa pochyla się nad łany, wioski, miasta i dusze ludzkie, — tam inne hasło rozbrzmiewa: „Nie nam, Panie, nie nam, lecz Imieniowi Twemu daj chwałę!”

Czyż to możliwe, żeby jedni we wszystkim uwielbiali siebie, i tylko i wyłącznie siebie, a drudzy wszelką chwałę swych poczynań oddawali Bogu. Jakąż tedy miarę przyłożyć do owych poczynań i zabięgów ludzkich, tych zwłaszcza, co mają być opromienione chwałą?

Zaprawdę, nie inną tylko tę katolicką: „Nie nam, Panie, nie nam!”

Gdy bowiem głębiej wejrzymy w chwalebne, czy zwykłe, szare dni i czyny nasze, to w nich ujrzymy działającą jakby nie naszą dłoń i nie naszą moc...

Najpierw, ramy zewnętrzne działalności — świat, w którym się poruszamy. Nie od nas zależy wschód i zachód słońca, dzień i noc, zmieniające się nad nami, ani kierunek biegu gwiazd. Szybują ponad ziemią wichry i orkany — czyja prawica je powściągnie, czyje usta im nakażą: „Milcz, ucichnij!” To też oświadcza sławny poeta hinduski Rabindranath Tagore: „O świat natury troskać się nie potrzebuje. Słońce nie czeka na to, abym je czyścił i zapalał“... (Poszepty duszy, V).

Zatem już pierwsza strofa pieśni gotowa: „Nie nam, Panie, nie nam, lecz Imieniowi Twemu daj chwałę!” Albowiem nie nasza dłoń i nie nasza moc uruchomiła przed wiekami, oraz dziś podtrzymuje ten motor, bez którego na ziemi wszystko w proch upada. „Niebiosą opowiadają chwałę Boga, a dzieła Jego rąk ogłasza firmament”. (Ps. 18).

Ale nie tylko słońce, gwiazdy i niebiosą usuwają się spod rozkazów człowieka i nie chcą naginać się do jego woli. Także ziemia, która mu służy za mieszkanie, po której on depce od najmłodszych lat, ta ziemia nie chce mu ulegać we wszystkim.

Tyle już pokoleń ludzkich przeszło pod strzechą nieba poprzez obszary ziemi, a żadne dotychczas nie zbadało dokładnie fundamentów swego domu. Dno oceanów, wnętrze gór i samo jądro planety po dziś dzień nie uznaje człowieka za pana. Nie pytają go o zdanie wulkany, ilekroć mają wybuchnąć, ani góry lodowe, ilekroć mają zmiażdżyć jedno z miast, położonych w dolinie, lub jeden z jego kolosów, co płyną po wodach oceanów. I wszystkie lampy Londynu nie potrafią opłamać i skruszyć obroży mgieł, ilekroć okiełzna metropolię świata. I jęczą państwa i ludy pod technieniem lodowym zim, idących od bieguna...

I oto druga zwrotka pieśni, z ziemi zrodzona, nuci tę samą melodię: „Nie nam, Panie, nie nam, lecz Imieniowi Twemu daj chwałę!” — Pańska jest ziemia i wszystko, co ją napęnia. (ps. 23).

Potężne żywioły, są jak olbrzymie koła ogromnej maszyny świata, którą porusza tylko ręka Boża. A ręka ludzka chwyta i dokręca śrubki maleńkie, wchodzące w skład i całość tej maszyny. I to jeszcze jak czyni?! — Jaką siłą?!

Silą — podpowie materializm współczesny — wysnutą z siebie, ze swego organizmu. Z mięśni swych i mięśni, ze zwojów nerwowych swego mózgu, z tętna swej krwi serdecznej...

Dajmy na to, że tak jest, jak utrzymuje

materializm, że mówi prawdę. Czerpie człowiek siły ze swego organizmu, ze swego wnętrza. A czy on sam zarządza swym wnętrzem, kieruje biegiem jego soków, kontroluje co sekunda sprawność żył i nerwów?... Nie... On nawet nie wie, jak się to odbywa i kiedy. Nie on jest panem samego siebie.

I znów powraca zwrotka pieśni: „Nie nam, Panie, nie nam!”

— Ten mały świat mego JA został mi dany. Znaczenie jego polega na tym, że w nim mogę PANU całego świata zaofiarować gospodę. — (Tagore, Poszepty duszy, V).

JEDEN PAN.

Atmosfera świata, którą dziś oddychają niemal wszystkie dusze ludzkie, jest dziwnie wielkopańska.

Jeszcze sto, dwieście lat temu, niewiele było wielkich panów. Dziś spotykamy ich na każdym kroku. Ostatni żebrak z ulicy ma tak wysokie, demokratyczne pojęcie o swej osobie, jakby piastował godność prezydenta co najmniej połowy świata. Co to on!.. Nikt nie ma mu nic do rozkazywania... Wszystko powinno mu służyć — on nikomu... I społeczeństwo i każdy obywatel z osobna winien dostarczyć mu pieniędzy na jego wydatki... A on, bezrobotny, nie powinien o nic się już troszczyć. Inni słudzy, on — pan!

I gdy tak stopniowo ta napęczniała fala duchowego powietrza ogarnia wszystkich i każdego, zaraza dusze, umysły i serca, równocześnie rozszerza swe demony w narodach zbiorowy, nieobliczalny, a szalony — duch pychy. Pomyśleć tylko, zaiste, jak ułożą się losy świata, gdy w nim głos zabierze tylu niedowarzonych, nieobliczalnych wielkich panów!..

Nie pomoże wszelako gest, ani mina buńczuczna. „Wielki pan” raz poraz czuje, że jego wielkopańskie pojęcia o sobie nie mają

pod nogami należytego fundamentu, że w gruncie rzeczy jest on niezmiernie małą i wielce zależną istotą. I zaczyna się kłaniać i bić czołem przed tymi, od których zależy. Stwarza sobie większych od siebie panów. Kłania się — według określenia Pisma św. — bogom cudzym.

Rzecz dziwna! Ludzie tak są mali, że szukając wielkości, omijają wielkość jedynie godną tej nazwy. Natomiast opierają swe nadzieje, swe tęsknoty serdeczne, na wielkościach filigranowych, lilipuciej miary! Zamiast jednego PANA — Jednego Boga Prawdziwego — kłaniają się wielu panom, — lichym „bogom cudzym”.

Z całej galerii bogów cudzych — kilku przynajmniej spójrzmy w oczy na początku roku nowego.

Z szumem i brzękiem toczy się pierwszy i rozpiera w obliczu narodów. Wszyscy go wielbią, na jego cześć hymny śpiewają. Dla niego walczą, borykają się, idą na miecze, ponoszą trudy nieopisane na lądzie, morzu i w powietrzu. Dla niego gotowi zdeptać po drodze wszystko i wszystkich, nawet uczciwość duszy własnej, nawet czystość serca i ciała.

Cóż to za potentat — co za „bóg cudzy”?

Na imię mu — pieniądź. On zastępuje rzeczy. Tysiące przedmiotów, bez których człowiek żyć nie może, dostać można za pieniądź odpowiednio wielki. Toteż człowiek,

obejmując swą osobą ledwo metr sześcienny w materialnym świecie, chce się obłożyć rzeczami, tysiącem rzeczy, aby urósć, aby zająć jak najwidoczniejsze i jak najszersze miejsce pod słońcem. Pieniądz mu to ułatwia. Stąd „wielki pan” — człowiek mu się kłania, jednemu z bogów cudzych...

Nie jest to jednak pan najwyższy. Wiele, bardzo wiele zań nabyć można, ale nie wszystko. Nie kupi za niego człowiek całej kuli ziemskiej, ani jednej z najmniejszych gwiazd. A choćby i kupił, co mu pomoże wielki balast materii, jeżeli w duszy będzie otchłań nędzy?! Nagromadzenie mnóstwa przedmiotów, jakie kupić można za pieniądze, okazuje się niebawem zwykłą kupą materii i pieniądz jawi się z bogiem nudnym. Człowiek ogląda się za subtelniejszym, choć materialnym jeszcze, bóstwem. Chce z jego rąk uzyskać jak najwięcej podpór swej maluchnej wielkości.

Nie potrzebuje długo szukać... bóstwo samo wychodzi na jego spotkanie. A nazywa się — ciałem...

Ciało ludzkie to nie ladajaka materia, lecz subtelnie zorganizowana, uduchowiona, zdolna do najdelikatniejszych odczuć, przynoszących pewną sumę rozkoszy, szczęścia, zachwytu nawet. Ale z tym wszystkim jest to bóstwo niezmiernie zachłanne. Ci, którzy je wielbią, muszą mu nosić na ołtarz ofiary niesłychane: — ze swego honoru, swego wstydu, ze swych

przekonań i duszy. Niebo i ziemię podepcą, byle wywyżżyć ciało...

Lecz i ten bóg cudzy staje się wkrótce bożkiem zblazowanym i ciasnym — rozkrusza się człowiekowi w chorobie i w grobie... Nie zaspokaja przytem tych idealnych i nieskończonych aspiracyj, jakie nurtują w sercu, niepokoją duszę człowieka.

W dziedzinę zatem ducha udaje się „wielki pan” i tutaj szuka patrona. I odnajduje zastęp „bogów cudzych”. Wielu ich spotyka, ponieważ teren ducha jest już terenem nieśmiertelnym, wiecznym i wkracza w nieskończoność.

I oto widzimy całe rzesze ludzkie, wijące się u stóp ubóstwionego swego ideału. Dla jednych — sława jest bogiem, dla innych — naród jest bogiem, dla innych jeszcze — władza nad narodami jest bogiem.

Tymczasem i sława jednostki w pewnym, określonym środowisku, a choćby i w całej współczesnej ludzkości, stanowi bardzo szczupłe pole, wąziutkie ramy wobec nieśmiertelnych tęsknot ducha... I jest bogiem cudzym... Podobnież naród z całym blaskiem swej chwały dziejowej, z całą potęgą zbiorową umysłów i sere największych swych duchów, jest iskierką tylko, zapaloną przez potężniejszą jeszcze istotę w krainach nieśmiertelnych. I władza nad tym narodem, choćby jego dzieje kształtowała na długie tysiąclecia naprzód — mimo

pozorów wielkości i mimo boskich jakby, wiecznych akcentów—jest tylko znikomością, co przemija... Jest tylko bogiem cudzym...

A ponad tłumem tych znikomych „bogów” i „panów” wznosi się jeden jedyny Majestat—nieogarniony, nieskończony, wieczny. I o Nim mówi Księga ksiąg: „Błogosławiony naród, którego panem Bóg jego”...

Jeden Pan—Bóg prawdziwy.

NA FALACH CZASU.

Na falach czasu przepłynął rok jeden jeszcze. Jak okręt, co płynie w dal, jak ptak, odlatujący na wyraj, jak myśl zrodzona w sercu człowieka. Przeszedł, jak przeszło podobnych mu lat tysiące.

Świeżo minione zdarzenia stoją przed oczami naszymi, jako długi okres pracy, trudów i zmagañ życiowych, jako dojmujący do żywego łańcuch smutków i łez, boleści i zawodów, a czasem tylko, z rzadka, radości i wesela, wielki symbol zmiennej kolei losów ludzkich.

Przeszedł rok i z tego mnóstwa bolesnych żyłek, z których cały był uwity, z tych drobnych, ale dotkliwie raniących kolców życia codziennego utworzyła się w świadomości naszej jakaś szara, jednostajna masa bez wyrazu, która już nie boli. Już nie ma w sobie, rzec by można, nic z nas, z naszej istoty, duszy i serca. Wszystko w niej jakieś dalekie, niemal obce dla nas, chociaż niedawno jeszcze tak dolegało, tak paliło, tak bolało!

Może tylko jakieś chwile nieliczne promienniejszej świecą i żywiej — radość, podkreślona poprzedzającym ją smutkiem, ból uwieczniony weselem, nadzieja, królująca na ruinach...

Lecz i one prędeż, czy później rozpiąną się we mgle przeszłości.

Wszystko popłynie na falach czasu w bezdenną otchłań — wieczność. A tymczasem przyjdą nowe wrażenia, nowe smutki i radości, poleją się stare łzy i stary śmiech ponownie zadzwoni — nieodłączne objawy życia, uczuć, tęsknot, pragnień i myśli ludzkich. Wszystko to już było i wszystko na nowo się powtórzy.

Znów dążyć i płynąć i rwać będzie na przód prąd życia ludzkiego z nieubłaganą siłą... Nie zatrzymując się ani na chwilę, nie oglądając się wstecz, nie roztkliwiając się nad otwartą mogiłą, nad sercem ludzkim rozdartym. Zna bowiem ono tragedie milionów dusz i całych narodów. Niczym więc niewzruszone popłynie na falach czasu i stale, bez spoczynku, nie opóźniając biegu, podąży do wielkiej, wiecznej przystani. Zdarzenia wielkie, wspaniałe triumfy i klęski straszliwe, wszystko, co dziś rozpala serca, roznamiętnia dusze, co wstrząsa ludzkością, jak morzem niezmiernym, wszystko to wieczność wyrówna, wygładzi. Jak historyk, co spokojnie i z rozumą przerzuca karty historii, układa fakta, notuje daty i ustawia w jednym szeregu najgłośniejsze nazwiska... Tylko tyle...

Nie jeden już rok upłynął w życiu naszym i nie raz jeden dawał nam lekcję pogładową, że wszystko nasze przelewa się w wieczność.

Jak najmniejszy ruch nie ginie w przestrzeni, najlżejsza fala nie ztraca się we wszechświecie i najdrobniejsza iskierka nie gaśnie bez celu, tak ani myśl, ani czyn ludzki nie ginie. Na falach czasu wpływają do morza wieczności.

Przemijają nastroje, wrażenia chwilowe się zatrają, ocena i sąd ludzki, pochwała, nagana i poklask tłumów — wszystko to pójdzie w niepamięć u ludzi. Ale sam czyn i słowo i najtajniejsza myśl nasza będzie zjawiskiem wiecznym... Popłynie do morza wieczności.

Dlatego też każdy z ludzi powinien nareszcie zrozumieć lekcję, jaką mu daje rok życia miniony. Wobec ogromu oceanów największa rzeka świata jest cieniuchną nitką wody... Podobnie wobec ogromu wieczności największe wydarzenia dziejowe, najgłośniejsze czyny ludzkie są czymś tak nieznacznym, że doprawdy mogą być nazwane niczym.

Zatem rozumny człowiek nie buduje swych zapatrywań na sądach chwili obecnej, w której więcej tkwi złudzeń i rozwichrzonej uczuciem wyobraźni, więcej modnych haseł, niż istotnych wartości i prawdy życiowej. Nie jest to tajemnicą dla nikogo, że fantazja i moda przemijają bardzo prędko. Nie trwałego na nich budować nie można. Jedynie trwałe są zasady, które gruntują się na Bogu Stwórcy i na sumieniu — obydwu czynnikach wie-

cznych. I w tych tylko zasadach spoczywa jedyne kryterium, najwyższa reguła postępowania ludzi i ludów. To tylko bowiem posiada wartość trwałą, co ludzkość zbliża do Boga, do nieba.

Kto sobie i drugim ułatwia tę drogę i ten cel przybliża, ten jedynie podejmuje wartosciową, wielką pracę.

Kiedyś po latach wielu może narody świata całego baczniejszym okiem wejrzą w przeszłe dzieje, przejrzą dzieła i pisma, wnikną głębiej w myśli wielkich przodków swoich i osądzą trzeźwo, ilu i jakich miały mężów czynu, pionierów prawdziwego postępu. Nie ten bowiem postęp jest wielki, co przekroczy ramy lat dwudziestu pięciu, lecz ten co w nieskończoność idzie, wieczność ogarnia. I tylko przedstawicielom tego postępu część oddadzą.

Natomiast ocenią sprawiedliwie i z piedestału wielkości nieśluszenie przyznawanej, strącając tych bogów fałszywych, czy półbogów, którzy dla osobistych widoków burzyli spokój i szczęście milionów, którzy szukali tylko siebie, nie zaś dobra i prawdy — jedyne pokarmu pokoleń. Wielkość, w której jakaś jednostka ludzka szuka siebie, jest tak wielka, jak ciasny wymiar danej jednostki, a wielkość, opierająca się o Boga i ku Niemu wiodąca, tak jest wielka, jak Bóg. Nieskończony. I naprawdę wielkością jest tylko ta wielkość, a postępowaniem prawdziwym jest tylko ten postęp.

Od wieków dwudziestu już istnieje na ziemi instytucja, powołana do życia przez Jezusa Chrystusa — Kościół katolicki — który tej pracy dokonywa: — odróżnia fałszywą wielkość od prawdziwej. I raz poraz wyprowadza na ołtarze prawdziwie wielkie postaci ludzkości — świętych swoich.

Jego sąd o przemijających zjawiskach życia na falach czasu — uczynimy swoim.

KOŚCIÓŁ I PAPIESTWO

POWTÓRZONY CHRYSZTUS

Przeszedł, jak meteor po niebie dziejów ludzkich. Zabłysnął promienną mądrością, mistycznym blaskiem cudów i odszedł od nas po trzydziestu kilku latach, spędzonych na ziemi.

W tych latach niewiele „przeszedł, czyniąc dobrze” i „objawiła się łaskawość i ludzkość Zbawiciela naszego, Boga” i „zajaśniało Bóstwo w obliczu Jezusa Chrystusa”. Po czym zamknęła się za Nim pieczara grobowa—i rzecz by można—wszystko się skończyło...

A jednak nie! Po odejściu z tej ziemi osoby fizycznej Boga-Człowieka, począł żyć i iść przez dzieje powtórzony Chrystus. Tym razem przez dzieje wszystkich narodów, przez terytoria wszystkich ziem.

Przedziwny to — w życiu swych wiernych, w losach swego Kościoła — powtórzony Chrystus!

W każdym więc świata zakątku ma chwilę tajemniczą, gdy się rodzi. Wtedy tam zwykle noc panuje. Tylko niebiosa goreją od gwiazd, nieopowiedziane, nadziemskie światy służą Wszechmogącemu, ale na ziemi roztacza się noc czarna. Ciemność umysłów, mrok

serc i sumień, zagmatwanie pojęć i wierzeń, upodlenia bogów i ludzi...

Wtedy zjawia się w tych stronach niepozorny orszak zwiastunów ewangelii. Jak ów z dni Betlejemu, gdy na osiołku jechała Niewiasta, a obok Niej kroczył Cieśla z Nazaretu. W zwykłych ramach zwyczajnego życia ludzkiego, z betlejemskim ubóstwem, bydłętami i grotą, z pierwszym pokłonem ubogich pasterzy, z pierwszymi okrzykami radości dusz sprawiedliwych, jak Symeon i Anna, a czasem tylko w niektórych narodach, jak Polska, z pokłonem swych mędrców i królów,— rozpoczyna się życie Kościoła, w którym przebywa, z którym współżyje „powtórzony Chrystus”.

Następują długie, ciche lata powolnego rozwoju, wzrastania w łasce u Boga i u ludzi. Każdy rok Nazaretu rozciąga się na lat dzieśiątki, nim wreszcie zabłyśnie w danym narodzie jakieś wielkie imię. Jakiś Jan się zjawia nad Jordanem, wykarmiony wzmożonym prądem życia religijnego, jakiś Stanisław ze Szczepanowa wstrząśnie świadomością swych współziomków, stając w blasku cudów nad otwartym grobem Piotrowina...

Wówczas intensywniej pracować poczyna „powtórzony Chrystus”. W postaci biskupów swych i kapłanów osiada we wszystkich miastach i miasteczkach, dociera do wszystkich sfer narodu, do najbardziej zapadłych wiosek,

najbardziej opuszczonych dusz. I mnożą się dziwy jego śladami. „Ślepi widzą, chromi chodzą, głusi słyszą, trędowaci bywają oczyszczeni, umarli zmartwychpowstają”. Najbardziej zastarzałe i zaniedbane kalectwa duchowe znajdują swe uleczenie. I tłumy za Nim dążą wszędy, „ponieważ moc wychodzi z Niego i uzdrawia wszystkich”... Nawet uczeni, a ostrożni Nikodemowie decydują się odwiedzić Go po cichu, sekretnie, wieczorną porą, by Mu pochlebić mniej, lub więcej szczerze: „Mistrzu, wiemy, że jesteś od Boga, bo nikt nie może dokonywać czynów tak wielkich, jak Ty. Boskim światłem jednej Prawdy, boską mocą jednego prawa zdołałeś natchnąć pięć lądów, oświecić wszystkie ludy. Ten cud nikomu się nie udał, tylko jednemu Tobie”...

Ale wreszcie popularność „wielkiego proroka” poczyna być solą w oku Herodom, Kalfaszom, faryzejskim uczonym. Jednolita, wiekuista prawda rani ich ciasne, krecie horyzonty umysłowe. Jednolite prawo, jak pion przyłożone do budowy ciała ludzkości—wszędzie, dla wszystkich — miażdży i zawadza ich dziecinny, wyssanym z paluszka, miarkom i łokciom, nigdy nieobliczalnym na terenie obyczajów ludzkich. Jednolita władza Kościoła, której zasięg — od bieguna do bieguna i od wieku do wieków—nie dogadza ich małym królestwom, cesarstwom, mocarstwom. To też na pewnym posiedzeniu, powaga „Ra-

dy Najwyższej” — w imieniu władzy, prawa, prawdy ludu — zapada nań dekret: „Musi umrzeć!” Za wielki już urósł... „Jeśli mu zostawimy swobodę, cały świat za Nimi pójdzie”...

Zatem idzie na mękę — w osobie swego Kościoła — „powtórzony Chrystus”.

Najczęściej taki bywa do niej wstęp, że uczniowie śpią smaczno, upojeni triumfalnym wjazdem, okrzykami „hosanna!”, entuzjastycznym powitaniem tłumów, które w procesjach, pielgrzymkach, ulicami miast i wiosek towarzyszą Kościołowi. Dostojnicy państwowi — nawet! — mogą w nich brać udział.

Nikt nie widzi, jak po kryjomu, nie zauważony, skrada się i czyha zdrajca, jak za nim szeregują się ideowi i płatni siepacze. Niebawem osaczają swą ofiarę. W największe swoje święto, w najuroczystszy nastrój całego narodu, wnoszą szczęk broni, zgrzyt i hałas przewrotu, palenie świątyń, rozpacz, krew...

Wrogowie chwytają Go w swe szpony. Krępują powrozami ustaw, kajdanami drakońskich zarządzeń policyjnych. Płwają nań w prasie, na wiecach, scenach i ekranach... A wierni? — Jedni uciekają w popłochu. Nie na siebie, lecz na Niego złożą winę i wyrzut, czemu taki słaby, że nie chce się ratować cudem. A drudzy po prostu się Go zaprą i przystaną do wrogów.

Ci i owi rzucają się gorączkowo do niewczesnej obrony. Dobędą miecza wbrew jego za-

miarom i woli, zakrwawiając jego serce, rozjątrzając bardziej jeszcze wrogów. Inni — całą bezsilność, żal i udrękę wyleją we łzach w skrytości.

Tymczasem wrogowie, pijani radością, stawiają Go przed parodią sądu. Na podstawie oszczerstw i sprzeczności orzekają o jego winie. Rozdzierają szaty, że nazwał się Synem Bożym, szydzą z jego twierdzenia, że jest jedynym Sędzią świata, Dziedzicem Królestwa Prawdy. Wyśmiewają Go, jako marzyciela, fantastę, niewygodnego dla realnych ludzi, głoszącego naukę, niemożliwą do przyjęcia dla tych, co chcą żyć i użyć.

Zapada wyrok... Ale zawsze przeniewiercą prawa bożego będzie sąd, który Go na śmierć zasądzi. I zawsze poganinem będzie ten — cesarz, czy namiestnik cesarski — kto wyrok śmierci zatwierdzi. I zawsze motłochem — niechlujnym i plugawym — będą ci, co mu w godzinach krzyżowych nie oszczędzą szyderstw...

Ale drzeć będą posady gór, groby się poruszą, niebo zasłoni swe czyste oblicze i kotara świętego świętych podrze się na strzępy w tym narodzie, z ręki którego umrze „powtórzony Chrystus”...

Umrze i na krótko będzie w grobie złożony, bo dnia trzeciego — zmartwychwstanie w chwale!

CUD WIEKÓW.

Ilekróć zastanawiam się nad dziejami Kościoła i związanego z nim najściślej papieżstwa, nie mam innej dla nich nazwy, tylko — cud wieków.

Nie można bowiem inaczej zrozumieć tych dziejów.

Oto Chrystus, pełen mocy niewysłowionej, co uciszał bałwany morza, leczył chorych, wkrzeszał umarłych, — odszedł do nieba. Pozostała garstka jego zwolenników nieuczonych, nieśmiałych. Czego dokazać zdoła grono prostaków, mało co liczniejsze nad sto osób, na którego czele stanął rybak galilejski, Piotr z Betsaidy? Zacięty, nieustępliwy sanhedryn żydowski już napisał dla nich wyrok: — Zagłada!

Możnaby jeszcze sądzić po ludzku, że wrodzony spryt i zdolność organizacyjna dopomogły apostołom i Piotrowi przetrwać pierwsze lat dziesiątki. Na ogromnych obszarach imperium rzymskiego, w mnóstwie różnorodnych i różnojęzycznych prowincyj, z których każda niemal miała odrębne od innych obyczaje i wierzenia religijne, mogło ująć uwagi rządu, sideł wrogów kilka tysięcy ludzi, głoszących dziwną wiarę w Ukrzyżowanego Boga.

Zawsze przecież tak bywa, że w tłumie gości przy królewskim stole można nie zauważyć kilka ziarenek maku na podłodze. Nawet, gdyby ktoś umyślnie chciał je odszukać i pozbierać.

Niewątpliwie, sanhedryn jerozolimski chciał odszukać, wybrać i unicestwić każde ziarenko chrześcijańskie. Na dowód służą dwa pierwsze prześladowania, wzniecone w Palestynie, a potem prześladowanie krwawe za Nerona, w którym ubocznie, lecz niemniej prawdziwie, żydzi maczali swe „złote” palce...

W miarę jednak, jak upływały wieki, rozrastała się coraz potężniej siejba Chrystusowa. Kościół, a z nim jego naczelnicy, wyszli z katakumb na biały dzień historii. Wróg czy przyjaciel — nikt ich nie może nie widzieć. „Jawnie bowiem mówią światu” z tysiąca świątyń i stolic biskupich, a przede wszystkim z tej najpierwszej stolicy — katedry Piotra.

Teraz więc wrogowie papieżstwa mają ręce rozwiązane. Wiedzą dokładnie, w kogo uderzyć, gdzie, jak i kiedy. Mogą „uderzyć w pasterza i rozproszyć owce”...

Jakoż historia świadczy niezbitcie, że kilku bardziej zażartych, a przebiegłych i dumnych wrogów Kościoła postanowiło „uderzyć w pasterza Rzymu”, namiestnika Chrystusowego. Lecz roztrzaskali się o cud wieków — skałę Piotra.

Jednym z nich był Fryderyk II z domu Hohenstaufów. Jako cesarz rzymski narodu

niemieckiego, dzierżył opiekę nad Kościołem i papieżem. Zobowiązał się podjąć wojnę krzyżową w obronie Ziemi św., gdzie krwawiły beznadziejnie wojska chrześcijańskie. Zamiast wojny z niewiernymi, rozpoczął Fryderyk walkę z Kościołem i z 85-letnim starcem, papieżem Grzegorzem IX. Przez jedenaście lat zwodził Rzym czczymi obietnicami, że wyprawę podejmie, a tymczasem klęska za klęską spadała na wojska krzyżowców w Palestynie. Na naleganie Grzegorza przyrzekł wyruszyć wreszcie na krucjatę. Ogłoszono wyprawę, wojska się zebrały — nie pojechał. Tylko „na potrzeby krucjaty” rabował klasztory i dobra kościelne, a w stolicy papieskiej wzniecił bunt. Starzec papież musiał uchodzić z Rzymu do Anagni. W całym chrześcijaństwie rozległ się okrzyk zgromy: „Takaż to opieka!” I Grzegorz IX rzucił klątwę na cesarza wiarołomcę.

Pod ekskomuniką, niby to skruszony, Fryderyk wyruszył z garstką wojska do Ziemi św., ale zaraz zawarł rozejm z sułtanem Egiptu na lat dziesięć, tak dla katolików niekorzystny, że na złośliwy żart zakrawał. Mimo rozejmu w rok potem sułtan Damaszku zajął Jerozolimę — 1230 — i odtąd już do dzisiaj katolicy nie odzyskali miasta świętego.

Równocześnie liczne wojska cesarskie, stacjonujące na Sycylii, rozpoczęły wojnę przeciwko Państwu Kościelnemu. Na szczęście

zostały odparte, a starzec Grzegorz dobrotliwie zdjął klątwę z cesarza i zawarł z nim pokój.

Ale Fryderyk był człowiekiem bez wiary. Z Chrystusa jawnie szydził, otaczał się saracenami, polecając im rabować kościoły. Dążył wprost do zniszczenia chrześcijaństwa. Pobiwszy miasta włoskie pod Cortenuova — 1237 — ruszył na Rzym. Nie mogąc go zdobyć, palił i pustoszył Włochy. A gdy papież zwołał sobór do Rzymu, by sprawę jego osądził, Fryderyk topił biskupów, płynących morzem, a stu innych zamorzył w więzieniu.

Kiedy tak „opiekun Kościoła” bratał się z saracenami i gnębił papieża, pada grom od północy. Hordy Dżengishana spaliły Kijów, spustoszyły Polskę, zdobyły Kraków i zadały rycerstwu polskiemu straszliwą klęskę pod Lignicą — 1241 — Ta kropla przepełniła kielich goryczy i sędziwy papież umarł. Zagłada ostateczna — zdawało się — zawisła nad chrześcijaństwem.

Wówczas Chrystus powtórzył swoje: „Non praevalebunt!” Nowoobрани papież Innocenty IV uchodzi do Francji i tu zwołuje sobór do Lugdunu — 1245. — Jeden z punktów soborowego programu głosi: — Fryderyka wykluczyć z Kościoła. Na akt tej ekskomuniki zjawili się ojcowie soboru z płonącymi świecami w ręku. Przy ich blasku grobowym, zapadł wyrok papieski i wtedy wszyscy rzucili jarzą-

ce świece na ziemię. Z trzaskiem tych gromnic — zapadł się dom Hohenstaufów.

Fryderyk II. za młodu nadzieja ludów, na starość postrach chrześcijaństwa, zabójca syna w więzieniu, przeklinany przez ludność, umarł w Palermo. (1250). Ostatni z jego rodu Konradyn, przegrawszy bitwę pod Tagliacozzo, został ścięty w Neapolu...*)

Podobnego losu doznał Napoleon w walce z papieżem, gdy podniósł zbrojną rękę na „pasterza ludów”. Jego dzieje są jeszcze w świeżej pamięci i stwierdzają prawdę francuskiego przysłowia: „Qui mange du pape — en mourra!” Kto ukąsi papieża — umrze...

Najwidoczniej i Kościół i swego namiestnika wie dzie ta sama prawica, co stwarzała cuda nad jeziorem Genezaret. I dziś w obliczu narodów stwarza bez przerwy — cud wieków.

*) Por. ks. dr. Władysław Chotkowski. Historia Kościoła. Miejsce Piastowe 1951. str. 66 nn.

TRZY KORONY.

Jakże często myśl i serce nasze z utęsknieniem i miłością ulatują ku wyzynom Stolicy Piotrowej!

Wznosi się ona nad narodami pełna blasku i chwały, cicha a wszechwładna, bezbronna a potężna! Rzec by można, że jak w świecie widomym na początku Pan czynił wszystko Słowem swoim, tak i ona dziś czyni. W świecie duchowym ludzkości wszystko czyni — słowem swoim.

Rozkazy jej są gromem, co zabija i ożywia, obala i podnosi, kruszy, łamie i leczy. Jej majestat jest zasłoną Majestatu Bożego, jej głos — echem Jego głosu. Toteż nie dziw, że coraz głębiej, coraz karniej i serdeczniej, kłaniają się jej wszystkie ludy i lądy.

Ku niej zwracają się oczy nasze w tym dniu szczególnie, w którym Namiestnik Chrystusa, dzierżący ster Kościoła, włożył na swą skroń—trzy korony.

Trzy korony—symboliczne znamię. Mówi ono wiernym o potrójnej dziedzinie, w którą wkracza i którą w ład ujmuje władza Namiestnika Chrystusowego:—władza królewska, co skupiła dokoła siebie i szereguje rzesze, rządzi milionami; — władza nauczycielska, któ-

ra wiedzie te zastępy poprzez niepewne i zagmatwane ścieżki doczesności na drogę jasną ich szczęścia wiecznego; — i wreszcie władza kapłańska, która przywiódłszy lud zbawiony do bram nieba, te bramy przed nim otwiera.

Ale ten symbol ma jeszcze inne znaczenie. Nie tylko zwiastuje pełnię władzy w Zastępcy widomym Najwyższego Króla, Nauczyciela-Proroka i Kapłana. Poucza jeszcze o charakterze jego rządów.

Władza papieska powstała na świecie z woli Zbawiciela, i wplata się w bieg dziejów politycznych ziemi. Ma więc i w tej dziedzinie swoją treść, ma znaczenie swoje. Stąd też i jej symbol—trzy korony—mają odrębną swą wymowę, jeśli chodzi o charakter władzy w Kościele, o jego formę rządów.

Trzy korony lśnią na czole wybrańca bożego, jak potrójna złota błyskawica, co ogromne światło sieje na umysły ludzi, na państwa i narody, na władców i podwładnych. Mówi o potrójnej formie rządu, jaką zastosować należy, aby szczęście przyniosła rządonym.

Już od wieków najjęzyczne głowy mędrców siliły się na wynalezienie najdoskonalszej formy rządu. I już w zamierzchłej starożytności, podobnie jak dziś, trzy formy ustroju społecznego walczyły z sobą o lepsze: — monarchia, arystokracja i demokracja.

Forma monarchiczna jest poniekąd ze wszy-

stkich najpiękniejsza. Jakby najbardziej symetryczna i harmonijna w częściach i w całości. Jej dewiza—jedność w wielości. Jej pierwowzór goreje gwiazd miriadami w organizacji nieba.

Ale piękną również jest forma arystokratyczna i bardziej ludzką. Nie tylko władca — król w danym narodzie — jest jednostką samodzielną. Naród ma ich więcej. Nie za wiele, bo wszyscy ludzie w czambuł nie mogą być mędrkami, ale ma takich w osobach swych „najlepszych synów” (=aristos). Oni to przez długi szereg znakomitych przodków, przez odziedziczone po nich tradycje honoru i cnoty, przez wychowanie i wykształcenie staranne, jako też przez zamożność swoją dają gwarancję, że powierzona sobie władzę piastować będą najlepiej, najuczciwiej, najrozumniej.

Nareszcie trzecia forma — demokratyczna, zdawałoby się, najbardziej ludzka. Tu każdy jest panem, każdy jest samodzielnym władcą, a zarazem każdy także jest podwładnym. Rząd ogółu spoczywa w rękach ogółu. Ogół stanowi prawa, ogół wybiera przedstawicieli rządu, którym powierza ster swoich losów i ogół jest ich sędzią po upływie zakreślonego ich rządowi terminu.

Gdyby narody wzniosły się na wymagany w tej formie rządu stopień mądrości, cnoty i kultury,—gdyby sprawiły państwa, że wszystkie jednostki ludzkie odpowiadałyby powyż-

szym warunkom i byłyby zdolne brać udział czynny w pracy około dobra publicznego, — to forma demokratyczna byłaby wielka i wspaiała. Nastalby, zaiste, wiek wyśniony przez proroka, kiedy to „wszyscy będą nauczeni od Pana”...

Tak jednak nie jest. I w tej i w tamtych obu formach rządu. Wszędzie tu wchodzi w grę upadły człowiek. I on powoduje niedociągnięcia i braki, tym szersze, im szerzej sięga zakres władzy.

Zakres władzy Kościoła sięga najdalej, gdyż obejmuje cały świat, i dociera najgłębiej — aż do serc i sumień ludzkich. A władza ta będzie także powierzona ludziom, bo dla ludzi powstaje. Jakąż formę z tych trzech wybierze dla swej instytucji Zbawiciel?

„Starożytność była tego zdania, że jeśliby jaki prawodawca, kierowany natchnieniem z góry, zdołał zlać w jedno wszystkie te trzy formy uspołecznienia, osiągnąłby dopiero doskonałość. Tak też czyni Chrystus.

„Bierze najpierw formę monarchiczną, formę boską. Do niej w ustosunkowaniu precednym przyłącza obie formy ludzkie: — arystokratyczną i demokratyczną. Zlewa je w jedną, poprawia jedną przez drugą i łączy ze sobą z takim mistrzostwem, w tak cudnych wymiarach, że każda z nich zatracą w tym połączeniu wady swoje i braki, a znajduje zalety, których nigdy sama nie posiadała. For-

ma monarchiczna traci swój absolutyzm, forma arystokratyczna swoją pychę, swą zazdrośną a ciasną wyłączość, forma demokratyczna swoją burzliwość i wybryki anarchistyczne. Wynika z tego ustrój społeczny dotychczas nieznany. Jeden i niewzruszony, jak monarchia, czynny i gorący, jak demokracja, giętki i zarazem odporny, wykwiłnej delikatności i siły niepokonanej. Bardzo ludzki pod jednymi względami, a pod innymi znów absolutnie boski. I w ludzkiej swej części — mniej znacznej — wzór idealny, lecz niedościgniony wszystkich organizacyj społecznych od wieków dziewiętnastu” *).

Toteż jedna owczarnia pod jednym pastierzem, stosująca te trzy naraz formy rządu, wkłada na czoło Namiestnika Chrystusowego — trzy korony.

*) Bougaud. Kościół r. 2.

JAK BAJKA.. JAK POWIEŚĆ... JAK PRAWDA

Młodym poszumem wiosny powiało po lesie. Słońce w leciuchnym obramieniu chmur deszczowych sunie nad wierzchołkami drzew, ścieląc cienie przelotne na różnobarwnych koblach kwiatów. Las i świat pełen niezwykłej krasy życia. Rozśpiewane chóry ptaszek głoszą jego chwałę dalekim niebiosom. Lustrzane wody jezior zatrzymują w swej toni powtórzone piękno ziemi i nieskończoność nieba.

Już blisko pół wieku patrzę z podziwem na zbudzone wiosną życie. Patrzę i widzę, że w różnych czasach różnie odzwierciedlało się w mej duszy.

Najpierw w latach dziecinnych rozwijało się dla naiwnych oczu, jak bajka czarowna. Uwaga dziecka zatrzymuje się tylko na powierzchni życia. Małe oczy, ciekawe, widzą tylko ruch, barwy, nasycają się dźwiękami i wonią. Wewnętrzny ład natury, nic ich nie obchodzi. Może kwiat lilii kwitnąć na łądze ostu, tron króla krasnoludków może stać na zrąbanym pniu sosny, woda może spalać, ogień zatapiać — dla dziecka to wszystko jedno. Jak w bajce...

Zawitały lata młodzieńcze i młode oczy popatrzyły na życie. Snulo się jeszcze ciekawsze, choć już obrane z czaru naiwności. Zniknęła bajka, zjawiała się powieść. Oczy i dusza młoda widzą już głębiej, ale nie za głęboko. Z bujnego tekstu zjawiska odczytują wątek, ale tylko w bardzo niejasnym, niewyraźnym zarysie. Zgrubsza chwytają sens życia, ale najgłębszej jego budowy nie widzą, nie pojmują.

Płynne są tu wciąż jeszcze możliwości życiowe. Ręka młoda nie dotknęła każdej sprawy konkretnie—to trud i rola starszych. Wkładają coprawda młodzi trochę realizmu w rozumienie życia, ale daleko więcej posługują się marzeniem. Dla nich życie jest, jak powieść. Kilkanaście procent prawdy, reszta — wymysł pisarza.

Nareszcie przychodzi do głosu lata dojrzałe. Człowiek, nauczony doświadczeniem, niekiedy bardzo bolesnymi, patrzy na życie trzeźwymi oczyma. Stara się je widzieć takim, jakim ono jest—w świetle prawdy. Pod miarą, liczbą i wagą...

Jak na życie swe ziemskie, tak patrzą ludzie i na wiarę. Jawi się ona ich oczom, jak bajka... jak powieść... jak prawda...

Jak bajka...

Patrzą na nią w niemowlęcym stadium swego serca, swego ducha. Nic tu nie widzą realnego. Wszystko zdaje się im zmyślone,

sztucznie poukładane w artystyczne obrazy, dobre w sam raz dla dziecięcych oczu, dziecięcych umysłów. Dziecięcych i kobiecych, bo dusza kobiety, zwłaszcza słabo kulturalnej, odbiega tak niedaleko od duszy dziecka...

I Bóg, zasiadający na wyniosłym majestacie swego tronu w chmurach zorzanych pośród gwiazd... I aniołowie w złotolitych szatach, dzierżący klucze niebios i otchłani... I wojska świętych z palmami zwycięstwa w dłoni, z pieśnią: — święty, święty, święty — na ustach... I małe Jezus w ramionach swej Matki w żłóbku, w Nazarecie, potem, jako chłopię posłuszne cieśli, zapracowane w jego warsztacie, następnie jako prorok swego ludu — w wirze walki, w hańbie męki, w chwale zmartwychwstania... I piekło, pełne szatanów i czyściec, pełen ognia, płaczu, bólów, lecz i niebiańskich nadziei i raj nieskończonego szczęścia w domu Boga na wieki...

Zaprawdę, takie to wszystko, jak bajka cudowna, gdy je zwłaszcza podmaluje fantazja. Pamiętam doskonale, że bajką śliczną, w miarę straszną, była długie lata dla mej duszy wiara.

Wyrośłem z tych lat naiwności. Patrzyłem na wszystko i na wiarę także oczyma młodzieńca. Nie mogłem nie widzieć, że w dziedzinie głoszonych przez nią prawd, opowiadanych o życiu Chrystusa zdarzeń, władze berło nad duszą człowieka obejmuje historia.

Nie z pióra pisarza wyssane bajeczne dzieje podaje wiara katolicka, lecz dzieje na rzeczywistości oparte. Przed rzeczywistością dziejową pochylić się musi każde czoło, każda rzetelna dusza. Nikt się przecież nie odważy wykreślić Chrobrego z dziejów Polski, zaprzeczyć Królowej Jadwidze tytułu do chwały, obrzucić błotem Jasnej Góry. Mógłby to uczynić tylko nieuk, albo człowiek podły. Podobnie nie można wykreślić Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła z kart historii, z dziejów świata.

Wierzyłem, ale pamiętam doskonale, że wyobraźnia młodzieńcza i nieustalona, młodociana myśl osnuwała tę prawdę dziejową złotymi obłokami marzeń. Wiara była dla mnie po części prawdą, ale była też w przeważnej mierze młodocianym marzeniem... Snuła się dla duszy, jak powieść...

Aż przyszły lata dojrzałe, lata męskie, zmagania się życiowe, trud, ból i zwycięstwo. Zranione serce znalazło w Ukrzyżowanym, zranionym, nie powieść tylko, ani bajkę, lecz prawdę. Prawdę żywą, która garnie duszę, jak przyciąganie kosmiczne garnie ziemię i gwiazdy. Prawdę, przed którą pochyła się czoło, jak pod pieszczotą dłoni matczynej, zgina się kolano, korzy cała istota człowiecza, jak przed wszystkim, co najświętsze na ziemi i drży, jak listek w pobliżu pożaru, lub burzy. Ale też i raduje się weselem nieskończonym, jak choćby chwila szczęścia, którą

przeżyłem na wieść, że Polska wstaje Wolna!
Naród wielki, miriady duchów wkraczają znów
na szlaki wielkie swych dziejów...

Wiara stała się dla mnie prawdą. Tak bli-
ską, prostą i zrozumiałą, jak wschód i zachód
słońca, jak prawda, że woda zatapia, ogień
pali, napój orzeźwia, a pokarm pokrzepia...
Byle tylko wyciągnąć rękę i dotknąć...

Młodzięcym poszumem wiosny powiało
po lesie, po świecie... Zdaje mi się, że nie-
wiele dusz osiąga to męskie wejrzenie na ży-
cie i wiarę, jak na rzeczywistość i prawdę.
W odniesieniu zwłaszcza do wiary. Patrzą
na nią, jak na bajkę i jak bajkę lekceważą,
zaniedbują. Dobra dla dzieci, kobiet. Dla
dorostłych może być, może nie być...

Albo też patrzą na wiarę, jak na powieść.
Autor niezwykle ją napisał... Porwała swym
wątkiem najwznioślejsze, najświętsze duchy
ludzkości. Tak... ale można napisać, utworzyć
sobie powieść drugą, trzecią... Może nie więk-
szą, lecz inną... I naginają prawdę żywą,
prawdę bożą do swoich marzeń, do swych
wygód, fantazyj, do swych upodobań namięt-
nych...

A tymczasem wszystko musi być ujrzone
i potraktowane, jak prawda. I ziemia, chwi-
lowe miejsce naszego pobytu i — wiekuiste
zwłaszcza niebo! ɛ

SÓWKA.

Jechaliśmy długo lasami.

Szeroki gościniec, porysowany kapryśnymi
kolcinami wozów, wił się zlekka i wciskał co-
raz dalej między dwie, podniebne ściany zie-
leni, pachnące wiosną.

Nie mogłem się dość nacieszyć i napaść
oczami swoistym pięknem drzew, migotliwą grą
światłocieni w głębinach leśnych. Słuchałem,
jak w cichym, zadumanym poszumie las ga-
dał coś z niebem i ziemią, snuł tajemnice pra-
wieczne. Zda się mówił, że pośród wszystkich
dzieł bożych pod słońcem on wyrósł najwyżej...

Pełną pierśią oddychałem czystym, świe-
żym, wonnym tchnieniem największego z Bo-
żych dzieł.

Tymczasem las urwał się nagle i oczom
moim ukazała się wielokilometrowa pusta
leśna. Nikłe tylko i karłowate tu i ówdzie
krzewy, sterczące samotnie maszty martwych
drzew, pozbawione konarów, igliwia i liści,
pomiędzy nimi, najwidoczniej przeznaczone na
sprzedaż, ułożone symetrycznie pod liczbą i li-
nią, stopy zrąbanego drewna.

Mimowolne uczucie żalu targnęło mi duszą
na widok tej umarłej przestrzeni.

— Kto zniszczył tyle kilometrów tak ślicznego lasu?—spytałem woźnicy.

Zagadnięty spojrzał na mnie, potem wzrokiem ogarnął szarą dal pustkowie i rzekł krótko:

— Sówka.

Tak. Ona to była przyczyną tej opłakanej, nagłej śmierci borów. Ubiegłej wiosny osiadła tu na ogromnej przestrzeni. Drobnym, lecz okropnym, niepoliczonym owadom leśnym. Zagarniać zaczęła dla siebie drzewo za drzewem, dział za działem, połać za połacią leśną.

Drobnym, lecz okropnym wrogiem lasów. Uderzyła nie w mocarne, potężne pnie drzew, nie sięgała do korzeni olbrzymów leśnych. Uderzyła w ich zielone, kwitnące właśnie korony. Zaczęła zjadać liść za listkiem, pożerać chciwie jak szarańcza majowe igliwie sosen, świerków, jodeł. Prawie na pół kilometra z oddali słyhać było dojeżdżając, nieustanny szum tej żarartej, nieustępliwej, szalonej traczkii. Bez przerwy, bez wytchnienia pracowały miliardowe piły lilipuciej, strasznej armii...

Pracowały aż do skutku. Ogołoczone z igiel i liści, las przestał oddychać i umarł. Reszty dokonała siekiera. Pozostało tylko wspomnienie dawnego piękna i ogromna, przynębiająca pustka.

Wysłuchałem opowiadania woźnicy o niszczącej pracy małego owadu i przed oczyma mej duszy zarysował się inny obraz—jeszcze

straszliwszego zniszczenia w dziedzinie ducha.

Znam inny las, co buja wysoko pod niebiosami i znam inną sówkę co go w oczach naszych pożera. Dzień za dniem, godzina za godziną. Nieubłaganie, a niepostrzeżenie dla wielu.

Jak wspaniały las ducha, rośnie wiara. Małe nasionka z niebios na ziemi posiane Chrystusową dłonią, wyrastają w sercach najwyższej, idą w niebiosy niebios. Wyrastają w każdym sercu. Zapuszczają korzonki, potem korzenie zasad dekalogu w każdym sumieniu, głębiej lub mniej głęboko, zależnie od natury drzewa. Następnie z delikatnego kielka nawiązują, dziecinnej wiary, z wiotkiej latorózgi młodocianych, chwiejnych poglądów, tworzą silny pień dojrzałych przekonań religijnych. Pień uwieńczony wspaniałą koroną gałązek, gałęzi, konarów, otulony zielenią liści, owiany wonią kwiatów—różnorodnych przejawów życia religijnego, modlitw, nabożeństw, sakramentów...

Na ten las, rozrosły potężnie z wiekami w narodzie, przychodzi klęska zniszczenia—sówka.

Nie uderza najpierw w dekalog, nie bije w pień przekonań religijnych. Byłoby to zbyt wyraźne, wrogie nastawienie wobec wiary. Sówka religijna postępuje oględniej. Atakuje wiarę w niepozornym, mało znaczącym, zda się nawet, nic nie znaczącym punkcie. Zjada

listki i kwiecie drzew. Osiada na licznych i różnorodnych ćwiczeniach katolickiej pobożności. Tym wypowiada walkę. Najpierw ubożną, potem coraz wyraźniejszą, coraz śmielszą, coraz bardziej bezczelną...

— Boże drogi! przecież to taka drobnostka! — mówi, tłumacząc się z uśmiechem politowania nad naiwnością katolicką... My szanujemy religię. Wiary w Boga nie ruszamy. Pozostawiamy każdemu wolność przekonań religijnych. Ale tylko usuwamy z widoku publicznego te różne katolickie dewocje.

Komuż one dziś potrzebne?! a rażą oczy innowierców... Krzyże przy drogach? — Niedługo więcej będzie krzyżów w Polsce, niż drzew pożytecznych... A po co krzyże na salach wykładowych — szkół, gimnazjów, uniwersytetów, albo po biurach sejmowych, ministerialnych, wojewódzkich, gminnych, w lokalach urzędowych, czy prywatnych?... żeby kurz na nich i pająki osiadały... Na co komu modlitwy jakieś tam — przed jedzeniem, po jedzeniu, przed sesją, po sesji... przysięgi, poświęcenia, udział w nabożeństwach? Po co pacierz wieczorny, poranny, różańce, szkaple-rze, medaliki cudowne, obrazki... Czyste dzieciństwo i bigoteria historyczek!

Nie możemy na to pozwolić, żeby rozsądne, wykształcone społeczeństwo ulegało w swej masie takim dzieciństwom! Tępi my kół-tuństwo religijne.

Hasło zostało rzucone!... Na lasach katolicyzmu — w całym świecie i w Polsce — szalonymi chmurami osiada religijna sówka. Zjada listeczki drobne codziennej, serdecznej wiary, pożera kwiaty i owoce praktyk religijnych...

Nie widzą jej oczy milionów, poddają się niszczącym jej wpływom... Dla mody, dla fasonu życia, dla względów otoczenia. Trzeba przecież iść z prądem czasu!...

Tak, zaiste! Trzeba iść z prądem, ale mądrego czasu i tych mądrych oczu, które wypowiadają walkę sówce.

Niedawno w Warszawie ujawnił się taki mądry „duch czasu“! Studenci katolicy, nie widząc krzyża w sali wykładowej, zażądali umieszczenia go na ścianach uczelni. I zarządowi Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego nucili całogodzinną pieśń:

My chcemy Boga w Szkole Głównej!

My chcemy krzyżów do jej sal!

My chcemy wiary, drogi równej!

Wiodącej wieś w słoneczną dal!

Było to hasło wielkie dla całej Polski, hej, i całego świata... Pieśń przeciw „sówce“!

ANNO SANTO.

W bazylice św. Piotra Apostoła w Rzymie uroczyste święto. W orszaku dostojników Kościoła przybywa Namiestnik Chrystusa do swej świątyni, by rozpocząć 1900-letni jubileusz Odkupienia świata przez Mękę i Śmierć krzyżową Chrystusa na Golgocie. Rozpoczyna „Anno Santo”—Rok Święty — przez odmurowanie symbolicznej bramy jubileuszowej.

Tak, symbolicznej, bo chce przez to powiedzieć, że w świecie całym mają się szerzej otworzyć wszystkie kościoły, a w nich wszystkie źródła łaski i miłosierdzia bożego mają szerzej popłynąć. I we wszystkich sercach i duszach mają się odmurować, zamurwane dotąd dla wpływów niebieskich, bramy sumień.

Zamurowaną bramę bazyliki papież otwiera, aby we wszystkich częściach świata, we wszystkich narodach, w każdej duszy ludzkiej odmurowano bramy Jezusowi Chrystusowi i Bogu.

Alboż to bramy serc ludzkich, serc katolickich, zostały zamurwane, zamknięte dla nieba?

Najczęściej tak—zwłaszcza w naszym wieku. Pracuje nad tym w pocie czoła wielu „wol-

nych mularzy” aby zabić, zamurować, a przynajmniej zasłonić okna i drzwi duszy swojej, odciąć swe serce od wpływów nieba.

Człowiek jest swego rodzaju DOMEM, zbudowanym ręką Wszechmocy w świecie. Od całości wszechstworzenia wyodrębniony, ma jednak dostęp do niego przez okna zmysłów. Natury rzeczy nie dotyka, lecz na nią tylko wygląda przez okna wzroku, słuchu, powonienia, smaku, czucia. Przez te drzwi i okna wychodzi i wygląda na świat poza sobą.

Ponieważ jednak te władze zmysłowe powierzchniowo tylko ogarniają świat, dał mu Stwórca Bóg cudowne okno, jakby na wyższym piętrze domu, skąd człowiek może popatrzeć na świat *od wewnątrz* i głębiej wniknąć w jego tajniki, labirynty, wiązania i belkowania całego gmachu wszechstworzenia. Tym oknem jest ROZUM. On jeden dociera do jądra, istoty rzeczy. On jeden widzieć może BOGA.

Jak odniosły się do tego DOMU swego wieki dziejów ludzkich?

Jedne w sposób prymitywny, drugie—więcej kulturalny, inne wreszcie obeszyły się z nim na sposób barbarzyński.

Prymitywne życie ludów używało co prawda tych okien, ale człowiek prymitywny nigdy nie dbał zanadto o ich sprawność, ich świetny stan o nieskalaną przejrzystość ich

szyb. Zwłaszcza wyższe okno DOMU—zdrowy rozum — traktowane bywało po macosze-mu. Tu bardzo często robiono tak, jak dziś jeszcze robi się z oknami na strychu naszych wiejskich chat. Jest okno—otwór, ale „szyby” bywają z pęcherza, z błon, ze szmat, albo po prostu z otworu sterczy wiecheć słomy... Tak bywało z kulturą rozumu wśród szczepów prymitywnych.

Wiek, mające pretensję do prawdziwej kultury, dają do okien szkiełka... oprawne w ołów, potem szybki—często wprawdzie zakopcone i zamalowane pajęczyną—a wreszcie szyby o królewskich rozmiarach i blasku. Cenią dobrodziejstwo okien—zmysłów i rozumu.

A barbarzyńcy? — Barbarzyńcy to wszystko zamurują...

Człowiekowi, obdarzonemu przez Boga wzrokiem, wydierają, wylupują oczy. Zamurują w nim to śliczne okno na świat boży... Obcinają uszy, kaleczą słuch, znęcają się nad zmysłem smaku, powonienia, dotyku. W wielu wypadkach stwierdzała historia z annałami w ręku, jak ludzie żywi, pełni czucia, gnili po więzieniach barbarzyńskich wrogów swoich i zamieniali się w nieczułe, bo sparaliżowane, pnie ludzkie...

Barbaria zamurówuje.

I tak się rozpędziła do młota i kielni, tak się zapaliła do strasznej swej roboty, że zagalopowała się aż w nasze czasy—w XX wiek,

zdawałoby się, oświecony — by murować, zamurowywać w człowieku przede wszystkim to wyższe okno—rozumu...

Jeżeli pozbawienie oczu jest bolesnym i uciążliwym kalectwem, jeżeli tępota lub obumarcie innych zmysłów jest niedolą nie do opisanego dla człowieka, to cóż mówić o zamurowaniu bodaj jednej szybki maleńkiej w oknie rozumu ludzkiego?!

Cobyśmy powiedzieli o barbarzyńcy, który z umysłowości ludzkiej zechciałby np. wykreślić dział historii? usunąć geografie, lub archeologie? skasować książki z bajkami dla dzieci i wyrugować ze świata nawet tę nieopowiedzianą i nieopowiedzianą kanwę fantazji—powieść!? Ludzie tego nie robią, zapewne... Choć robili czasem barbarzyńcy, gotując sobie końskie mięso na rozżarzonej popielisku spalonych bibliotek...

Kultura odmurówuje. Im więcej widzi, poznaje, rozumie, tym więcej jeszcze chce widzieć, poznawać, pojmować... I świat i nieskończoność zaświatów... Gdzie dojsz nie zdoła utrudzoną stopą, tam skrzydła przypina do ramien... Natomiast barbaria—zamurowuje!

Specjalnie najwyższa szyba rozumu ludzkiego stale zawadza barbarzyńcom. Pragną ją zamurować za wszelką cenę! Z dziedziny poznania rozumowego chcą wykreślić—wypruć do ostatniej nitki—religię, wiarę w Boga!

• Dekret wydano z Kremla i z... rue Cadet

w Paryżu: „Zamurować to okno — bez miłości!”

To hasło niewątpliwe bezkrytycznego wieku, w którym żyjemy. Nikomu ono nie tajemne. Godzą się na nie poniekąd nawet ci, którzy nie czyniliby tego bez nacisku „mrujących reżimów”... I ci też, co praktykują religię po swojemu, w duchu sekty, nie po bożemu, w duchu Syna Bożego, Odkupiciela...

Jedno tylko wyznanie odmurowuje bramę i okna w zaświaty. Jego najwyższy Wódz co pewien okres czasu, w obliczu wszystkich wiernych, w obliczu wszystkich ludów, staje przed bramą świętą i uderza młotkiem, żeby ją otworzyć, odmurować.

Aby odmurowaną została ta brama boża w duszy każdej, jeśli ją tam przypadkiem zamurowała ręka barbarzyńcy.

Własna, czy cudza, wielka czy mała... W każdym razie ręka ciasnego, zakłamanego barbarzyństwa, co kroczy potępionymi szlakami — ciemności.

Z DUMAŃ WIELKOPOSTNYCH

GARŚĆ POPIOŁU!

W dniu popielcowym rok rocznie posypuje Kościół głowy swych wiernych popiołem. Spada szczypta pyłu z poświęconych palm na skronie klęczących, a nad nimi unoszą się cichym, poważnym brzmieniem słowa kapłana: „Pamiętaj człowiecze, że prochem jesteś i w proch się obrócisz!”

Właściwie my wszyscy o tym dobrze wiemy. Zdajemy sobie doskonale sprawę z tej prawdy życiowej, która nas tak upokarza. Ale tak o niej często zapominamy, mimo że widzimy, jak dokoła nas ludzie starzeją się, chorują, umierają, zstępują w grób, gdzie po nich rychło pozostaje już tylko garść popiołu... Ciągłe nam się wydaje, że inni są łatwą zdobyczą śmierci, podczas gdy nasze ciało jest — niezwykłe, że nigdy nie zazna „skażenia grobu”... Byłoby stokroć lepiej, gdybyśmy jednak uwierzyli praktycznie w tę prawdę i przynajmniej raz do roku żywo ją sobie stawiali przed oczy. Ciało nasze jest garstką popiołu...

W cesarskim grobowcu w Madrycie stanął książę Gandii nad otwartą trumną cesarzowej Izabeli. Była to urzędowa formalność. Miał stwierdzić tożsamość ciała zmarłej Monarchini, Z chwilą podniesienia wieka przerażone jego

oczy spoczęły na twarzy nieboszczki. Nie mógł poznać tej, którą współcześni nazywali „Piękną”. Zwłoki dość długo już były w drodze i uległy częściowemu rozkładowi. Wiały od nich trupi odór zgnilizny i uciekały od nich oczy widza, nie nawykłe do widoku tak potwornych zniekształceń tak pięknej do niedawna kobiety.

W duszy księcia Gandii coś się załamało. Dokonał oględzin zwłok, wstrząśnięty do głębi. Nie wiedział sam, co się z nim dzieje. Miał dotąd w pamięci cudne rysy i wspaniałą, dumną postać swej pani — a teraz oto widzi ją umarłą... Gdzież oczy, którymi czarowała każdego, na kogo tylko popatrzyła? Gdzież usta tak świeże i tak pełne słodkiej, przekonywującej wymowy? Gdzież oblicze, pełne majestatycznego piękna? Co tylko zechciała, mogła mieć. Każdy czuł się szczęśliwy, że może usłużyć swej pani... A dziś?! Każdy z obrzydzeniem odwraca się od trupa. I on sam, wierny sługa, w tej liczbie...

Majestat śmierci wiał dziś od tej trumny i nasuwał myśli popielcowe, że cała piękność ciała człowieka, cała wielkość tej ziemi da się streścić w zwięzłej formule Kościoła:—Jesteś proch i popiół. Chwilowo tylko piękna maska przesłania szarą rzeczywistość. Maskę zdejmują—i szary proch ziemski uderza w oczy widzów swym rozkładem. Jedyną wartość nieprzemijającą przedstawia dusza. Dla niej żyć i pracować należy...

I książę Gandii po odbytych pogrzebie cesarzowej Izabeli postanowił nieodwołalnie resztę życia poświęcić swej duszy. Wstąpił do zakonu Towarzystwa Jezusowego, żył i umarł jako święty, wyniesiony z czasem na ołtarze.

W toskańskiej wiosce Alviano przeżyli mieszkańcy w 1270 roku wstrząsające zdarzenie.

Już od dziewięciu lat dziewczyna z ich wioski, Małgorzata, żyła w gorszącym związku z młodym i bogatym panem w pałacu jego w Monte Pulciano. I oto pewnego dnia młody rozpustnik udał się na objazd swych włości i więcej nie wrócił. Dwa dni szukano go nadaremnie, wreszcie drugiego dnia wbiega do pałacu mały piesek, który mu towarzyszył. Skomląc żałośnie wpada do pokoju Małgorzaty i szarpiąc ją za sukienkę ciągnie ją za sobą, jakby chciał gdzieś prowadzić. Wiedziona przecuciem podążyła za pieskiem. Doprowadził ją do zarośli i małymi łapkami począł gwałtownie rozgrzebywać ziemię pod jednym drzewem. Rozkopano to miejsce i oczom przerażonej dziewczyny ukazały się zwłoki jej nieprawego wielbiciela. Zamordowali go zbójcy, ograbili z pieniędzy, a ciało zakopali w lesie. Już zaczęło gnić i wydawało ze siebie woń nieznośną, odrażając patrzących swym widokiem.

Piękna i próżna panna nie oparła się wstrząsającej wymowie zjadanych przez robaki, gnijących oczu swego kochanka. Tak!... To była

ta piękność, co ją oczarowała i zepchnęła na dno grzechu przez tyle lat! W jakim stanie jego dusza poszła na sąd Boży? I jakie nad nią pokazało się miłosierdzie Boże? Nie wolno jej zwlekać ani chwili. Wybiła godzina nawrócenia...

W najbliższą niedzielę przed progiem kościoła w Alviano wierni, zdążający na sumę ujrzeni skuloną na klęczkach, cichą postać kobiecą. To Małgorzata, przyodziana włosienicą zamiast niedawnych szat i klejnotów, zebrała miłosierdzia u Boga, przebaczenia win swoich u ludzi. Piła z kielicha rozkoszy do dna, chciała teraz wychylić do końca kielich utrapień i pokuty. Wstąpiła do pokutniczego zgromadzenia Sióstr z Kortony, gdzie już odtąd żyła i umarła jako święta.

Ciało człowieka jest garścią popiołu... Dobra, rozkosze i radości, jakie nam ofiaruje, są przelotnym darem. Nie ma w nich nieskończonych wartości, jakie jedynie ofiarować nam może dusza. Dla niej żyć winniśmy głównie, nie dla ciała.

Kiedy więc kapłan w środę popielcową pochylił się nad nami, by nam przypomnieć zasadniczą prawdę naszej wartości człowieczej — wartość ducha, znikomość ciała — spójrzmy na chwilową ścieżkę ziemskiego życia naszego w tym wielkim i jasnym świetle wiekuistych naszych przeznaczeń. Przez ciało — jesteśmy synami ziemi, przez duszę — dziećmi Bożymi.

PANIE, RATUJ!

Na jezioro Genezaret wypłynęła łódź apostołska. W niej, ukołysany pluskiem fal, ciszą wieczoru i trudami dnia na usługach wielotysięcznej rzeszy — zasnął Chrystus Pan.

Miarowy ruch wiosel popycha łódkę coraz dalej i dalej na ciemną toń morza. A razem z posuwaniem się łodzi, zsuwa się nad nią coraz czarniejsza, coraz głębsza, coraz straszliwsza noc...

Ach, to nie noc tylko! To noc i burza!

Zawyły wichry, pod strop niebieski podskoczyły bałwany fal, łódź mimo wysiłku żeglujących apostołów, najwyraźniej ulega potędze żywiołów... „Zdarto żagiel, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei, głosy trwożnej gromady”... (*) Katastrofa grozi płynącym, — zatonięcie łodzi już bliskie...

Wówczas apostołowie przypomnieli sobie śpiącego Mistrza. Budzą go i przerażonymi głosami wołają: „Panie, ratuj nas! Giniemy!”

Niebezpieczeństwo musiało być, istotnie, groźne, skoro je tak ocenili rybacy, zżyci z wodą od dziecka. A Chrystus Pan nie kwestionuje również wielkiego niebezpieczeństwa. Wyrzuca im tylko małą wiarę. Mniemali bo-

*) A. Mickiewicz. Sonety krymskie.—Burza.

wiem, że więcej znaczy wzrok i głos Zbawiciela, niż Osoba Jego. A mieli Go przecież pośród siebie. Choć spał, — czuwało Serce Jego...

Zbudzony powstał i nakazał ciszę wzbudzonym żywiołom. Natychmiast umilkły wichry posłuszne. Po uspokojonych falach morza łódź popłynęła bezpiecznie do brzegu.

Niejedna sytuacja w życiu ludzkim domaga się pomocy Bożej. W niejednym wypadku samorzutnie wybiegają na usta trwożne słowa: „Panie, ratuj — ginimy!” I gdyby nie nadzieja pomocy, tu i tam zamarłoby zupełnie życie. Tylko nadzieja pozwala przetrwać. Ona jedna krzepi i podtrzymuje upadających na siłach, znużonych walką... Przecież dziś spotykamy całe zastępy ludzi, którzy nie mają nadziei, całe rzesze takich, co już znikąd nie oczekują pomocy. Ani z ziemi, ani z nieba... i giną.

Człowiek potrzebuje ratunku. Koniecznością życiową jest dla niego — nadzieja pomocy.

Kiedy potrzebna nam pomoc?

Pomoc i ratunek potrzebne są ludziom i stosunkom, wytraconym z normy, z równowagi.

Tak uczy życie praktyczne. Różnorodnym stosunkom życia ludzkiego, rozbieżnym sprawom, konieczny jakiś ład. Gdy ten zostanie zakłócony, wytracony z normy, — zjawia się potrzeba pomocy. Ład zamącony należy przywrócić. Zepsuje się coś w przewodzie elek-

trycznym — wołamy montera, czy technika, zedrze się obuwie — odsyłamy je do szewca, powstaną zaburzenia w organizmie — idziemy do lekarza. Szukamy pomocy, szukamy sposobów usunięcia nieładu.

W sprawach drobnych i mało znaczących odnajdujemy ponowną drogę ładu bez wysiłku. Nikt z dorosłych nie będzie płakał nieutulonymi łzami nad zadraśniętym paluszkiem. Ratunek łatwy i pewny znajdzie sam bez niczyjej pomocy. Ale zdarzyć się mogą sytuacje, w których najrozumniejszy człowiek, najbardziej doświadczony, może się poczuć bezsilnym i niezaradnym dzieckiem. Albo wyjścia nie ma, albo on go nie widzi. Grozi przegrana, katastrofa, zguba...

Wówczas słaby szuka mocnego, silny — jeszcze silniejszego od siebie. Każdy trwożnie wygląda pomocy. A gdy wreszcie ujrzy, że najsilniejsi bezradnie opuszczają ręce, że od nikogo z ludzi nie może spodziewać się pomocy, wtedy samorzutnie w każdym normalnym człowieku budzi się myśl by udać się o pomoc do Stwórcy ładu. Ten, który poraz pierwszy bez trudu natchnął wszystko cudownym ładem, będzie go umiał przywrócić, wprowadzić w rzeczy poraz wtóry...

Tak uczynili apostołowie na jeziorze Genezaret. Ład codziennej żeglugi został zakłócony. Próbują zaradzić temu sami, zwyciężyć roz hulany żywioł. Gdy wszystkie wysiłki oka-

zały się bezowocne — proszą o pomoc Chrystusa.

Błogosławiony człowiek, w którego sercu spoczywa nietknięta ta najwyższa nadzieja pośród nadziei ludzkich!... Nadzieja pomocy Najwyższego!

Rzut oka na świat współczesny stwierdza bowiem oplakany stan rzeczy. Ludzie, ludy, a przede wszystkim rządy — giną w beznadziei.

Zawyły wichry nieładu w pięciu kontynentach nad morzem życia jednostek i społeczeństw. Uderzył sztorm, łamiący wszystkie maszty, rwący żagle, druzgocący ster. Najmędrsi z mądrych stają bezradni i załamują ręce. Bo jeśli trudno zaradzić i usunąć nieład z życia jednego człowieka, to cóż mówić o usunięciu gmatwaniny i nieładu z życia jednego wieku i ogromnej dwumiliardowej rzeszy ludów?!

Klucz od naprawy pogmatwanych stosunków spoczywa nieomylnie tylko w jednym ręku: — w dłoni Stwórcy. Do Niego, Dawcy ludzkiego życia i ludzkiego ładu, muszą się błagalnie wyciągnąć ramiona: „Panie, ratuj — ginimy!” I On jeden mocen jest powstać i rozkazać wichrom i burzy: „Milcz, ucichnij!”

Nie należy wszelako sądzić, że nadzieja pomocy Bożej jest czymś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej od wypadku. Zdarzył się

wypadek — wypłacają zaraz odszkodowanie... według ustalonego formularza, paragrafu...

Nadzieja pomocy Bożej to rzucenie swych ramion osłabłych w ramiona Wszechmogącego, oddanie się Jego władczej woli. Bóg realizuje plan SWEGO ładu, zamierzony w każdym wieku i w każdym człowieku. Rzucając się Mu w ramiona, jak dziecko ojcu, możemy być pewni, że ramiona ojcowskie wyniosą nas — tak, czy inaczej — na pożądany szlak ciszy, gdzie już reszty dokonają siły nasze własne.

Tak uczynił apostołom, proszącym o pomoc. Tylko burzę uciszył, ale nie przygnał odrazu łodzi do brzegu. W pokiereszowanej łodzi, z podartym żaglem, z potrząskanymi wiosłami — musieli mozolnie sami płynąć do brzegu jeziora.

Taką jest pomoc Boża. I o taką zawołać winny wszyscy ginący — ludzie i ludy:

— Panie, ratuj!

Inaczej zginą...

SZUKAMY SZCZĘŚCIA!

Rzadko w którym okresie historii tyle podróżowali ludzie, co dziś. Powiedziećby można, że dopóty człowiek współczesny nie zazna spokoju, dopóki nie wyjedzie gdzieś w świat.

W tym nieustannym ruchu i przerzucaniu się z miejsca na miejsce różni różne mają cele. Jednych wzywają poza dom obowiązki zawodu, czy powołania, drugich interesy materialne, ale wszystkich wypędza w świat ta sama zasadniczo, z dni rajskich jeszcze wyniesiona pobudka. Serca głębsze ją wyrażają słowami: „Szukamy szczęścia!”

Ludzie szukają szczęścia. Mali, wielcy, bogaci, biedni, głupi i mądrzy—wszyscy szukają szczęścia. Nie znajdując go w pobliżu siebie, w znanych warunkach otoczenia, sądzą, że je znajdą w innych stronach, w lepszej koniunkturze, „za górami, za lasami, za dolinami”—jak pewna piosenka śpiewa. Albo jak obiecuje bajka w ustach ludu— „za dziesiątą górą, za dziesiątą rzeką”. Tak daleko bowiem od ludzi ma mieszkać szczęście...

I ludzą się kandydaci do tronu szczęścia. Przejechawszy dziesiątą górę i jedenastą rzekę, spostrzegają ze smutkiem, że na każdym punkcie kuli ziemskiej sprawdza się ruskie

przysłowie: „Chody sobie do Krakowa, wsiudy bieda jednakowa, chody sobie za Karpaty, wsiudy treba bidowaty”. Goniąc po świecie za szczęściem, na każdej stacji swej podróży doganiają—ułudę, majak szczęścia, albo też po prostu biedę. Tę ostatnią nawet łatwiej, bo wydawszy pieniądze na podróż nie mają za co kupić szczęścia... gdyby je przypadkiem po drodze spotkali...

A spotkać je można jednak, mimo wszystkie rozczarowania wszystkich pokoleń ludzkich. Trzeba tylko znać dokładnie adres, wiedzieć, gdzie szczęście nasze zamieszkało i gdzie na nas czeka.

Informacyj niemylnych w tej mierze udziela tylko wiara katolicka.

Najpierw określa nam *istotę szczęścia*. Chce, żeby szukający nie pomylił się i nie uważał za szczęście istotne zwykłych majaków i miraży szczęścia. Krótko więc i węzłowato mówi w swej filozofii:—Szczęście powstaje z posiadania dobra, właściwego danej istocie.

Jakoż świat cały potwierdza prawdę katolickiej mądrości. Ptaszek w swej wędrówce napowietrznej uchwyci muszkę, chrząszczyka, czy motyla, nasyci się nim i śpiewa szczęśliwy. Złowił, posiadał odpowiadające sobie i właściwe dobro... Kwiat zwilżony rosą rozchyła w promieniach słońca barwny, pyszny swój kielich i — rzeby można — rozkoszuje się swym szczęściem. Tak samo w świecie ludz-

kim. Każdy człowiek cieszy się i raduje, kiedy posiędzie jakieś swoje dobro.

Najlepiej to stwierdzić na najrzetelniejszym materiale ludzkim, jakim są dzieci. Kupią malcowi rodzice zabawkę:—lalkę, konika, szabelkę, jakiś okręt, samolot, czy rower — ile radości, ile w oczkach małych, roześmianych czai się prawdziwego, niepodjezranego szczęścia! Dziecko posiadało *swoje dobro*. Cieszy się nim i jest szczęśliwe.

Rzecz jasna, że szczęście to trwa tylko dopóty, dopóki zabawka jest nowością, póki się nie uprzykrzy, lub nie zepsuje. Idzie wtedy do lamusa, jak zwykły grat, choć swego czasu była czarodziejem, rozdającym szczęście małym ludziom.

Coś podobnego dzieje się i z dorosłymi,—dużymi dziećmi. Ileż to razy goreją zachwytem i szczęściem oczy, dwie pierworodne gwiazdy naszego człowieczeństwa. Posiadanie jakiegoś wymarzonego dobra stało się naszym udziałem... Jesteśmy szczęśliwi, ach jak bardzo szczęśliwi. A po niedługim czasie, gdy owo dobro rozkruszy się, zwietrzeje, wniwecz obróci, załamujemy ręce, jęk rozdziera nam serce, po licach spływa gorzka łza... Na pogrzebie szczęścia i posiadanego niegdyś dobra...

Posiadanie więc właściwego dobra — daje szczęście, utrata tego dobra — czyni nas nieszczęśliwymi.

Dóbr na ziemi jest ilość niepoliczona, na-

wet dóbr tylko i ściśle właściwych człowiekowi. A to dlatego, że pojemność naszego JA na różnorodne dobra posiada nader rozległą skalę. Dóbr sobie właściwych domagają się kolejno i z całą bezwzględnością nasze: — oczy, uszy, ręce, nogi, cały zmysł dotyku, system oddechowy i odżywczy, system krwionośny, nerwowy, kostny... Trzeba po prostu ustalić całą i to dobrze zharmonizowaną hierarchię w dostarczaniu każdemu składnikowi naszego fizycznego JA dóbr jemu właściwych, żeby każde poczuło się zadowolone, syte, szczęśliwe. I w swoim zakresie i w zasięgu całości organizmu. A obok władz cielesnych domagają się z większą jeszcze natarczywością dóbr swoich nasze władze wewnętrzne: — wyobraźnia, pamięć, wola, rozum. Tutaj apetyty rosną naprawdę w nieskończoność. Rozum i wola człowieka, gdy są rozbudzone z uspienia barbarzyństwa i nieuctwa, dostają skrzydeł do lotu w tak ogromną dal, że jej kresu na tej ziemi nie widać. Duch ludzki mierzy w dóbr nieskończoność... I o tej nieskończoności dóbr nie tylko chce marzyć, czytać, wiedzieć, ale chce je posiadać w rzeczywistości. Wie doskonale, że: — *posiadanie dobra daje szczęście, a nieposiadanie go czyni nieszczęśliwymi.*

Wiedzą o tym ludzie, a właściwie nie wiedzą. Gdyby tylko chcieli, mogliby z łatwością rozgraniczyć w sobie i w świecie dwa te-

reny. Ciało nasze, z ziemi wzięte, żąda dóbr ziemskich i nimi się zadowolnia. Samo będąc skończonym, ma wymagania skończone i dobrami skończonymi kolejno się nasycza. Ale górujący nad ciałem świat ducha ludzkiego ma wymagania szerszego pokroju. Nawet pogrążony w barbarzyństwie, wybiega ponad ziemię. Mierzy nie w nieskończoność wprawdzie — wyraźnie i jasno — ale w bezkres i dalekość jakąś nienazwaną. Natomiast ludy i dusze, rozbudzone kulturą, łakną, i pragną dla swego duchowego jestestwa dóbr dosłownie nieskończonych.

A dóbr nieskończonych świat widomy nie ma. I nie da ich żadnej łaknącej duszy. Kto je chce osiąść i być szczęśliwym, musi po nie sięgnąć do nieba.

NIESPOKOJNE SERCE.

Już od szeregu lat uważny obserwator ludzi i stosunków ludzkich spostrzegać musi na świecie dziwny jakiś niepokój.

Niepokój ten bije w oczy wszędzie — na zewnątrz... Ogarnia stosunki państw i narodów... Jedne drugich się boją... Starają się zagłuszyć obawy własne i cudze zapewnieniami swych ministrów i ambasadorów, że właśnie jest przeciwnie, że chcą pokoju! I aby go sobie zapewnić, zabezpieczyć, przeprowadzają na szeroką skalę zbrojenia... Fabrykując broń i gazy trujące—(dla obrony przed „niespokojnym sąsiadem”)—oświadczają głośno, że ukochały—pokój!

Niepokój ten spostrzegamy wszędzie, pośród wszystkich stanów i warstw społecznych. Nurtuje on szeregi robotników, niepewnych o swe jutro, nurtuje tym straszliwiej rzesze bez pracy, bez chleba. Widzimy je, jak snują się i kłębią na kształt fal olbrzymiej rzeki, gdy jej zagrozić... Szukają coraz gwałtowniej ujścia!... A na widok tego, co się rozgrywa na dole, niepokój zakrada się u góry. Czai się za fotelami ministrów, rośnie, jak cień tajemniczej ręki, co pisze na ścianach świata:—Mane, The-

kel, Phares... Jakiś fatalny, a straszny w swej grozie kataklizm iść się zdaje ku ludom, jak godzina przeznaczenia.

I niepokój zewnętrzny wnika głębiej do dusz. Owłada duszami młodych, trapi starców, steranych latami. Opanowuje sfery najwyższej inteligencji, bezradnej, jak powstrzymać tyranię zła, — niepokój osiada wśród warstw nieoświeconych, nieumiejętnych, a załęcznionych, co jutro przyniesie? — niepokój, chyba największy, jawi się pośród tych, którym nie dano wychylić pełnego haustu wiedzy..

I tak jednym słowem—niespokojne jest serce wieku, w którym żyjemy. A źródło tego niepokoju? Gdzież ono bije? Skąd rozlewa przeogromne swe wody?

Przyznać trzeba, że odpowiadając na to pytanie, błąkają się przeważnie rozумы ludzkie. Nie wiedzą. Nie znają i nie dostrzegają źródła. Nie umieją zdać sobie dokładniej sprawy z psychologicznego łańcucha tych fał, z których jedna popycha drugą, druga trzecią i potopem niepokoju zalewają dusze, serca — w Polsce i w świecie.

Tymczasem źródło jest bardzo wyraźne. Niepokój serce zrodziła współczesna oświata.

Jakto?!—Oświata—źródłem niepokoju? Niepokoju? Niemożliwe!

Tak jest. Człowiek, im więcej wie, poznaje, tym więcej też pragnie posiadać rzeczy

poznane. A klucz do krainy wiedzy ma oświata. W pokoleniach przed nami nie było oświaty powszechnie dostępnej. Słaby tylko odsetek uprzywilejowanych umiał czytać i pisać. Szerokie masy ludu nieoświeconego po prostu spały na globie — długie wieki — nawet nie przeczuwając, że można żywić w duszy jakieś aspiracje, jakieś pragnienia swoje... Osobiste, społeczne, dziejowe... I dziś połowa ludzkości jeszcze śpi, ale rok za rokiem coraz wyraźniej się budzi... Budzi się lud za ludem, naród za narodem. Oświecają się głowy przez oświatę powszechną. A z głów oświecających się płynie prąd żywy do serc i zapala je pragnieniami. Tego, co im umysł ukazał... W jak najszerszym zakresie.

I można by powiedzieć, że dusze ludzi nieoświeconych są jak wagony pociągu, stojące luzem na stacji. Obrastają zielskiem dokoła i rdzewieją znieruchomiełe. A dusze dotknięte oświatą są jak wagony pociągu w biegu szczipione z lokomotywą. Z szumem i hukiem lecą, pędzą naprzód, w dal... Przebiegają poznaniem coraz to nowe okolice, pragną rzeczy coraz to nowych, innych... Niespokojne stają się dusze, niespokojne serca...

Oświata powszechna dokonała i stale dokonywa tego cudu, który można by nazwać otwarciem drogi w nieskończoność. Wiedza coraz szersza, coraz dokładniejsza, coraz doskonalsza otwiera przed człowiekiem tysiące

nieznanych dotąd dziedzin życia, oszołamia serca ludzkie. Tak wiele ludzie wiedzą, tak bardzo wiele, a w dwójnasób więcej jeszcze pragną. A że pragnie nie jeden, nie dwu, lecz dzisiaj już miliard, a jutro dwa miliardy ludzi, stąd nic dziwnego, że atmosfera świata, temperatura serc — pragnień i pożądań ludzkich — tak podskoczyła wysoko na kuli ziemskiej, tak chwilami rozpała się aż do żaru...

Rzeczy jedne poznane ciągną za sobą drugie, jeszcze bardziej upragnione... Jak wagony pociągu pędzą i pędzą w dal... Nie widać kresu... Niespokojne serca ludzkie nie znają wytchnienia... Dokąd pójda, gdzie znajdą uspokojenie wewnętrzne, spokój zewnętrzny?!...

Nie znajdują go nigdy — z kluczem oświaty dzisiejszej w ręku!

Dlaczego?

Dlatego poprostu, że oświata współczesna robi się przedziwnym ministerstwem komunikacji. Ukazuje podróżnym i otwiera tor w nieskończoność, a dowozi tylko wpół drogi. Zatrzymuje się na stacji: — Doczesność... Ziemia... Sporty, choćby podniebne... Biegi, choćby międzyplanetarne... Wyścigi, choćby stuletnie... To wszystko jednak jest niezłym więcej, tylko doczesnością, skończonością. A pęd serca ludzkiego wyraźnie idzie i rwie ku stacji:—NIESKOŃCZONOŚĆ!

Podróźni tego pociągu przyzwyczajają się wysiadać wpół drogi. Szkoły bez religii—są krzy-

kliwym ideałem. Literatura bez Boga—życie publiczne, państwowe—bez Boga. Domy bez Boga, dusze i serca — bez Boga! Przecież to współczesne MARZENIE! Marzenie ministrów, poetów tuzinkowych, wszelkich najpospolitszych zjadaczy chleba.

A nieskończonej skali serca człowieka nie zapełni okruch ziemi... I dlatego tak spragnione, a tak niezaspokojone—niespokojne jest serce wieku...

Dopóki nie spocznie w Bogu!

CÓŻ JEST CZŁOWIEK?

Wygrana na lutni Króla-proroka księga psalmów zamyka w sobie istne perły myśli i natchnienia. Myśli, ogarniającej wszystkie dziedziny życia ziemi, natchnienia — zstępującego z niebios.

Jeden z najpiękniejszych psalmów opiewa chwałę człowieka, zestawiając go ze Stwórcą, aniołami i wszechświatem:

Panie, nasz Panie! Jak dziwne twe imię!
Po całej ziemi swe czary rozlewa...
Chwała twa—wyższa nad niebo olbrzymie—
Przez usta ssących i niemowląt śpiewa,
Na przekór wrogom, doskonałość twoją...
A wróg i mściciel tych głosów się boją!

Patrzę na niebo... Lśni rąk twych robota,
Księżyc, piękniejszy od szczerego złota,
Goreją gwiazdy, któreś ty zapalał,
Gdyś fundamenty wszechświatów ustalał.

A cóż jest człowiek, że masz go w pamięci,
Że go nawiedzasz i dzierżysz w swej pieczy?
Z ręki twej wyszli aniołowie święci...
Mało co mniejszy od nich syn człowieczy.
Sam czią i chwałą go koronowałeś
I nad dziełami rąk swych władzę dałeś.

Wszystko złożyłeś w proch pod jego stopy..
I woły w jarzmie i owieczek stada,
Ptactwo, co niebios rozśpiewuje stropy,
I bezlik zwierza, co na polu jada,
I ryby morza i morskie potwory,
Co przechadzają się przez wód otchłanie...
Jak dziwne imię twe, nasz wieczny Panie,
Na ziem okręgu, nad niebios przestwory!
(Ps. 8)

Z piękna słów natchnionych, jak z rozlew-
nego jeziora, spowitego tajemniczo welonem
mgieł, wychyla się ku nam postać imponują-
ca. Postać istoty, mało co mniejszej od anio-
łów, istoty, ukoronowanej czią i chwałą, upo-
sażonej władzą — bezsporną — nad wszystkimi
dziełami rąk bożych. Sam Pan go nawiedza,
ma go w nieustannej pamięci i dzierży w swej
pieczy. Oto on—syn człowieczy!

A jak Pismo św., tak i ludzkość sądziła
o sobie, ogarniając naturalnym rozumem swą
istotę człowieczą. Jeden z najsubtelniejszych
narodów świata, grecy, nazwali człowieka „mi-
krokosmos” — świat w miniaturze, świat
w streszczeniu.

Jakoż istotnie, ze wszystkimi jestestwami
wszechświata ma człowiek coś wspólnego.
„Posiada byt i zalety przyrody nieżywej, jak
kamienie i wody. Piastuje w swym łonie ży-
cie, jak rośliny, czucie, jak zwierzęta, rozum
i wolę, jak aniołowie”. (Św. Grzegorz Wielki)

Nie masz istoty, której podobieństwa w człowieku dopatrzeć by się nie można.

I tak dokonywa się w człowieku jakby powiązanie w jednym, węzłowym punkcie wszystkiego, zamknięcie w jednym organie dwu przeogromnych światów — materialnego i niematerialnego. On jest tą soczewką cudowną, w której ogniskuje się razem — skończoność i nieskończoność.

Nie tylko bowiem wszechświat stworzony wiąże w sobie człowiek. On w pewien przedziwny sposób dotyka Stworzyciela. Nosi wyściśnięty na rozumie swym i woli — niezatarty obraz i podobieństwo Boga.

Mały — a jakże wielki! Zaiste, „mikrokosmos”...

Po tysiakkroć mniejszy od świata, a jednak większy od niego — pan świata!

Należy jednak odszukać, wskazać i ustalić w całej jego tak dziwnej istocie niezaprzeczony punkt wielkości.

Nie wszystko bowiem w człowieku jest wielkie. I natchniony psalmista widzi to, tylko milczeniem pomija, a raczej pokrywa zdziwionym pytaniem, że tak lichą istotę taką czcią Bóg ozdabia. I przede wszystkim widzi to na każdym kroku sam człowiek, jak miżerny jest i mały. Nie waha się raz po raz nazywać siebie — nicością.

Gdzie zatem w nim oparcie dla wielkości spoczywa, a gdzie tkwi źródło nicestwa?

Dwa światy, wzajem obce sobie i dalekie, nosi w swym łonie człowiek: świat ciała i świat ducha. W ciele jego tkwi źródło nicości, w duchu spoczywa jego wielkość.

Patrzmy tylko, jak się ten proces odbywa.

Ciało, organizm ludzki, powstaje z odrobiny materii, której ogromy, wprost nieogarnione, zaludniają gwiazdne przestworza. Człowiek zwolna rośnie, pobiera nieco więcej materii z otaczającego świata dla siebie, lecz nie bierze jej bez końca i miary. Posiada miarę ustaloną, poza którą nie wykracza. Miarę bardzo nikłą i niewielką. Stąd jego małość. Ogrom materii wszechświata w nim się niejako kurczy, jakby unicestwia swą wielkość, jemu się oddając. A potem ta licha garstka materii — nie dziw — że bardziej jeszcze maleje... bo rozkrusza się i umiera. Oto źródło małości człowieka — ciało. Oto punkt jego nicestwa.

Duch rośnie inaczej. Ujawnia w swym rośnięciu właśnie zasadę wielkości. Z nieskończonych rejonów wszechświata czerpać może poznanie bez końca, bez miary. Im więcej, tym lepiej. Nie obciąża go prawda, nie lęka się nieskończonych jej dróg, owszem, tęsknie ku nim obraca źrenice. Zaczyna od zera, podobnie jak ciało człowieka, zaczyna od abecadła, ale nie staje w pół drogi. Idzie w nieskończoność.

Kto zatem na ducha kładzie akcent, na

jego rozbudowę, jego rozkwit nieustanny, ten ukazuje sobie, narodowi, ludzkości — drogę wielkich. A kto kładzie nadmierny nacisk na ciało — wkracza na drogę nicestwa. I na drogę nicestwa sprowadza narody...

W dziejach jedna tylko instytucja stale i konsekwentnie kładzie nacisk na ducha — Kościół katolicki. Każe ducha budzić, pielęgnować, rozbudowywać. Każe ducha wzmacniać uszlachetniać, oczyszczać — przynajmniej raz do roku w okresie Wielkiejnocy. Chce bowiem duszę ludzką przyozdobić jak najcudniej na wzór Tego, na czyj obraz i podobieństwo została uczyniona.

ŚWIAT NA NICE.

Kiedy człowiek ubogi spostrzeże wytarty wierzch ubrania, nie mogąc nabyć nowego materiału, odwraca stary na nice. Lichsze to i nie wygląda tak okazale, cóż jednak robić? — Bieda! — Przenicowane ubranie ma pozory nowego...

Można by powiedzieć, że „nicowanie” zdobyło dzisiaj wszechświatową skalę zastosowania. Nie tylko w dziedzinie ubrań, kostiumów, strojów... Ludzie, rodziny, narody, państwa na wyścigi odwracają ŻYCIE swe na nice.

Przypatrzmy się bodaj dorywczo tej sztyfowej pracy najbiedniejszego z wieków — wieku naszego.

Świat ludzki zaczyna się od duszy. Ona jest motorem wszystkich czynów i myśli, ona jest przyczyną sprawcą wszystkiego, cokolwiek działo się wielkiego na ziemi. Cała bowiem kultura ludów jest wynikiem rozumu i woli — dziełem duszy człowieka, pracującej w materii.

Toteż w biegu wieków do tego stale dążyły pokolenia ludzkie, by wzmocnić pozycję rozumu, woli, by podkreślić i rozbudować duszę w człowieku. Podpieraną ją stopniowo coraz większą ilością szkół, profesorów, ksiąg,

laboratoriów, muzeów, ołtarzy, świątyń. Starano się, by rozum był coraz większy, by dusza dominowała nad życiem, nad ciałem, nad porywami żądź fizycznych, fizjologicznych... Nad tą kruchą cząstką człowieczego JA, którą asceci katolicyzmu nazywali swoim „bydłakiem”, a św. proboszcz z Ars swym nędznym trupozem.

Na duszy i duchowej pracy człowieka już osiadł kurz 50-ciu co najmniej wieków. Współczesnemu człowiekowi chce się nowości. Wydała mu się starą i znoszoną ta szata „ducha”. Postanowił obrócić ją na nice...

Ciało na wierzch! Dusza na spód...

Dusza? — Kto ją zresztą widział?! Czy ona wogóle istnieje? Najwyraźniej przecież widać, że pracuje ciało... Ręce, nogi, oczy, mózg człowieka... A dusza? — Między bajki ją włożyć!

I świat ludzki, obrócony na nice, kładzie cały nacisk na ciało, na sporty. Największy zjazd uczonych całego globu nie jest takim świętem jak najzwyczajniejszy „bieg na przelaj”, albo ring bokserów... Nie mówiąc już o świętach religijnych, którym odbiera się i kradnie nazwę, by ją przylepić na pierwszym lepszym „święcie piłki nożnej”... Na budowę stadionów sportu wydaje się miliardy ze skarbu państwa, podczas gdy uniwersytety nie mają grosza na laboratoria, biblioteki... A który rząd w Europie za ostatnie ćwierćwiecze dał milion zło-

tych na budowę kościoła?! Chodzą wprawdzie do szkół, wzniesionych dla duszy, także ludzie dzisiejsi, ale ten okrucuch duszy, jaki stamtąd wynoszą, podporządkowują materialnym interesom, oddają w niewolę ciała... Słowem, nie dusza nad ciałem, ale ciało ma panować nad duszą — oto hasło wieku...

Tak przeniecony człowiek odwraca dalsze dziedziny na nice.

Wprowadzając dwoje pierwszych ludzi na włodarstwo tej ziemi, rozkazał im Stwórca: „Posiadźcie ziemię, karmiąc się jej bogactwami i czyńcie ją sobie poddaną. „Miała więc ziemia być dla człowieka, nie zaś człowiek dla ziemi. Konkretnie biorąc, miało być gospodarstwo dla gospodarza, nie gospodarz dla gospodarstwa, rzeka dla rybaka, nie rybak dla rzeki, państwo dla obywateli, nie obywatele dla państwa, maszyny dla ludzi, nie ludzie dla maszyn...

Tymczasem „ubogiemu” wiekowi ten porządek wydał się przestarzałym, bardzo znośnym. Zaprzagnął ubrać się w jego nową stronę. Przeniecał go i postanowił, że ma być odtąd inny układ stosunków. Nie ziemia dla człowieka, ale człowiek ma być sługą i niewolnikiem ziemi. Człowiek ma być dla państwa, jego mułem roboczym i osłem... Człowiek ma być niewolnikiem fabryk i maszyn... Mniejsza o to, czy robotnik będzie głodny

i nagi, byle produkcja szła... I także mniej-
sza o to, czy będzie w sumieniu spokojny,
byle zadowolił wymagania nowoczesnego bał-
wana, przed którym padają na twarz wiecy
politycy wieku...

Wyniesienie maszyny nad człowieka ze-
mściło się już nad narodami po upływie stu-
lęcia. Nemezis dziejowa wypisała na chmu-
rach: „Mane, Thekel, Phares!“ — Bezrobocie!

Bałwochwalcze padanie plackiem człowie-
ka przed państwem doczeka się podobnego
losu. Wielka różga dziejów smagać je pocnie
tak, jak dotknęła swego czasu Nabuchodono-
zora. Asyrię, Babilon, Egipt, Macedonię i naj-
bardziej bałwochwalczo zapatrzony w siebie
starożytny Rzym cesarów...

Nie da się bezkarnie odwrócić na nice
ten układ, jaki został wskazany przez Boga
na początku... Ziemia i wszystko, co na niej
jest, ma być na usługach człowieka. Nie wol-
no przybranemu synowi Bożemu zamienić się
w niewolnika. Pod żadnym pozorem w ża-
dnej dziedzinie. Ma być panem ziemi, panem
jej stosunków...

Przekreśliwszy w sobie duszę i umniejszo-
ny o całą głowę niewolnik ziemi przeniecowu-
je następnie dalsze, wyższe strefy życia ludz-
kiego. Zasadą najwyższą, hasłem ogarniającym
wszystkie wieki jest, była i będzie prawda:
— Nad człowiekiem, nad światem, nad wszy-
stkim — jest BÓG!

On jest Twórcą i Sprawcą wszechbytu,
On nakreśla mu prawa. Jak normuje biegi
gwiazd, tak ukazuje ścieżki stopom i sercu
ludzkiemu. A ścieżki to nieomyłne! Każde
jesteństwo ma być im poddane, musi nimi iść
nieodwołalnie jeśli chce dojść do mety swego
szczęścia.

Krecie oczy wieku „ubogich duchem“ umy-
śliły nie patrzeć tak daleko, tak wysoko. Bli-
żej patrząc i niżej, nie tak umęczą się oczy.
Poco sięgać aż nad gwiazdy!—do tronu Stwór-
cy?—A kto Go widział? Czy ON koniecznie
być musi? — I bez niego świat jest światem
i chodzi na swych orbitach, jak drzwi na za-
wiasach... Bo - rzecz prosta—gdyby był, a jest
Panem wszystkiego, wówczas porachuje się
z każdym... Kto nie tak czynić będzie, jak
Pan najwyższy nakazał, jak ON rozporządził,
— temu biada! Ale... Jego chyba niema!... Nie
Bóg nad światem, ale świat nad Bogiem i o
Bogu wyrokuje... A ponieważ ten świat, w pe-
wnej mierze, pozwala człowiekowi deptać po
swym grzbiecie — zatem hurra! Używajmy
tego pysznego, „boskiego“ świata, póki służą
lata, według własnej woli i zachcenia.

W ten sposób powstaje nowy, odwrócony
na nice, porządek rzeczy. Dusza i Bóg, jako
czynniki niewidzialne, usunięte są za nawias.
Ciało jest nad duszą, a świat ogromny nad
maluczkim ciałem. A z tym bożkiem łatwo

można sobie poradzić. Wodzi go na swojej smyczy ciało...

A gdy się tak nicuje wszystko, pozostaje dokończyć dzieła. Trzeba, żeby wiek „ubogi duchem”, sadił oddtąd drzewa koroną w ziemię, a korzeniami w górę... I aby odwrócił biegi rzek:—Od morza ku źródłom!

KUSICIEL.

Wyczerpany czterdziestodniowym postem i modlitwą, miał już Chrystus opuścić dzikie góry Judei. Ostatnim wejrzeniem objął swą grootę, która mu zapewniła tak długo dach nad głową i była przedsionkiem nieba... I miał już zejść z urwistych stoków dzisiejszej wyżyny Dżebel Karantal — tak utrzymuje tradycja — gdy wtem... musi jeszcze załatwić gościa!

Zdaleka kłania Mu się przybysz. Najwidoczniej szukał nowego Proroka na pustkowiu. A może sam w tych górach jest jednym z pustelników—ebionitów, co wówczas tam mieszkali i z jakimś interesem przychodzili...

Delikatność Chrystusa posuwała się zawsze do ostatnich granic. Mimo zmęczenia, mimo wyczerpania sił, postanawia załatwić gościa, który Go tymczasem układnie i z uniżonością wita...

Był — okazuje się — nad Jordanem. Miejąc temu z górą, gdy Jan udzielał chrztu Mistrzowi. Słyszał nawet ich rozmowę, widział niebo otwarte i gołębicę. Nie uszedł jego uwagi głos z nieba: „Oto Syn mój najmilszy... Jęgo słuchajcie!” Wnioskując z tego świadectwa, niebios i z tego, co Jan przedtem mówił—wielki prorok, ale trochę krańcowy! — to ziemię nawiedza łaska boża... W osobie Tego,

z Kim ma szczęście rozmawiać w tej chwili, stoi przed nim i przed narodami — Mesjasz, Syn Boży...

A jemu nade wszystko imponują wielkie duchy. Chciał odrazu nad Jordanem zgłosić się do Mistrza, ale jakoś Rabbi znikł mu z oczu. Szczęściem dopytał się, że Rabbi poszedł w góry na modlitwę i wreszcie go odnalazł... Jest pełen podziwu dla tak długotrwałego postu i bogomyślności, która nie lęka się sąsiedztwa hien i szakali...

Początkowo bał się o zdrowie Mistrza i nawet, udając się w góry miał zabrać nieco żywności. Zaniechał jednak. Rozmawia przecież z Mesjaszem! A zresztą i sam mógłby narobić smacznych chlebów, choćby z tych oto kamieni, bo nie chwalać się też się trochę zna na cudach... Ale w tym wypadku ustępuje pierwszeństwo Godniejszemu...

— Rabbi — zwrócił się do Chrystusa — jeśli jesteś Synem Bożym, rozkaż, aby te kamienie stały się chlebem! — Posilimy się. Prawdę mówiąc, to i mnie bardzo zmęczyła ta droga w góry...

Spoczęły na mówiącym oczy święte, które na wszystko patrzeć muszą.

— Nie samym chlebem żyje człowiek — usłyszał odpowiedź — ale i każdym słowem, które pochodzi z ust bożych.

Ależ tak, naturalnie! Ze serca wyjął mu Mistrz to zdanie! Potrzeba światu słowa bo-

żego, zawartego w Piśmie! On sam zna całą biblię na pamięć i widzi, że obaj z Mistrzem doskonale się nadadzą do wspólnej pracy nad religijnym odrodzeniem Izraela i świata. Bo religia — trzeba to przyznać, niestety — wszędzie ogromnie podupadła. Stanowczo potrzebna wielka Reforma religijna i przede wszystkim Wielki Reformator... On z miłą chęcią ofiaruje Mistrzowi swe usługi. Ażeby zaś Rabbi wiedział, jak niezwyklego może w nim mieć pomocnika —

...wichrem porwał Chrystusa i postawił na wieży narożnej w świątyni jerozolimskiej. Samo spojrzenie w dół z tej wieży w dolinę Cedronu przyprawiało słabszych o zawrót głowy.

— Oto Mistrzu — mówił uczeń cudowny — jesteśmy w najwspanialszym centrum religijnym. Akurat Pascha się zbliża. Zewsząd ściągają miliony żydów do stolicy. Stąd odrazu ruch religijny może ruszyć na szerokie wody. Ale trzeba zjawić się — cudem!... Dosłownie — spaść z nieba... Rabbi, rzuć się z tej wieży w dolinę! Każdy żyd uzna w tym palec Boży, gdy ujrzy, że nic Ci się złego nie stało. A wiemy przecież z Pisma... Aniołowie Cię na skrzydłach poniosą i nawet stopy nie urazisz o kamień wąwozu.

— Lecz napisano też — usłyszał odpowiedź — nie będziesz kusił Pana Boga twego!

Jest, owszem, i taki tekst w Piśmie św. Skoro zatem Rabbi uważa ten sposób wystą-

pienia mesjanicznego za niewskazany, on się nie będzie upierał, bo nawet ma sposób lepszy, skuteczniejszy i bardziej pomysłowy. Tak skuteczny niewątpliwie. Za jednym zamachem obejmie się reformą religijną cały świat. Należy tylko wyzyskać do swych celów największą, a gotową już w narodach siłę,—mianowicie polityczną, państwową...

...znów porwał wichrem Zbawiciela i poniósł Go z powrotem w góry Judei na najwyższy ich szczyt. I przesunął przed oczyma Chrystusa obraz chwały ziem i królestw, przepych władców i ludów.

— Ja — mówił — mam na swe skinienie wszystkie dwory panujących. Cały blask ich oddam na usługi Twojej idei, ale pod warunkiem... Za taki pomysł i taką pomoc — upadłszy uczynisz mi pokłon...

Ale w tejże chwili groźny piorun zapalił się w cichych źrenicach Zbawiciela.

— Idź precz, szatanie! albowiem napisano: Panu Bogu Twemu kłaniać się będziesz i Jemu Samemu służyć!

Uszedł kusiciel, a przystąpili aniołowie i służyli Panu swemu.

Jak Bóg-Człowiek, tak i człowiek spotyka na swej drodze szatana i aniołów. Zwłaszcza w wielkim dziele reformy życia: jednostek, rodzin, narodów. Zjawiają się i ofiarują swą pomoc...

Kusiciel ma zawsze projekty szumne, nie-

zwykle eksperymenty... Chleby z przemiału głazów wapiennych... Skok z wieży wielopiętrowej kościoła w rwące wody potoku... Obalanie i przetasowywanie królestw i republik...

Natomiast prawdziwi aniołowie przystępują doń i po prostu mu służą — według normalnych praw natury jego ciała i jego ducha, Praw ustanowionych przez Boga...

PANIE, ABYM PRZEJRZAŁ!

W południowych krajach, pod wpływem dokuczliwszego niż u nas żaru słońca, ludzie częściej zapadają na oczy i łatwiej ulegają ślepotcie.

Wzdłuż drogi karawanowej, wiodącej przez starożytne Jerycho rozsiadała się zwykle cała procesja kalek różnego rodzaju. Pośród nich było wielu ślepych.

Karawany przeciągały tędy stale, gdyż na tym wielkim trakcie handlowym zdawien dawna Wschód podawał swe towary Zachodowi. Ale ciżba ludzka zagęszczała się tam najbardziej około Wielkiejnocy. Setki tysięcy pielgrzymów z pieśnią „Hallelu-Jah” na ustach zdążyły tędy na święta Jerozolimy. Wtedy żebracy, spodziewając się większego żniwa dla siebie, dosłownie niemal oblepiali drogi miasta, po których szły karawany i rzesze.

I oto właśnie idzie ku Jerychu większa, niż zazwyczaj, rzesza ludzi. Niebywały zgiełk, jaki jej towarzyszy, zdradza ją zdaleka, tak, że ślepiec, żebrzący przy drodze, chociaż nic nie widzi i choć przywykł do ustawicznego szumu przechodniów, zwraca na nią uwagę. Zaciekawiony pyta sąsiadów, mających zdrowe oczy, coby to było?

To — mówią mu — Jezus z Nazaretu mimo idzie...

Uszom własnym nie chciał wierzyć... Czyż to możliwe?... Tak niespodziewane szczęście?! — Jezus z Nazaretu idzie i za chwilę tu będzie!... Tu w jego pobliżu!

Tętna jęły mu bić młotem w skroniach i w piersi. Krew uderzyła łuną rumieńców, znacząc na twarzy zorzę nadziei... I łza gorąca opłynęła martwe szklivo źrenic, jak ciepła rosa obumarłe kwiaty...

Zerwał się na równe nogi. Zebrał się w sobie i dobył z płuc całą siłę głosu, cały jęk zbołałej, nieszczęśliwej duszy. Nie zna, nie widzi nadchodzącego Mesjasza, ale słyszał o Nim tyle dobrego... O Jego łaskawości, słodczy, o Jego miłosierdziu bez granic... Zwłaszcza dla kalek, dla nędzarzy takich, jak on...

Wyciągnął ku Niemu obydwie błagalne ramiona, jakby tym krzyżem człowieczej postaci chciał Mu powiedzieć: „Oto przechodzisz obok ludzkiej Kalwarii Ty, który dążysz ku swojej w Jeruzalem! Nie mijaj obojętnie, lecz wejrzyj i wesprzyj”!

I na głos cały zawołał:

— Jezu, Synu Dawida — zmiłuj się nad mną!

Tymczasem czoło pochodu już było tuż i pierwsi podróżni, co poprzedzali Zbawiciela, powstali gwałtownie na ślepca.

— Nie krzycz, czego się wydzierasz?! Ci-

cho siedź i milcz! Sam jesteś bez oczu, to przynajmniej uszanuj uszy Mistrza!

Lecz on nie zważając na nich, jeszcze głośniej woła:

— Jezu, Synu Dawida — zmiłuj się nade mną!

Chrystus, który właśnie nadszedł, zatrzymał się w pobliżu i kazał do siebie przywołać nieszczęśliwego. Jak Władca, jak prawdziwy Syn Dawida — Mesjasz — co zwiastuje miłosciwe lato boże, więźniom otwiera ciemnice, niemym przywraca mowę, głuchym słuch, a ślepym wzrok...

Ale choć wie, jakiego zmiłowania potrzebuje ślepiec z Jerycha, nie chce pominąć żadnej „joty” w zwyczajnym, ludzkim trybie postępowania, by zadośćuczynić ludzkiej prośbie.

— Co chcesz, abym ci uczynił? — zwraca się do żebraka z łaskawym pytaniem.

— Panie — załkał nędzarz, chyląc mu się do kolan — spraw, abym przejrzał!

— Przejrzyj! — rzecze mu Jezus. Wiara twoja cię uzdrowiła.

W tejże chwili ślepy przejrzał...

Ale nic nie widział dokoła, nie wiedzieć nie chciał! Ani tłumów odświętnie ubranych, ani palm i ogrodów różanych, ani wspaniałych pałaców pobliskiego Jerycha. Nie widział nic, okrom jednego tylko Chrystusa.

Za nim szedł, w Niego zapatrzony... Porwany uczuciem wdzięczności tak ogromnej, jak ten świat, który mu widzieć dano, jak ta noc,

z której go wreszcie wyrwała słodka moc Syna Dawidowego. Jego jednego wielbił — „dawał chwałę Bogu”, pociągając za sobą do dziękczynienia rzesze pielgrzymów...

— — — — —
Droga, wiodąca przez Jerycho, łączy się ze wszystkimi drogami świata.

Około święta Paschy, w okresie postu wielkiego, idzie po tej drodze Zbawiciel, otoczony rzeszą wiernych, garnących się na ucztę wielkanocną, wieczornikową...

Niezliczona ilość kalek zebrze wzdłuż tej drogi... Chromi na drogach Pańskich tam leżą, głusi na Jego natchnienia i ci, co zatracili mowę niebios, nie umiejący przemówić do Boga: „Zmiłuj się nade mną”! Są pośród nich i ślepy...

Nie mogą dojrzeć prawdy, sprawiedliwości. Nie widzą duszy własnej, potykając się wciąż o ciało. Nie spostrzegają słodkiej postaci Chrystusa, który właśnie idzie... Leczyć narody za narodami, wiek za wiekiem, człowieka za człowiekiem...

Oni nie widzą... ślepi...

Może choć szum usłyszą i gwar orszaku z Nim idącego na ucztę Paschy. Może się w nich coś zerwie, jak wichur odwieczny życia, jak pragnienie zdrowych oczu, by mogli z całych sił zawołać o słońce wiary, o ciepło łaski bożej dla swych dusz:

— Zmiłuj się nade mną, Panie, abym przejrzał!

UPOMNIENIA.

Pewnego razu wczesną wiosną obserwo-
wałem ogrodnika. Chodził z nożem w rękę
pomiędzy drzewami i przycinał zbyt wybujałe
gałązki, usuwał t. zw. wilcze pędy, wyrówny-
wał korony drzew owocowych, szlachetnych.
Natomiast drzew, rosnących w parku, nie ru-
szał, bo miały właśnie rósć w stanie natural-
nym, nie uszlachetnionym ręką i staraniami
człowieka.

Mimowoli nasunęło mi się porównanie pra-
cy ogrodnika z zabiegami rodziców. I oni ma-
ją w rodzinie swą działkę, swój „ogród” i swo-
je drzewka młode, które z czasem będą rodzić
owoce szlachetne. Dzieczek w ogrodzie owo-
cowym i dzieczek w rodzinie — nigdy nikt so-
bie nie życzy. W rodzinie szanującej się, kul-
turalnej i religijnej—w Rodzinie Polskiej.

I u nas naogół nie ma dzieczek. Wszystkie
dusze polskie są zaszczipione przez wiarę. Ja-
ko szczepy Boże posadzone są w ogrodach
naszych rodzin, w ogrodzie wielkim Ojczyzny.
Tu rosną, tu mają dać kwiat bujny i owoc.
Nie wydadzą go jednak, jeżeli nie przyjdzie
im z pomocą ręka i nóż ogrodnika.

Nożem ogrodniczym, przycinającym wilcze
pędy na szlachetnych szczepach ludzkich są—

upomnienia. Upomnienia rodziców, przełożo-
nych, wychowawców, opiekunów. Nawet ko-
legów, znajomych, przyjaciół. Niekiedy na-
wet nieznajomych i wrogów...

I trzeba przyznać, że nóż upomnień nie
próżnuje darmo. Wszędzie na całym świecie,
we wszystkich krajach i narodach. Trudno
Polskę pod tym względem wysuwać na czoło
ludów, ale nasz charakter drażliwy, krewki
i niecierpliwy, z natury skłania Polaków i Pol-
ki do mnożenia upomnień. Upominają ludzie
ludzi na każdym kroku, według wyrażenia
Apostoła Narodów—„wczas i niewczas”. Nie
mówiąc już o walkach stronnictw politycznych,
które nicują wrogów, nożem krytyki i upom-
nień posługuje się dziś każdy w odniesieniu
do bliźniego swego. Kto powinien upominać?
Starszy, mędrszy, lepszy. W dawnych wie-
kach mądrych było mało, dziś — mędrców pe-
łen świat, bo każdy „umie czytać i pisać”.
Stąd każdy czuje się powołanym do karcenia
i upominania reszty świata.

I tak się stało, że dużo ogrodników z no-
żem krytyk i upomnień snuje się w ogrodzie
naszej Ojczyzny. Z tym nożem upomnień
i my zapewne zbliżamy się do swego otocze-
nia. I my upominamy. Jako starsi, mędrsi,
lepsi... ku dobremu, ku lepszemu... pełni naj-
lepszych chęci, zbrojni w ewangeliczną dobrą
wolę.

Ale trafiamy na sprzeciw. Wilcze pędy nie

poddają się pod cięcie noża. Drzewka uchylają się spod naszej ręki, gdy je chcemy urobić według naszych zasad... Upomnienia nasze trafiają w próżnię. Świat młodych, współczesnych dusz i serc, nietknięty nimi, buja konarami, matwa swe losy, marnuje kwiaty szczęścia i owoce...

Jak więc upominać, by pożądaný cel upomnień został osiągnięty?

Należy zapewnić upomnieniom jedną, zasadniczą cechę, której brak najczęściej sprawia, że z lekarstwa dusz upomnienia stają się trucizną. Znamy przecież wypadki, że pod wpływem niewłaściwego upomnienia gorycz i rozpacz i szal popycha dusze na ścieżki zatrażenia. Takie upomnienie, zamiast ku dobru wieść—oddala od niego i staje się narzędziem zła, wodą na młyn szatana.

Jakaż to cecha wytrąci z upomnień czynnik szatański, a da im „nerw anielski”? Czy łagodność, delikatność, miękkość upomnień? Zapewne, czynniki te nie są do pogardzenia, byle je stosować w rozumnej mierze. Łagodzą ostrze ogrodniczego noża. Lecz upomnienia zbyt łagodne, zbyt miękkie — mijają się z celem, jak tępy nóż w ręku ogrodnika. Nóż musi być nożem i winien dobrze ciąć—i upomnieniem i obcinać zło, usuwać gangrenę z dusz i serc niedoświadczonych, a wybujałych, bo młodych.

Powinno jednak zawsze dawać duszy to,

co nóż ogrodnika daje drzewku. Pobudkę do do lepszego wzrostu. Pewien nastrój podniesienia ducha. Zachętę — otuchę!

Tego najczęściej brak potocznym codziennym upomnieniom naszym. Zapominamy, że każdy człowiek, zwłaszcza młody, może zbłądzić. I błądzi, bo w danym wypadku nie wie, *jak zrobić lepiej*. My starsi, mędrsi wykrywamy błąd... To źle zrobione — nie powinno tak być!... Toż to głupota pierwszego rzędu! Idiotyzm! Idiotyzm i przewrotność — słyszy delikwent najczęstsze gromy nad głową... A co grzmo! to siarczystszy piorun... Biada niedoświadczonej, delikatniejszej głowie, zwłaszcza delikatniejszemu sercu! Natury wrażliwsze pod takimi gromami, dosłownie, łamią się na całe życie.

A tylko dlatego, że powyższe gromy są całkiem *negatywne*. Wykrywają zło, a nie wskazują środków zaradczych, jak z tego zła wywikłać się należy. Upominający w ten sposób postępują tak, jak lekarz wezwany do śmiertelnie chorego i zamiast lekarstwa podający mu porcję wymyślań: „Co za nieostrożność! Jak można podobnie się narażać!? Toż to choroba nieuleczalna, toż to śmierć prawie pewna”!

Chorym ciałom, chorym duszom i osłabionym sercom ustalić trzeba diagnozę — na co chorują. Ale to dopiero początek. Następnie

trzeba im wskazać środki zaradcze, jak choroby zapobiec, jak rany zagoić, jak usunąć zło... Wówczas bierze chorego w swe tryby pozytywna, silna, zwycięska moc, której on się z chęcią, choćby nawet i syczał z bólu, poddaje... Bo mu wskazano cel „lepszy” — zdrowie!

Oto upomnienie. Znalazła się zachęta. Przemówiła i horyzonty lepszych dni wskazała otucha!

Tak upominajmy.

LUDZIE ŚWIĘCI.

Nie mam zamiaru pisać o wielkich świętych, których Bóg raz po raz posyła ludowi swemu, by „jak gwiazdy świecili pokoleniom na wieki wieczne”. Nie o nich myślę w tej chwili. Chodzi mi o sylwetki tych zwykłych, „małych” świętych, jacy dokoła nas otaczają, wolni od grzechów ciężkich, przyozdobieni szatą łaski Bożej.

Wielkich świętych zsyła Bóg na ziemię rzadko: raz na lat sto, raz na pół wieku. Ale zwykłych, małych świętych spotykamy co dzień. I może narzekamy na nich gorzko, bo krzyżują nas ich grzechy powszednie, ich wady... I z tego powodu przeoczamy ich cnoty...

Dwie sylwetki takich ludzi świętych, co wzrosli wśród gminu w ramach wielkiego miasta, wpraszają mi się pod pióro.

Jeden był woźnicą. Wywoził z miasta śmiecie. Na pewno nikt mu nie zazdrościł takiego stanowiska i takiej roli w społeczeństwie. Co dzień ranogdy wszyscy jeszcze spali, zjawiał się z furgonem na swej ulicy, wybierał śmiecie ze skrzyń podwórzowych i wywoził za miasto. Ta wgardzona praca już sama przez się mogła być źródłem wielu cnót i zasług, ale nasz woźnica na niej nie kończył. Nie tylko

usuwał brudy z domów bliźnich, lecz usiłował w miarę możności świadczyć im dobro.

Sam bardzo biedny, nie mógł szafować pieniędzmi, ale miłość jest pełna wynalazków. Wywiozłszy odpadki i śmiecie, wybierał z nich niejedyn drobniak, jakich po śmietnikach wielkomiejskich nigdy nie brak. Dla bogatych — to rzeczy bez wartości, dla biedoty po brudnych zaułkach — to są często skarby. To też gdy wracał do domu, obławowany nimi, wybiegały na jego spotkanie dzieci, kobiety tej ubożuchnej dzielnicy, gdzie mieszkał. Przyzwyczał je bowiem do tego z latami swą dobrocią i miłym uśmiechem, z jakim rozdawał swe królewskie dary. To jakiś sprzęt jeszcze przydatny gospodyniom domu, to jakie świecidełko, kolorową, ognistą kulę szklaną — zachwył oczu dziecięcych. Pełną miał torbę tych gratów, pełne kieszenie i rozdawał pomiędzy chętnych, wdzięcznych, rozradowanych odbiorców.

Dobroć jest jak woda. Prądem swym unosi i porywa tych, co w nurt jej wejdą. Tak i z nim było. Widząc, ile szczęścia i radości budzą jego dary, ile słońca wnoszą w ciemne nory domostw i serc ludzkich, dał się porwać prądowi serca. Ze swych szczupłych, głodowych zarobków, umiał wspierać uboższych od siebie. A gdy nie mógł nic pomóc czynem, darzył potrzebującego dobrym, miłym słowem. W niedługim czasie pozyskał pełne zaufanie

swego otoczenia. Doszło do tego, że nikt w jego obecności nie śmiał odezwać się po grubiańsku. Milkły przekleństwa, kiedy on nadchodził. Jego dobroć i miłość (zaufanie i szacunek) przemieniała ludzi, sponiewieranych, znieprawionych ludzi wielkomiejskiego zaułka. Wzbogacała ich hojna miłość jego serca więcej, niż liche dary jego ręki. Pośród swego otoczenia wzgardzony woźnica stał się prawdziwym apostołem.

A gdy po latach pracy pewnego dnia przyniotła go ciężka skrzynia i, miażdżąc płuca, zaprowadziła go do grobu, stała się rzecz niesłychana. Cała ulica przywdziała żałobę. W każdym domu rozlegał się płacz nieutulony. W mowie nad trumną powiedział o nim kierownik szkoły, że „szedł w życiu drogą wzniosłego powołania”. Tak. Była to ukazana przez Chrystusa droga „ludzi świętych”.

Obok niego godnie stanąć może sylwetka służącej dozorczy cmentarza.

Starsza już kobieta, lubiąca różne gadki, wygadywki. Porzuciła swoich, bo „schowała do kuferuszka pieniądze i wykradli... Tak i przyszła na służbę do tych ludzieńków i teraz jej lepiej, bo to się przezegną rano i wieczorkiem, jak P. Jezus przykazał... A synka mają pięcioletniaczka, który śpiewa, jak kanarek, mnie na pociechę, aż ślozy idą...”

Omiatała groby z liści, podlewała kwiaty. Szczupła, nikła, o cerze ziemistej, wyblakłych,

szarych źrenicach i wieku nieokreślonym. Zawsze nosiła popielatą sukienkę i starą chustkę w kraty. Spotkać ją było można albo przy modlitwie, albo przy pracy. Dreptała po alei cmentarnej, dźwigając w chudej ręce dużą konew wody, a w drugiej miotłkę do omiatania mogił. Po pracy uśmiechnięta, z różańcem w suchych palcach, przechadzała się między groby, przedziwnie cicha i miła.

Była niesłuchanie sumienna w spełnianiu swych obowiązków. Na grobie przez nią umieszczonym nie ostał się żaden listek, ani warstewka kurzu w splotach ogrodu. Ze wszystkich grobowców murowanych zestawiała kwiaty do podlewania... „Malmury i kamienie — mówiła — psujom się od wody ciągiem polewanej. Kiedy desczyk je mocy, to juści trudno, bo takie ma od Pana Jezusa prawo, ale człowiek psuć nic nie powinien, bo to grzech”. I w upalne dni letnie uwijała się pośród grobów zziębnięta, spocona, bez chwili spoczynku. Gdy jej przypomiano czas posiłku, mówiła: „Kej nie zdązę napoić tych bożych trawek, taki goronc, syćko umiera. O jak to główki powiesiało. Ni mogę tera iść, pónę na podwiecyrz, to se pojem za cały dzionek”.

Umiała się wczuwać w dziwy przyrody. Dla niej słońko się śmiało, a każdy kwiat był „na jakąś tajemnicę chwały boskiej stworzony, bo przecie bez nicego takby ich dobry Bóg przesłanie nie ubrał. Wsyćko ku chwale

boskiej, tylko że my nie wimy, co i jak jest. Cerwone kwiatki to chwałą każdą kropelkę Krwi Pana Jezusowej, a niebieskie to Najświętszą Panienkę, ale syćkie one i kwiatki i trawki to musom mieć duże znaczenie. W niebie to syćko będziemy wiedzieć, co i jak. Te, co tu leżą, to juz wiedzą, chociaż jesce nie wsycy. Biedacki, duzo ich jesce tęskni do jasności niebieskiej z Panem Jezusem kochanym”...

Zawsze promieniowała od niej prostota i jasność dzieci bożych. Nie wiedząc o tym, przemieniała każdą swą czynność w drogocenny skarb modlitwy i szła do Boga drogą — „ludzi świętych”.

ALLELUJA!

ZMARTWYCHWSTANIE.

Biją radosne, triumfalne dzwony. Nad światem płynie chwała zmartwychwstania. Zmartwychwstania Chrystusa w przeszłości, zmartwychwstania naszego w przyszłych wiekach.

Zaraz na początku chrześcijaństwa wspomniały ten dogmat uwypuklił i uwielbił Apostoł narodów. Pisał w liście do Koryntian: „A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, tedy próżne jest opowiadanie nasze, próżna też i wiara wasza.” (I, 15, 15).

Pełne treści to słowa. Wskazują wiekowi pierwszemu, czy wiekowi dwudziestemu po Chrystusie, że właśnie Jego chwalebne zmartwychwstanie jest kamieniem węgielnym, stanowi fundament wiary naszej, wiary prawdziwej. Wiara prawdziwa nie może być inną, tylko „boską”. Może i musi ją założyć tylko Bóg, nikt inny. I oto wiara nasza wskazuje nam—Zmartwychwstałego. Na Nim oparta—już ma rację bytu w świecie. Jest wiara, założoną przez Boga „wszechmogącego”—wszystko mogącego. Dał jej początek Władca o władzy nieograniczonej, władzy nad żywymi i nad umarłymi...

Co bowiem znaczy założyciel jakiejś wiary, choćby dosięgał wyżyny stu geniuszów,

jeżeli umrze?! Pochowany zostanie, jak wszyscy śmiertelnicy i jak oni w proch się rozsypie!... Gdy Konfucjusz, Mahomet, Budda, Zoroaster tworzą systematy religijne, organizują taką, czy też inną wiarę, to wiara ta jest i pozostanie tworem czysto ludzkim. Zapewne, można się nią „bawić”, ale czy się „zbawić” można—to zupełnie co innego. Można się bawić i widzieć siebie na tronie królewskim — we fantazji, na scenie — ale to będzie tylko fantazja, nie zaś rzeczywistość.

Stąd i powaga takiej wiary, to powaga śmiertelnego człowieka (choć mądrego), a jej waga — waga prochu...

I gdyby Chrystus nie zmartwychwstał, udo-wadniając Bóstwo swoje, to i wiara przezeń założona miałaby tę samą wagę i tę samą powagę w obliczu wszystkich ludów. W myśl Apostoła—byłaby próżną... Byłaby nicością... Snuciem fantazyj, opowiadaniem bajek dziecinnych...

„Aliści Chrystus zmartwychwstał”... Jako najpierwszy z tych, którzy zasnęli. I jak przez człowieka została na świat wprowadzona śmierć, tak przez BOGA-CZŁOWIEKA — zmartwychwstanie!... „A jako w Adamie wszyscy umierają, tak też w Chrystusie wszyscy ożyją. A każdy w swym rządzie: Chrystus pierwociny (najpierwszy), a potem ci, którzy należą do Chrystusa”. (I Kor. 15, 20—25).

Najpotężniejsza to spośród prawd, najbardziej—rzec by można—dynamiczna. Może ją głosić albo człowiek szalony, albo Bóg Wszechmogący, Stwórca nieba i ziemi, Pan wszechrzeczy. Przeświadczenie ludów, z dni rajskich wyniesione, przeczuwa ją, wiara katolicka ją głosi:— Chrystus zmartwychwstał i my zmartwychwstaniemy!

Zmartwychwstaniemy naprawdę!

Z tej nadziei zmartwychwstania naszego tryska źródło nieprzebranej radości. Jak dla Chrystusa był to triumf, radość i chwała, tak i dla nas—wiekuiste, „wesole Alleluja”! Pokonamy śmierć, zwyciężymy grób, otworzymy martwe wieko trumien... Nawet z ludzkiego punktu widzenia — to szalona fantazja, gdyby była tylko fantazją, ale jakże wzniosła, potężna, zwycięska i twórcza fantazja! O ileż gorzejmy, uznając taką „fantazję”, nad pogańskim, nowoczesnym otoczeniem naszym!

Skarży się jeden z takich pogan XX wieku: — O jakże pustym, jak bezcelowym jest życie! Oto grzebią umarłego... Idą całe szeregi na cmentarz, każdy rzuca trzy garstki ziemi na trumnę... Potem wszyscy wychodzą. Każdy rozgląda się za swoją dorożką, lub siada do taksówki i jedzie do domu. Pociesza się myślą, że ma przed sobą długie lata życia... Długie lata!? Jak też długo trwać może 7 do 10 lat? I na co to wlec się dalej? Cemu nie zakończyć raz wszystkiego?! Cemu

ludzie nie zostają na cmentarzu i nie zstępują w grób? Czemu nie rzucają losów pomiędzy obecnych, kto ma być tym nieszczęśliwym, co na przedostatniego trupa rzuci trzy garście ziemi”?!...

Tak piszą i tak myślą ludzie, którzy zapomnieli o tej „katolickiej fantazji” — prawdziwego zmartwychwstania. Zatraciło dla nich urok życie, które kończy się zgnilizną. Niczego więcej nie chcą, nie umieją się spodziewać. Jakież okropny ideał!!! Jakież wstrętne i straszne — ZGNILIZNA!!! Nic im nie pomogą najweselsze hasła: „Bądź uśmiechniętym!” — życie doczesne ich mrozi, naznaczone stygmatami zgonu...

Jeden tylko Chrystus prowadzi swoich w świat chwały. Zachwyconym ich oczom ukazuje — zorzę zmartwychwstania!

I w gronie wierzących rozlega się triumfalne, „Wesołe Alleluja!” Ponad krzyżami Golgoty, nad mogiłami cmentarzy, nad wszelką niedolą i cierpieniem, wschodzi im jasny świt lepszego jutra — na wieki. Świt błogosławionego dnia szczęścia — w zmartwychwstaniu własnym przy boku Zmartwychwstałego.

W tych warunkach życie nabiera kolorów, siły, treści. Posiada wagę swoją wieczną. Tu na ziemi pracujemy nieraz w błocie doczesności, lecz urabiamy z tej brudnej gliny precudne naczynia chwały wiecznej. Każdy czyn nasz dobry, lubo przemijający, wplata się w wian przyszedłego szczęścia.

I może się wszystko zapaść w nicość, może cały blask kultury zamienić się w gruzy, — nic to! Przed oczyma wiernych jaśnieje Chrystus Zmartwychwstały i ukazuje im niebiosa niebios. A muzyka duchów anielskich opiewa je słowami Apostoła: „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowiecze nie wstąpiło, co Bóg nagotował tym, którzy Go miłują”...

MA SIĘ KU WIECZOROWI.

Dwaj uczniowie Pańscy szli w dzień Zmartwychwstania do Emaus przygnębieni, smutni. Tak jeszcze świeżo w pamięci mieli Golgotę, męczarnię Chrystusa i Jego pusty teraz grób w ogrodach Nikodema...

I żadna myśl słoneczna nie zawitała do ich duszy, żaden pogodny dźwięk nie zadrzał w ich rozmowie. Szli pełni żalu i skargi na starszyznę własnego narodu, pełni utyskiwań na losy Chrystusowi wrogie...

Zajęci smutkami swymi, prawie nie zauważyli, jak przyłączył się do nich pielgrzym nieznanym i wciągnął obu strapionych w podnioslejszą rozmowę, od której serce w nich gorzało. Wykładał im Pisma, tłumaczył zamiary Boga w dziejach dusz i ludów i wznosił ich umysły na takie wyżyny, że nie chcieli się z nimi i Nim rozstawać.

— Zostań z nami, Panie, — przekładali, gdy Nieznajomy zamierzał iść dalej — bo już się ma ku wieczorowi...

Z uczniami, co zapraszają Zmartwychwstałego pod dach swój, i my musimy Go zaprosić, aby został z nami... Albowiem i w życiu naszym wciąż się ma ku wieczorowi i dzień się wciąż nachyla...

Potrzebna nam obecność Tego, na którego skinienie gwiazdy wstają w noc ciemną i rozpalają się promienie słońca duchom i sercom...

W życiu naszym, istotnie, ma się wciąż ku wieczorowi.

Ma się najpierw ku wieczorowi w otaczającym nas świecie.

Kwiaty, które zwiędły ubiegłej jesieni, nie wstaną już więcej na łąkach i smugach w pełni barw i krasy. Ukazą się wprawdzie z nową wiosną listki nowe i płatki kielichów wonnych, lecz nie będą to już kwiaty dawne, kwiaty te same co zeszłego roku. Tamte przeżyły już swój wieczór i pograżyły się w swą noc...

A jak w ogródkach naszych i na zagonach pól, co nas karmią chlebem co rok innym, nowym, tak samo ma się ku wieczorowi w potężnych borach prawiecznych i w bezkresnych pereriach. Liść, co z wiosną wytrysnął na konarach drzew, trawka świeża, soczysta, na pustkowiu stepów kwitnąca, igliwie lasów szpilkowych, pachnące żywicą, zmierza niebawem ku swemu wieczorowi i zapada w noc niebytu. Mają się ku wieczorowi i najpotężniejsze pnie dębów stuletnich, obracając się w łom pod ciosami gromów, albo pod zębem niszczącym robactwa — w próchno. I zwęglonym pomostem kładą się lasy okresu dyluwialnego.

Cały świat, otaczający człowieka, ma się

wciąż ku wieczorowi. I do swego wieczoru zdąży także człowiek. Nie mówiąc już o ciele, które dla każdego zmierza ku wieczorowi swemu i zstępuje po szeregu lat w noc grobu, spójrzmy tylko uważnie na duszę swoją!

Oto każda myśl, nawet najbardziej wielka, najbardziej żywotna, zapalna, uskrzydłona, niebawem już się ma ku wieczorowi. Gaśnie, ustępując miejsca innym. I w zakresie uczuć naszych, zachwyty, tęsknot i planów, jakie snujemy dzień po dniu w podróży do zwodniczej gwiazdy szczęścia na ziemi, także nieustannie słońce zachodzi. Umierają najcudowniejsze blaski zórz, rozpylają się w nicłość najczarowniejsze tęczowe marzeń i serce, zaznawszy rozczarowań, opada po latach do świadczeń, jak liść uschły, zdeptyany...

Ma się wciąż ku wieczorowi w duszy naszej i wciąż się dzień nachyla w duszach całych pokoleń, narodów...

Najpotężniejsze prądy umysłowe w dziejach — gdzie są? Zdawały się ogarniać czas i uragać wieczności, a w niedługim stosunkowo czasie już należały do przeszłości!

A wielkie, gromowe, pieczętowane krwią i łzami prądy społeczne i polityczne władców, czy tłumów... także rychło miały się ku wieczorowi. Przemineły i śladu po nich nie masz. Z mozołem odkopuje kilof uczonego ledwo cień ich cienia...

Ciasnota dnia ludzkiego, co leży między

swym wschodem a zachodem, przytłacza nas i miażdży wszystkie pokolenia. Mają się ku wieczorowi państwa i narody, ma się ku wieczorowi cała, choćby najwspanialsza ich kultura, zachwyty i duma krótkowzrocznych. Ma się ku wieczorowi całemu ludzkiemu światu...

Wszyscy o tym przez pół świadomie wiemy. Wszyscy pojedynczo i zbiorowo przed nadchodzącym wieczorem ratujemy się bez przerwy. Każda nowa myśl, każde nowe uczucie, czyn i słowo nasze, jest tylko nieustannym wysiłkiem, by słońcu naszego doczesnego istnienia powiedzieć z wielkim wodzem Izraela: „Stój słońce!”

A czując kruchość i nietrwałość tych nowych słów, myśli, pragnień, dążeń i czynów naszych, staramy się przedłużyć dzień ich bytowania. Wypisujemy je na ścianach skał, wznosimy im pomniki z granitu, na pergaminach lub w księgach je zamykamy. Byle trwały dłużej, niż my sami, niż pamięć o nas jednodniowych.

Łudzimy się ostatecznie. Wszystko to bowiem, choćby powstało z granitu i w łonie niebotycznych skał zostało zamknięte, okryte piramidami, wszystko ma się wciąż ku wieczorowi.

I jeden tylko jest ratunek...

Gdyby zaistniała pod słońcem taka karta, na której moglibyśmy wyryć niezatarty na

wieki tekst myśli i tęsknot duszy naszej, wzloty podniebne, nieśmiertelne ideały...

Gdyby znaleźć dla swego ducha nieśmiertelnego taką skałę wieczną — oparcie niezłomne!

Taka karta i skała wieczna dla dusz — to Chrystus!

Oprzyjmy wszystkie nasze myśli, słowa, czyny o Chrystusa — BOGA! Zaprośmy Go z uczniami idącego dalej, niż do Emaus, bo idącego do nas:

— Zostań z nami, Panie, gdyż bez Ciebie wszystko w nas ma się ku wieczorowi...

ABY ŻYWOT MIELI...

Dokądkolwiek zwrócę oczy, uśmiecha się do mnie zewsząd i wdzięczy nowonarodzone życie przyrody. Łąki, lasy, wody, chlebne pola, góry i niebiosy stają się jedną armią niezwalczoną, która zdobywa sobie pełnię życia. Wodzem jest słońce wśród niebios lazuru. Pod jego komendą zrywają się do ataku na szanice martwoty miriady żyjatek, roślin i kwiatów.

I zdaje mi się, że w ciepłe promieni słonecznych płyną ku mnie, że w świeżej wilgoci kropel rosy przebłyskują mi na trawach jakieś głoski jasnych słów o życiu, pełnym życiu...

Chrystus je wypowiedział ongi na wiosnianych smugach Galilei: „Przyszedłem, aby żywot mieli i obficie mieli”...

Tak. Jedno jest hasło na niebie i ziemi, hasło wiekuiste. Wszystko tu życia pragnie, o życie wszystkie woła... Marzy, śpiewa, dąży i zdobywa — pełnię życia!

O każdym zakątku lasów mógłbym pisać księgi. O srebrzystych smugach jezior — można z ksiąg układać biblioteki o życiu...

Przedemną wieki przechodziły tędy, po mnie także pójdą wieki. Ale wczoraj, dziś i jutro szumieć tu będzie hasło życia. Wszepotężne, boskie, nieśmiertelne.

Hasło to z nową siłą udziela się duszy mojej, jak udziela się przyrodzie, wszystkim duszom ludzkim... Jak słodko zatętniło w duszy Chrystusowej... „Aby żywo! mieli i obficie mieli”...

Jeśli któremu wiekowi, to wiekowi XX imponuje pełnia życia. W duszach narodów, pośród miast i wsi, zdaje się szumieć nieustanna wiosna. Pełnego życia pragną wszyscy, pod jego sztandarem idą. Kiedy się cieszą, chcą się cieszyć pełnym życiem, — kiedy płaczą, pełnego życia brak oplakują. Ludy nie nasycone, jak przyroda wiosną. Ludy, których żaden dyktator nie zawróci z wielkiej drogi życia. Wiecznie łaknąć i pragnąć będą jego pełni wszystkie pokolenia ziemi. Zwłaszcza pokolenia, co się rodzą dziś...

Ale łaknąć i pragnąć, często nie rozumieją, na czym polega ta pełnia. Jak ją dla siebie zdobyć, jak osiągnąć? Nuca pieśń o życiu pełnym, a tuż obok niego przechodzą. Nie widzą, pomijają...

Przypatrzmy się więc życiu natury widomej, przejawiającemu się i w naszym ciele. Jak ono dąży do swej pełni? Jak do niej dochodzi? Będzie to dla nas analogia, przybliżony wzór dla pełni życia w dziedzinie ducha.

Skoro więc życie gdzie JEST, tam się *odżywia*. Miejscami odżywia się skąpo, tam też nie osiąga swej pełni. Wygląda mizernie, wegetuje tylko. Ale przeważnie — aż bucha nad-

miarem. Buja wspaniale od obfitości i różnorodności czerpanych zewsząd soków. Każdy korzonek, każde włókienko, każdy listek i słupek najdrobniejszego z kwiatów, opływa w swój pokarm i napój na uczcie u stołu wiosny.

A życie pełne swoich ciał czyż nie tak pojmują ludzie nam współcześni? Zaiste, tak. Odżywianie ciała — jak najobficiej, jak najróżnorodniej, z jak największą estetyką i higieną połączone — oto zasada stołów.

Lekarze, biologowie rozłożyli na pierwiastki ciało ludzkie, zmierzili i zważyli każdą jego cząstkę i stosownie do tych pomiarów, wyliczają procentowo, ile trzeba ciału dać skrobi, ile tłuszczu, cukru, węglowodanów, wody... Im więcej różnorodnych składników, tym pełniej skorzysta ze stołu każdy atom cielesnego jestestwa. To też kołyszą się okręty wszystkich mórz, huczą niezliczone pociągi z towarami, przewożonymi z jednego krańca globu na drugi... Aby stołom ludzkim zapewnić różnorodność potraw i obfitość... Aby każdy nerw, każdy atom i żyłka ciała ludzkiego mogła się karmić potrzebnymi sobie sokami.

To też nad wszystkimi drogami, sklepami, wytwórniami i magazynami świata powiewać by mogła wszędzie jedna chorągiew międzynarodowa z napisem: „Aby ludy miały życie ciał obfite”.

Wszystkie narody na kuli ziemskiej, skoro wykończą, wyczyszczą tę pierwszą stronę me-

dal, winny zatroskać się o to samo i tak samo dla swej duszy. Dać jej pełnię życia. Lekarze i uczeni winni rozpatrzeć, zmierzyć i zważyć każdy jej poryw, każdą zdolność, każdą władzę. I tak oceniwszy dokładnie wszystkie składniki ducha ludzkiego, ułożyć dlań obowiązkowe „menu“... Zasady odżywiania... Systematykę stołów pełnego życia duszy... Sprawdzić, czy jest obfitość potraw... Czy różnorodność ich zaspokaja wszelkie potrzeby dusz... czy je cechuje higiena, brak zarzków szkodliwych i estetyka, pobudzająca apetyt umysłów i sere — nieskończony!

Odrywam oczy od piękna bujnego łąk, na które patrzę z zachwytem oglądanej pełni życia, i ogarniam łąny ludzkich dusz... Przeglądam ich stoły duchowe... Ach, jakież ubóstwo, jakie prostactwo, jakie niechlujstwo uderza mię boleśnie w zastawie tych stołów najprawdziwiej ludzkich, bo duchowych! Człowiek przecież od ducha ma swą godność człowieczą...

Od swego stołu dusze ludów, dusze wieku naszego, odchodzą prawie wszędzie głodne. Niedokarmione! -- Nienakarmione zwłaszcza stale jednym składnikiem, bez którego nie masz pełni życia ducha. Duch zrywa się do życia nieskończonego, wiecznego. Bez tego rozmachu, bez tej szerokości lotów — w nieskończoność — on nie pojmuje *pełni życia*. Może tylko wegetować. Będzie nikły i bez

sił, gdy mu się odmówi tego „tłuszczu“. Czym by były ciała ludzi, tym staje się i duch ludzki bez tej „pinguedinis abundantia“ — „obfitej tłustości“, jak mówi Pismo św.

Miliard ludzi na kuli ziemskiej nie zna prawie religii... Nie zna przede wszystkim religii prawdziwej. Ponad pięćset milionów słyszało co prawda o Chrystusie, ale Go przykroilo do swych pojęć ciasnych, do swych namiętności bardzo poziomej miary. A niepełne pół miliarda katolików czyż obficie, czyż różnorodnymi potrawami zaspokaja głód swych dusz?!...

Widziałem raz wyschły step, na którym tu i ówdzie tylko zieleniły się kępki niebogate traw mizernych... Czasem mam nieodparte wrażenie, że taki obraz rodzaju ludzkiego oglądają najświętsze źrenice Chrystusowe dotychczas... A usta Jego ze smutkiem powtarzają wiekowi dwudziestemu słowa z przed wieków dwudziestu:

„Przyszédłem abyście żywot mieli, obficie mieli... Pójdźcież do źródeł życia wiecznego!“

SŁUŻCIE PANU Z WESELEM!

Pośród słonecznych opowieści o twórcy „Hymnu do słońca”, św. Franciszka z Asyżu, znajdujemy też opowieść o radosnej służbie Bogu.

Pewnego dnia—snuje się wątek opowieści— św. Franciszek z Asyżu w gronie swych uczniów, rozradowanych w Panu, nawiedził opactwo benedyktyńskie. Opat powitał go serdecznie i poprowadził do swej celi, a towarzyszami jego zajęli się z równą serdecznością synowie św. Benedykta.

Zacząła się rozmowa, obchodząca żywo obie strony, na temat: który zakonodawca jest większy — św. Benedykt, czy św. Franciszek? Benedyktyni sławili swego ojca, wielkiego twórcę i organizatora życia zakonnego, chwaili jego mądrą regułę, natchnioną duchem pokuty i rozumnej surowości, która w potrzebie nie waha się rzucić ciała swego na poszarpanie krzaków cierniowych.

Uśmiechnęli się na to synowie św. Franciszka, bo właśnie wchodzili do klasztorowego ogrodu i owionęła ich wszystkich ciepła, świeża, przesycona słońcem i pachnąca kwiatami, fala powietrzna. Na zielonych, jak wieńce, gałęziach drzew ogrodowych zalewało się ptac-

two nieustannym szczebiotem pełnym radości i szczęścia, zniewalając duszę i serce słuchaczy.

Ale czarni mnisi zdawali się tego nie widzieć, nie czuć i nie słyszeć. Z powagą prowadzili gości w głąb ogrodu, gdzie tymczasem nadszedł i opat ze św. Franciszkiem. Tam pokazali im historyczne krzaki cierniowe rozrosłe potężnie i ponuro.

Oto jest oręż sprawiedliwego!—rzekł jeden z benedyktynów. Nasz św. ojciec sam je sadził własną ręką, a my z tych kolących liter, jak z żywej księgi, wyczytujemy słodką naukę o radości niebios.

— Kto łązy tu sieje, zbiera tam wesele. Pan ukazuje się nam, jak Mojżeszowi w krzaku ciernistym — dodał drugi.

A ojciec przeor rzekł z powagą:

— Kto miłuje zbawienie swoje, niech uszczknie sobie kolec i zabierze na pamiątkę, aby mógł wytrwać w bojaźni bożej!...

Na te słowa św. Franciszek pierwszy wyciągnął rękę i odłamał niewielką gałązkę cierni z kolczastego krzewu, mile się uśmiechając do zgromadzonych. Lecz o dziwo! W tej chwili z oderwanej gałązki wytrysnęła krew i spływając po kolcach utworzyła ze swych kropli drobniuchne kwiecie polnych róż. I rozlało się to cudowne kwiecie różane dokoła świętego na wszystkie krzewy cierniowe. Główki różyczek polnych, krasne i wonne, obsy-

pały mur ogrodu i tuliły się do kraju szat zakonników.

Na widok tak wielkiego cudu — mówi legenda — niektórzy synowie św. Benedykta przełękli się i pouciekali do swych cel, ale w ślad za nimi podążył cud różańcy. Rosnące przegodnie pod klasztorem ciernie zakwitły wszędzie. Całe opactwo cierniowe stało się nagle opactwem róż prześlicznych...

I wtedy pojęli synowie św. Benedykta, że serce ochocze i dusza wesoła miłszymi są w oczach Pana, niż duch ponury i zasepione czoło pognębionego pokutnika. Iż „wesołego dawcę Bóg miłuje”...

Tak ujmuję legenda w piękne ramy słowa to poważne i głębokie zagadnienie życiowe stosunku naszych serc i dusz do Boga. Nakazuje wszystkim: „Służcie Panu z weselem”!

Tak też, istotnie, być powinno. Jesteśmy dziećmi bożymi. Dziecięca radość i ufność powinna nas opromieniać. Przy sercu Ojca i na jego oczach wesoło, pogodnie bawi się grono dzieci. Nie lękają się niczego, bo nie są same, lecz pewne opieki ojcowskiej. Nic ich nie wzrusza wicher i burza, bo w swym pobliżu mają wszechmocną dłoń Najwyższego, która pospieszy im z pomocą i obroną. Oparłszy się o Boga, mężnie wytrzymują walkę i zwyciężają. I są weseli.

Mają na swe usługi siły, o których nic nie wiedzają ci, co obywają się bez Boga. „A któ-

rzy mają nadzieję w Panu, odmienia siłę, wezmą pióra, jako orłowie, pobiegną, a nie upracują się, chodźć będą, a nie ustaną”. (Izj. 40, 31). Wielka św. Teresa wiedziała o tym z własnego doświadczenia, gdy pisała: „Zawsze się przekonywałam, że dusza z weselem ufająca Bogu, czyni większe postępy w jednym dniu, niż inne dusze po stu dniach”. Stąd też nie mogła patrzeć obojętnie i znosić widoku sióstr, które zwiesiwszy głowy, zasepione i ponure, wyglądem swym urągały dobroci i miłosierdziu bożemu. Według jej zdania „święty smutny — to smutny święty”!

Ależ tyle mamy trosk i cierpień!

Nie należy zbyt wagi przywiązywać do trosk i cierpień tej ziemi. Na końcu przecież naszego życia widnieje nie śmierć, lecz życie. Wobec życia wiecznego cóż znaczy cierpienie całego świata? To drobna kropla wobec oceanu. A choć to kropla pełna goryczy, jednak nie powinna nam zatruwać życia, skoro cały bezkresny ocean szczęścia i triumfu czeka nas w zamian za to. My często z płaczem i biadaniem dźwigamy niepokieszeni krzyż utrapień naszych doczesnych... Tylko dlatego, że myślimy połowicznie o życiu. Obok rozdźwięków cierpienia są w świecie i harmonijne tony szczęścia. I to szczęścia wiecznego. Nie grób jest ostatnim słowem ziemi, lecz nieskończone życie. Bóg u początków naszego istnienia i Bóg na końcu. Jesteśmy w podróży, z da-

la od ojczyzny, daleko od domu Ojca.—Dla-
tego nam źle... Nabierzmy więc otuchy, odżyj-
my nadzieją: — Oto wracamy do Ojca!

A wówczas zamiast grobowych śpiewów
buchnie nam z piersi wspaniałe, triumfalny
i radosny — Hymn zmartwychwstania!

A V E M A R I A !

PO GÓRACH, DOLINACH...

Psalmista Pański śpiewa: „Tysiąc lat u Ciebie, Panie, jako jeden dzień...” Oceniając według tych słów dzieje katolicyzmu, kończymy właśnie dzień drugi... Drugie tysiąclecie.

Ile zjawisk, ile zdarzeń — i z nieba i z ziemi — przesnuło się na kanwie tych dwu wielkich „bożych dni”?!

Po górach, dolinach świata całego rozlegał się coraz donośniej dzwon — słowo wiary — i melodie anielskie wplatał, tony Bóstwa wspiewywał w serca i dusze ludzkie wszystkich narodów...

Najcudniej wszakże rozlegał się tu jeden ton, najsilniej grała, gra i grać będzie do końca wieków jedna melodia: — ku czci Bogarodzicy Dziewicy, bez zmayı grzechu Poczętej.

Zbudzona na zaraniu dnia pierwszego, u kolebki katolicyzmu, tak cicho, tak nieśmiało, uderzyła potęgą akordów w dniu drugim dziejów, kiedy świat pochylać się zdaje ku wieczorowi...

Niepokalane Poczęcie opromieniło świat z wyżyn Ziemi Świętej, a oto jego odbłask wspaniały zjawia się w XIX wieku na stokach Pirenejów. Nad strumykiem Gave staje Niepokalana Pani i oznajmia Bernardce Soubirous:
Biją dzwony

„Je suis l'Immaculée Conception” — „Jam jest Niepokalane Poczęcie”...

Lourdes już święciło ćwierćwiecze trzecie swej chwały, obejmującej dziś całą ziemię. „Po górach, dolinach” rozlega się wszędzie ten dzwon, co ogłasza zniście cudowne, przybycie tajemnicze Niepokalanej na ziemię pod wieczór „drugiego dnia” katolicyzmu...

Dlaczego właśnie, jako „Niepokalana”?

W pierwszym, początkowym punkcie chrystianizmu to rzecz zrozumiała. Ludzkość objęta była zmałą i pokalaniem — odwrócenia się od Boga. Jak księżyc, pokalany cieniem ziemi, łyska ciemnością, odwróceniem od słońca, tak ludzkość. Skaza grzechu pierworodnego — odwrócenia od Boga — zaćmiła ją. Zaćmiła wszystkich, bo zaćmiła ich u źródeł życia — w pierwszych rodzicach.

Ludzkość w obliczu Boga jest zespołem solidarnym. Choć złożona z bardzo wielu, jest zrodzona tylko z dwojga. I posiada, rzec by można, jedno serce, jedno ciało. Każdy z nas ma ciało, wyczerpnięte nie skądinąd, tylko z ciała Adama, bo i Ewa z jego ciała była wzięta. We wszystkich zatem kołyskach tętnią serca, poruszone niegdyś pierwszym tętnem jego serca. A jego serce odtrąciło Boga, łaskę i chwałę niebios...

Ciało zatem ludzi wszystkich, to CIAŁO ADAMA, — w rzeczywistym i fizycznym tego słowa znaczeniu. Między tym ciałem, rozrosłym na cały okrąg ziemi, na dziesiątki wie-

ków, a między słońcem łaski bożej — stanął GRZECH i zasłonił słońce... Mrok czarny, śmiertelny mrok, upadł na góry i doliny, na wszystkie pokolenia i stany ludzkości. Aż dopiero zawitała na ziemię Niepokalana Dziewica i pierwszy punkt na tarczy ludzkości zajął. Na tym odcinku „pierzchła noc czarna grzechu, zaświtał dzień”... Pierwsza dusza zwróciła się ku Słońcu Łaski Bożej. Na kuli ziemskiej — w domu Ludzkości — „Stanęła Niewiasta, obleczona w słońce, księżyc u Jej stóp, a nad Jej skronią korona z gwiazd dwunastu”. Niewiasta — Matka i Królowa wszystkich dusz i wszystkich ludów, idących do Boga, do zbawienia.

Niepokalany punkt świata ludzkiego — Niepokalana Dziewica. Od Niej ma iść dalej i szerzej, jak najdalej i jak najszerzej, na wszystkie dusze ludzkie — słoneczne światło łaski bożej. Od Niej się zaczyna NIEPOKALANA LUDZKOŚĆ.

Przez Nią światłość idzie na świat. Przez Nią strumienie łaski bożej płyną w żyły narodów i budzą dusze do nowego życia — z Bogiem, w Bogu i dla Boga.

A dlaczegoż po raz wtóry — tajemniczo — na łany ziemskie pod wieczór „dnia drugiego” zstępuje Niepokalana? Przecież wody chrztu św., co zmywają grzech z czoła i dusz ludzi, płyną szerokimi nurtami po wszystkich pięciu kontynentach. Kościół urósł i urasta z dniem

każdym. Zapewne, nie objął jeszcze wszystkich dusz... I troskliwe Serce Matki, czułe Serce Dziewicze, pragnęłoby przyspieszyć ten pochód życia bożego, jego rozrost i rozkwit we wszystkich narodach...

Ale z lasów i jarów pogranicza Francji zdaje się wychylać groźny powód, powód nieodzowny zstąpienia właśnie tam Niepokalanej na ziemię...

Z tego właśnie, nie z innego kraju, polaty się straszliwe męty i mroki pokalania—dzięki omotanemu przez szatana geniuszowi Francji. Można by księgi o nim pisać — o geniuszu Francji — i o jego wpływach na całym świecie, we wszystkich dziedzinach ducha i życia nowoczesnych ludów. Weźmy z tych ksiąg tylko jedną stronicę...

Francja ze swej stolicy włada sercami kobiet na całej kuli ziemskiej. W Paryżu wzniesiono tron geniuszowi piękna, smaku, fantazji i mody. I berło swoje dzierży ten król z niepokonanym wdziękiem. Stwarza mody nawet tureczynom i chinkom. Stroi ciała białe, stroi kolorowe...

Kiedy w dniach wielkiej rewolucji wprowadzono na ołtarz kościoła Notre Dame nierządnicę, był to symbol nowego nastawienia dusz przez szatana. Zbałamucone te umysły uwielbiły symbol odwrócenia od Chrystusa, od Boga, a zwrócenia się ku dawnemu pogaństwu. A symbolem — była kobieta zbezczeszczona, kobieta upadła...

Nastawienie takie dusz jednego narodu, pociąga za sobą — zwłaszcza w gęstwie ludzkiej dziejów nowożytnych — nastawienie podobne dusz i w innych także narodach. To było do przewidzenia i to też nastąpiło. A że Francja stwarza mody świata i podbija nimi serca kobiet, więc szatański pomysł ataku właśnie stąd!... Właśnie z Francji podać oczom kobiecym — wdzięczną modę, a sercom kobiecym — grzech odwrócenia od Boga. Osobno podany grzech, nie skusiłby może zainteresowanych, okraszony modą — skusi na pewno tysiące, nie jedną!... Poczną się mnożyć zatem — najpierw we Francji, a potem wszędzie, dokąd sięgnie ten rewolucyjny geniusz POKALANIA DUSZ — serca i dusze kobiece, odwrócone od Boga...

Niech w pierwszym pokoleniu sto kobiet odwróci się od Boga, już niewielkie miasteczko wróci w czarną otchłań pogaństwa. A gdy je pomnożymy przez pokolenia drugie, trzecie, dziesiąte, — na wszystkie miasta, na wszystkie narody padnie zaraza matek nieczystych. I pójdzie ta rzeka brudu, rozleją się te pokalane męty, poprzez kołyski i domy rodzinne, poprzez szkoły bez Boga. I na świat cały zwali się klęska pierworodna starego poganizmu, którą geniusz św. Augustyna określił lapidarnie: — MASSA DAMNATA!

Przeogromna, dziś dwumiliardowa. Masa potomków Adama, nie obmyta wodami chrztu,

pozbawiona światła wiary, znalazłaby się w szponach szatana. Skalane dusze ludzkie nie wejdą, bo wejść nie mogą przecież do nieba, do Boga. I tak usunięte spod wpływów łaski bożej, pozostaną na wieki w swym skalaniu, zostaną odtracone od Boga. Będą — MASSA DAMNATA in aeternum... Masą, na wieki przeklętą...

Szatanowi, który jest zaklętym wrogiem szczęścia ludzi, bardzo na tym zalaży, aby tak było... Lecz i TEJ, co starła jego czerep wraży, po stokroć więcej jeszcze zależy na tym, aby tak nie było... Aby dusze nie uciekały od źródeł łaski bożej... Aby kobiety nie odtraçały od tych źródeł ani rodzin, ani dzieci swoich... Aby zawróciły z dróg potępienia i przywróciły sobie, swym dzieciom i narodom blask duszy niepokalanej...

I takie hasło z Francji, władczyni dusz kobiecych, raczyła przynieść osobiście Niepokalana i podać światu ustami niewinnej dziewczyny, św. Bernardki Soubirous:

— Powróćcie do źródeł ŁASKI BOŻEJ!

Już 75 lat „po górach, dolinach“, jak dzwon rozlega się słodkie wołanie Niepokalanej Dziewicy...

Powróćcie!

Od szatana — do Boga!

ŁASKI PEŁNA.

Dzieje świata od początku aż do końca obejmuje łaska Boża.

Najpierw opromieniła raj ziemski, kolebkę ludzkości, jako niezrównana „gratia Dei“. A potem w mrokach upadłego świata jąła rozświetlać swe powrotne, zwycięskie blaski, jako „gratia Christi“.

Płynęła z niebios na ziemię bez przerwy. I długie wieki pracowała niestrudzenie na dwa rzec można, sposoby.

Nawiedzała dusze ludzkie, jako łaska codzienna, niepozorna i mała. Snuła się dalekimi echami rajskich obietnic i wspomnień. Niezwyciężonym głosem sumienia przychyliła niebiososa do serc i ognisk rodzinnych. Ogarniała pieczołowicie szare dni bytu człowieczego silnym opłotem tradycyjnych obyczajów, opartych jakby o sumienie wieków. I tak czuwała nad każdą duszą w każdej chwili. Aby o każdej mówić można słowami Pisma, iż „znalazła łaskę przed Panem“ (Rodz. 6,8), aby ludziom dobrej woli ofiarować pokój boży...

Ale dla Miłości Odwiecznej było tego za mało. Obok cichej, jakby zagubionej w gęstwinie ludów, łaski Bożej, wypłynęła z niebios na ziemię nowa jej fala.

Szła w okrag globu, jakoby odświętna, wspaniała i wielmożna łaska Boża. Jęła żłobić swój nurt potężny, widomy, potężniejszy i wyraźniejszy z każdym wiekiem.

Nad namiotami patriarchów zapaliła wizję tronu Stwórcy z aniołami, co zstępują i wstępują między niebem a ziemią. Potem ruszyła wielkim pochodem z Azji do Afryki i z Afryki znów do Azji, szlak cudów znacząc za sobą. Płomienistym słupem obłoku rozgorzała przed ludem wybranym, powiodła go przez odmęty morza. Znamieniem swym nazaczyła granice tego ludu. Jego stolicę na Syjonie uczyniła swą stolicą. Dała mu Arkę Przymierza, święte świętych i tablice prawa, nad którymi, zda się, łyskały gromy Synaju. Zbudowała mu najwspanialszą świątynię, jeden z cudów świata. A z niej dźwiękami harf i melodią psalmów uczyła wszystkie ludy modlić się i śpiewać Bogu prawdziwemu. Na swych ołtarzach roznieciła przed oczyma pokoleń „światłość na objawienie pogan i chwałę ludu bożego”. (Łk. 2).

Lecz i na górze Moria za mało było światła dla wszystkich oczu, za mało ciepła dla milionów dusz i serc, co jak mrówki osiadły już wszystkie lądy. Pośród tęsknot powszechnych oczekiwano na pełność czasów, pełność łaski.

„Naonczas posłany jest anioł Gabriel do miasta Galilei, które zwane Nazaret, do panny poślubionej mężowi, któremu na imię było

Józef, z domu Dawidowego, a imię panny Maryja. I wszedłszy anioł do niej, rzekł: Bądź pozdrowiona — ŁASKI PEŁNA”...

W słodkie ręce Maryi z Nazaretu została złożona pełność łaski Bożej. Dla wszystkich ludzi i dla wszystkich ludów.

A jakież będzie system rozdawnictwa tej pełności łask?

System Starego Zakonu, wypracowany przez długie wieki pod tchnieniem Ducha Bożego, zasadniczo pozostanie. Uzupełni go tylko boska mądrość Chrystusa i udoskonali. W myśl Jego własnych słów: „Non veni solvere, sed adimplere... Nie przybyłem obalać, lecz udoskonalać, cokolwiek świętego zastałem na ziemi”. I stanąwszy na Syjonie, rozpoczął ekonomię łaski nową, udoskonaloną — wieczernikowe rozdawnictwo sakramentalnej łaski Bożej.

Został jedną świątynią w Jeruzalem, jeden ołtarz, jedno święte świętych. Wszechpotęgą swej woli i mądrości rozsiał po całej kuli ziemskiej świątyni i ołtarzy tysiące tysięcy. Jak oka nierównanej, wszechświatowej sieci Piotrowej, w każdym najbardziej zapadłym zakątku świata — wznoszą się wieczerniki Chrystusowej miłości. Każda wioska bez trudu znajduje drogę w pobliże Świętego świętych. Każde serce, gdy łaknie i pragnie sprawiedliwości, nie musi wędrować setki mil, by znaleźć dla siebie tablice prawa i arkę przymierza. Co dzień widzi zastawiony suto stół ołta-

rzy, a na nich radosną ucztę Pańską. Tam się podają nowe „chleby pokładne” — zboże wybranych — i wino, co rodzi dziewice. Tam otrzymuje się łaskę po łasce...

W ten sposób na wszystkie drogi i opłotki świata podążyła ta wspañiała i wielmożna łaska Boża, by natchnąć życiem, uczynić owocną łaskę cichą, codzienną, co szepce do dusz i sumień. Stał się cud cudów. Każda świątynia, nawet najlichsza, przemieniła się dla dusz w świątynię Salomona. Tylko, że pod jej sklepieniem był większy, niż Salomon. Twórca tej ekonomii łask, Syn ŁASKI PEŁNEJ.

Ale nie dość Mu było na tym, że Matkę swą zewnętrznie tylko ze swym dziełem związał. Z pełnym rozdawnictwem pełnej łaski Bożej związał Ją jeszcze wewnątrz, najściślej.

Powrócił niejako do rajskiego planu szafarstwa łaski. Wówczas — przed upadkiem pierworodnym — krynica łaski była kobieta. I dziś nią będzie także kobieta. Wówczas miała być matka rodu ludzkiego, dziś będzie Matka Boga-Człowieka, godnością swą wyższa od pierwszej, tamtej matki. Wówczas łaska poświęcająca miała być udzielana przez rodzenie, dziś udzielana będzie przez odrodzenie: „kto się nie odrodzi z wody i z Ducha św., nie wniejdzie do królestwa Bożego”. Wówczas łaska płynęła drogami ciała, dziś popłynie drogami ducha...

A jednak w ciele... Jak wówczas uczyniono narzędzie uświęcenia z krwi i ciała pierwszej matki, tak i dziś, choć inaczej, uczynią. Z Serca nowej Matki, z Jej ciała i krwi, będzie uczynione bosko-ludzkie narzędzie uświęcenia. Z Jej objęć pochyli się ku światu i odda się wszystkim — w Osobie Słowa Wcielonego, Jej Syna. Przez Niego zatem Ona, nowa Matka dusz będzie z nimi związana ciałem i krwią... Najistotniej, najściślej, najrzeczywiściej...

Każda dusza, która zapragnie mieć swoją pełność łaski, musi się zespolić ściśle z duszą Matki. Tak, jak ciało dziecka, które chce mieć swoją pełność cielesną, musi się zespolić ściśle z ciałem matki swojej. I jeżeliby się oderwało w drugim, czy szóstym miesiącu — zginie. Tak i tu. Z tej pełności macierzyńskiej muszą czerpać dusze swą pełność dziecięcą łask bożych. Garnąć się muszą do Matki, z Nią zespolić i związać najtkliwszymi węzłami ducha i czerpać łaskę po łasce — wszyscy, każdy... Według wskazań systemu sakramentalnego Jej Syna. I wtedy tylko osiągną — ludzie i ludy — swoją „pełność łaski”.

Bez niej — religijnie zmarnieją. Słabo z Nią związani — skarleją, wegetować będą, a z Nią złączeni serdecznie — blaskami Bóstwa zająsnieją zdumionym oczom świata...

Ave gratia mea plena!

Zdrowaś Maryjo, łaski mojej i narodu mego pełna!...

KWIAT GALILEI.

Zdawać by się mogło, że słońce jest świecą kwiatów.

Skoro tylko się ukaże i rozpromieni nad łanami ziemi z wiosną, zaraz ukazują się kwiaty, tysiące kwiatów z szarej gleby, z brudnych i mętnych bagnisk, wytryskują całe ich rzesze. Uroczne, barwne, wonne... I przeciwnie. Gdy tylko słońce zacznie osierocac naszą półkulę, skąpiąc dla niej swych promieni, wówczas też umierają pośród nas i kwiaty.

Słońce je sieje, słońca brak je gubi...

Jeszcze więcej, niż w materialnym świecie, sprawdza się to w dziedzinie ducha. Blask obfity, blask pełny słońca miłości Bożej, rozsiewa naokoło kwiaty pięknych dusz, świętych i wzniosłych charakterów, serc, upajających otoczenie czarodziejską wonią cnoty. Gdzie zaś nie ma światła łaski, skąd Boga wygnano, tam umiera wszystko, co w promieniach Bóstwa przed tym zakwitowało.

Najpiękniejszym, najmiłszym ziarnem tego „słonecznego siewu” Bożej Miłości była przed wielu wiekami Ta, którą słusznie nazywamy „Kwiatem Galilei”... Boga Rodzica Dziewica, Bogiem sławiona Maryja...

Kto wypowie Jej piękność cudowną?

Niepokalanie poczęta, od kolebki do grobu nie zaznała żadnego złego odruchu. Natomiast miłość nieznużona i bezustanne działanie Ducha św. promieniały z Jej postaci, jak światło nieuchwytnie... Objawienia proroków, rozmowy z Bogiem patriarchów, natchniona poezja Dawida, mądrość Salomona, cały geniusz i świętość Izraela złożyły się na to, aby wydać ze swego łona coś większego od siebie — cud królewskiego Dziecięcia, które szło cicho po ziemi, aby złamać zapory grzechu i człowiekowi powrócić Boga.

„Któraż to idzie, jako zorza powstająca, piękna, jak księżyc, wybrana, jako słońce, ogromna, jako wojska uszykowane porządnie”?

Takim, istotnie, był „Kwiat Galilei”, rozkwitły w pełni czasów mesjańskich w mieście kwiatów — Nazarecie. Wszystkie najmiłsze i najczystsze soki ziemi wziął w swą łodygę i koronę, a na cudnych płatkach swoich położył dostępne stworzeniu wszystkie blaski niebios.

Gdy się tak bliżej przyglądać piękności tego „Kwiatu”, zdawać by się mogło niejednym oczom, że dlatego tylko tak zasłynął po świecie całym z ugorów Palestyny, że go Pan wziął do królewskich ogrodów. Cóż bowiem poza tym miał w sobie wielkiego ten tak ubożuchny, tak skromny, tak niepozorny na zewnątrz „Kwiat Galilei”?

Domek, w którym zamieszkała z mężem swym Józefem i Synem Jezusem, niczym się nie odróżniał od szarego otoczenia domów ubogich sąsiadów. Nie porywał w nim oczu widza wykwint sprzętów domowych, gdyż go tam nie było, szyk i bogactwo strojnych szat królowny, którego w tym domku nie znano. Skromność, ubóstwo i prostota zastępowały tam wszystko, co w oczach ludzi zwykle za wielkie uchodzi.

A jak otoczenie zewnętrzne, tak i rodzaj zajęć nie przedstawiał też nic wielkiego po ludzku. Kilkakrotne w ciągu dnia przygotowanie posiłku dla siebie i swoich, sprzątanie domu, mycie naczyń kuchennych, jakie wówczas były w użyciu, rozpalenie ognia, przyniesienie wody z niedalekiej studni, którą do dziś odwiedzają z dzbanami po wodę nazaretanki, spacer do synagogi na nabożeństwo w każdy szabat, podróż kilkodniowa, męcząca do Jerozolimy na doroczne święta — oto są te wielkie sprawy dnia, jakie wykonywała przez lat kilkadziesiąt swego życia na ziemi Bogarodzica. Oto Jej praca, zwyczajna, szara praca każdego dnia każdej kobiety, nie tylko w Galilei, lecz i we wszystkich krainach, wszystkich wiekach i narodach.

I cóż w tym, zaiste, wielkiego?

A jednak opowiadają sobie ludzie w Ziemi św., „że bywało, jeżeli jakiś ziemski przechodzień spotkał kiedy na swej drodze Maryję, to

niezrozumiale dla samego siebie zaczynał odczuwać tęsknotę za lepszym życiem, za niebem... I tak było z pewnością. Bo kiedy Maryja schodzi czasami z niebios i ukazuje się niewinnym dzieciom, jak to miało miejsce u tych dzieci, które widziały Maryję, przestają odtąd widzieć krasę świata, a nieba tylko szukają w ukryciu przybytków Pańskich” *).

Tak. W tym spoczywała wielkość Maryi. Nie ziemia, ani sprawy ziemi były Jej wielkością, tylko niebo, tylko Bóg, co zamieszkał z ogromem swych darów w Jej duszy. Nie wielkość spraw, bo sprawy ziemi, choćby największe, są naprawdę małe. Wielkość samego ducha stanowi o wielkości życia... Genialny człowiek jest tak samo człowiekiem, jak każdy prostak i potrzebuje dla podtrzymania sił swoich jeść, pić i spać. Inaczej atoli patrzmy na tę samą czynność, wykonaną przez człowieka genialnego, a inaczej w wykonaniu prostaczym. Dzieje się to dlatego, że geniusz ogarnia sercem i rozumem nieskończone światy — jest wielki — a dusza prostaka ledwo obejmuje wąski horyzont swego sioła. To też — weźmy najzwyczajniejszy przykład — jedzie prostak... nikt nań uwagi nie zwraca, ale gdy jedzie geniusz, wylegają na spotkanie miasta i krainy. A przecież obaj *tylko jadą*...

*) Wrotny—Klimowiczowa. Kraina pustego grobu. Str. 25. Wydawnictwo XX. Pallotynów.

Tak było i z duszą Bogarodzicy. Nie tylko zewnętrznie, powierzchownie był z Nią Pan. Usłyszała najwyraźniej od anioła: „Łaski pełna, Pan z Tobą”... Majestat i wielkość, co przerasta wszystkich geniuszów, był z Nią w każdej chwili. Gościł w Jej duszy, szerząc w nieskończoność Jej horyzonty. Ona zaś te boskie wartości uczyniła „swymi”... I dlatego zakwitła na szarych, prostaczych, ludzkich tylko łanach świata, jako nieporównany, jako jedyne kwiat „boski” w ludzkości... Strojny pełną łaską Bożą — — —

Kwiat Galilei.

POSAĞ ZNIEKSZTAŁCONY.

Z okna pokoju, gdzie przypadkowo zamieszkałem w podróży, widok otwierał się na rzekę, potem na łąki, a wreszcie na pola, zieleniące już runią zbóż. U zbiegu łąk i pól, przy drodze, zauważyłem figurę Niepokalanej. Okalały ją bzy szeroką kotarą zieleni, gotowe do kwiatu, lecz nie kwitnące jeszcze.

Zbliżyłem się pod wieczór do okna, by obserwować majową zorzę nad lasem dalekim, polami i nad posągiem Bogarodzicy.

Zapatrzony w blaski złociste przestworów, zadumałem się przez chwilę... O roli i chwale tej dziwnej Nazaretanki w świecie... Kiedyś, jako piętnastoletnia dziewczynka powiedziała o sobie: „Oto odtąd błogosławioną nazywać mię będą wszystkie narody!” I przepowiednia Jej spełniona. Słodyczą Jej Imienia nasycają się i rozkoszują dusze, serca, wargi wszystkich narodów. Jej posągi witają wędrowca przy wszystkich już niemal drogach świata. Dowodem widowym — ten posąg, co mię przywitał w aureoli zórz zachodu...

Ile jeszcze źrenic będzie cieszył, gdy moje przestaną go widzieć?!...

W chwili, gdy miałem odsunąć się od okna,

uderzyło mnie dziwne spostrzeżenie. Ujrzałem nagle... posąg Maryi zniekształcony!

Niepodobieństwo! — pomyślałem. — Przed chwilą przecież widziałem go całym, bez skazy.

Jednak znowu mignął mi przed oczyma — posąg zniekształcony.

Okazało się niebawem, że winę zniekształcenia posągu ponosiła jedna z szyb w oknie. Przez inne widziany, posąg był cały i ładny, przez nią oglądany — był wypaczony, zniekształcony. Twarz i ramiona Bogarodzicy, na ile odległość pozwalała odróżnić, rysowały się tak karykaturalnie, że nieprzyjemnie było patrzeć... Posąg Panny Najślicniejszej po prostu aż przerażał żrenice!...

Odruchowo odsunąłem się od tła tej szyby i nie zapalając światła, zapatrzony w mrok wieczoru, jałem rozmyślać nad zniekształconymi posągami Maryi w świecie dusz i serc.

Są takie... Jest ich wiele... Uciekają od nich oczy ludzkie, jak oczy moje przed chwilą od okropnego widoku. A odsuwając się od zniekształconej podobizny Niepokalanej Dziewicy, odsuwają się od Niej samej, duchowo tracąc ogromnie wiele. Jak ktoś, co się odsunie od możnej, a kochającej i mądrej matki!...

A powodem odsunięcia się nie jest Ona. Nie Matka Boska winna, lecz Jej posąg zniekształcony. Jej obraz przez zły pryzmat wi-

dziany wadliwie. Przez szkła złego, niereligijnego wychowania.

Nie znali Jej we właściwym, bożym świetle i klasycznych, niebiańskich liniach Jej postaci wszyscy ci, z którymi żyła współcześnie — wrogowie Chrystusa — i odsunęli się od Niej. O jednym z nich usta Zbawiciela powiedziały, że lepiej by mu było, gdyby się był nie narodził...

Nie znali Jej herezjarchowie pierwszych wieków Kościoła i odsuwali się od Niej, jako od zwykłej niewiasty, zwykłej śmiertelniczki, której ledwo się należy wzmianka w dziejach, jak matce Kościuszki, Washingtona lub Napoleona... Wydała na świat Chrystusa, ot, i tyle. Wykarmiła Go i nic więcej!... Ale ponad nimi, nad wdeptanymi w pył zapomnienia ich mogiłami, przeszły pokolenia z wiarą gorejącą w sercu i słowami pozdrowienia na ustach: „Święta Maryjo, Matko Boża!...”

Nie znał prawdziwego Jej obrazu największy herezjarcha nowszych czasów — Luter. Zniekształcony Jej posąg pozostawił zwolennikom swoim. Nie więcej i oni wiedzą o Maryi nad to, że była Matką Chrystusa. Nie wiedzą nic o skarbach Jej Serca, które umie zbogacić wszystkie narody, jeśli tylko się do Niej przygarą. Nie pojmują nieśmiertelnych, niebiańskich głębin Jej duszy, o których wiedzą Aniołowie Pańscy, zwiastując Jej, że jest łaski pełna i że Pan jest z Nią na wieki...

Łaski wszelkiej pełna... Łaski dla każdego człowieka i łaski dla każdego narodu, w każdym okresie dziejów... I Pan, którego wielkości i chwały nie wyśpiewa niebo, nie wypowie ziemia, nie ogarnie ludzkość rozumami wszystkich swoich dzieci, Ten Pan jest z Nią na wieki. Ona jest Matką Najwyższego...

I taką cudną, tak wielką, tak prześliczną — pomniejszono. Zeszepeciono Jej rysy, zniekształcono postać, skłaniając oczy milionów ludzi, by patrzyły na Maryję przez koszlawe szkła herezyj!...

Kościół ze smutkiem w sercu liczy osieroczone te głowy. Pół miliarda snuje się ich po ziemi — chrześcijan, co znają tylko zniekształconą postać Matki Zbawiciela. Dusze i serca sieroce. Pośród nędz i niedoli życia nie mają się do kogo udać po światło, pomoc, pociechę. Te dzieci boże — ach, jak ubożuchne — nie mają matki... Matki Boga!

Ale i w szeregach katolików — ileż widzę sierot! Dusz i serc naprawdę sierocych, które nie znają Matki Boga. Stosują się do nich słowa jednej pieśni, nuconej u stóp majowych ołtarzy:

Biedny, kto Ciebie nie znał od powicia
I nigdy Twego nie słyszał Imienia!
Lecz ten biedniejszy, kto w rozpuście życia
Stał się niegodnym Twojego wejrzenia.

I Imię Twoje już zatarł w pamięci
I swojej Matki podle się wyrzeka...
Ach, łaska boska serca nie poświęci,
Które od Matki stroni i ucieka!...

Mrok był coraz gęstszy, zorza wieczorna już dawno zagaśła za oknem, nad posagiem Niepokalanej, którego niepodobna było już odróżnić od tła widnokregu, wzeszła gwiazda. Zdaje się, tuż nad skronią Maryi.

Pomyślałem, że gdyby jaki potworny, a potężny łotr usunął z nieba materialnego wszystkie gwiazdy, mniejszą szkodę wyrządziłby światu, niż ten Łotr, co godzi w cześć i chwałę Matki Boga... Gdy zniekształca, wypacza i tak sprzed oczu ludzkich usuwa Matkę Najśliczniejszą, skarbami łask dla nich gorejącą nad słońca, nad gwiazdy — słodką postać Bogarodzicy...

Należałoby stworzyć na kuli ziemskiej jeden gromowy młot... Aby wszystkie szkła, co pokazują ludzkim oczom posąg Maryi zniekształcony potrząsał w proch!...

Z KART EWANGELII.

OJCZE NASZ.

Co dzień z ust milionów — już blisko dwa tysiące lat — płynie szept modlitewny w niebiosach: „Ojcze nasz”!

Za każdym razem, rzekłbyś, wieje zeń ciepło warg Zbawiciela, drży tętno Jego Serca i rozlewa się na pokolenia ludzkie jakiś słoneczny blask zaświata, jakaś niewysłowiona wzniosłość i cudowna prostota myśli Chrystusowych. Z niewielu słów tej „modlitwy Pańskiej” promienieje na dusze Mądrość nieskończona.

To też i wartość, jaką posiada „Ojcze nasz”, jest ogromna — dla wszystkich ludów i dla każdej duszy.

Bardzo jasno i uchwytnie, choć trochę naiwnie, wyraża tę prawdę stara legenda bawarska.

Przed wielu wiekami — głosi ona — biskupem Augsburga był św. Ulrych, mąż niezwykle dobroczyunny dla ubogich, który z pewnym żebrakiem zawarł osobliwą umowę. Mianowicie żebrak ów zobowiązał się co dzień odmawiać trzy „Ojcze nasz” w intencji swego Pasterza, wzamian za co miał co dzień otrzymywać porządku ze stołu biskupiego.

Po zawarciu tej umowy biskup nie mógł

poznać sam siebie. Przedziwne błogosławieństwo boże szło za nim krok w krok, najtrudniejsze sprawy swego wysokiego urzędu załatwiał bez wysiłku, a co najważniejsza, niezrównany pokój i wesele ducha towarzyszyły mu stale. Przypisywał to—rzecz zrozumiała—gorliwej modlitwie pokornego biedaka, orędownika swego przed Bogiem. I pilnie baczył, by mu kucharz co dzień umówione potrawy sumiennie wydawał.

Tak upłynęło sporo czasu. Aż tu pewnego dnia święty spostrzega, że opuścił go święty pokój duszy. Strapione serce osaczyły boleść, i zgryzota, ciężkie chmury smutku spowiły i spętały myśl każdą. Ziemia usuwała mu się spod nóg, niebo zdawało się zamknięte... Jedno tylko panoszyło się w nim bezkarnie: — ucisk i męka ducha.

Upadając pod brzemieniem, św. biskup zaczął się natychmiast zastanawiać nad sobą i szukać przyczyny tak rozpaczliwego stanu. Długo nie mógł nic trafnego wynaleźć. Nagle, jak błyskawica olśniła go myśl:—A modlitwa żebraka? Czy on przypadkiem nie zaprzestał odmawiać, albo może niedbale odmawia umówione trzy „Ojcie nasz”?

Natychmiast kazał go zawezwać do siebie.

Stał się żebrak przed biskupem i zapytany przyznał się otwarcie, że przerwał umówione pacierze, ponieważ od pewnego czasu kucharz nie daje mu potraw obiecanych z biskupiego

stołu. Zbывa go byle czym, obdziela skąpo a czasem wogóle odprawia na głodno.

Oburzony do żywego tak samowolnym postępowaniem swego kucharza św. Ulrych przywołał go i kazał mu się wytłumaczyć, dlaczego to czynił. Kucharz odparł zuchwale, że nie może zrozumieć, dlaczego ks. biskup o taką błahostkę go strofuje. Trudno rujnować śpiżnię biskupią, karmiąc dziadów wyszukany jedzeniem. Biedny ma jeść to, co mu dadzą, a nie wydziwiać i stroić grymasy, żądając królewskiego jadła za parę mizernih „Ojczyńszów”...

Na te słowa uniósł się świętym gniewem ksiączę Kościoła.

Jakto!—zawołał—to dla ciebie „Ojcie nasz” jest mizerną błahostką?! Za takie słowa musisz ponieść karę. Pójdiesz pieszo do Rzymu i zapytasz się Ojca św., jaką wartość i wagę ma jedno „Ojcie nasz”.

Na kategoryczny rozkaz swego pana kucharz wyruszył w drogę do Wiecznego Miasta i stanął przed obliczem Ojca chrześcijaństwa. Pokornie przedłożył pytanie swego biskupa.

— Jedno „Ojcie nasz” — usłyszał odpowiedź — tyle znaczy, co dukat ulany ze złota.

Z tą odpowiedzią powrócił kucharz do swego pana. Ale św. Ulrych nie był z niej zadowolony.

Nie dopytałeś się — odrzekł słudze — jak

szeroki ten dukat. Wracaj do Rzymu, zapytasz się dokładniej.

Rad nierad musiał nasz bohater udać się znowu w drogę. Po wielu trudach i mokołach przybył wreszcie do celu, by klęknąć u stóp następcy św. Piotra i zapytać o szerokość złoto dukata.

— Ten pieniądz złoty — usłyszał odpowiedź — jest tak szeroki, jak ziemia cała.

Ucieszony tą odpowiedzią, sądząc, że będzie ostatnią, pospiesznie wrócił do Augsburga i przedłożył ją swemu biskupowi.

— Zapomniałeś jeszcze — rzekł tenże do sługi — zapytać się o grubość dukata.

I musiał biedny pokutnik po raz trzeci wędrować do Rzymu, by tam ostatecznie usłyszeć z ust papieża słowa:

— Ten złoty dukat jest tak gruby, jak niebo spiętrzone nad ziemią.

Wtedy dopiero poznał kucharz św. Ulrycha, jak wielką wartość posiada jedno „Ojcze nasz” i powróciwszy do domu nigdy już nie gardził modlitwą żebraka.

Oto legenda. Starodawna, a jednak wiecznie na czasie.

Nie brak i dziś kucharzy, zatroskanych o pełną spiżarnię świata, dbających o wykwinne jądło dla siebie, a gardzących mizerną błahostką — modlitwą żebraka... Na wielu ustach „Ojcze nasz” dziś istotnie zamiera. A wraz z nim umiera pokój duszy, gaśnie światło Ma-

drości nieskończonej w umysłach. Pośród mroku dziejów pełgają liche iskierki lichych rozumowań ludzkich, nie poczerpnięte z pacierza... I niezdolne rozświetlić wielkich dróg duchowych, wielkich przeznaczeń narodów... Zewsząd ciemność się wciska, błąd i zamieszanie...

Szkoda, że nie ma św. Ulrycha... aby nakazał dzisiejszym kuchtom świata trzykrotną pielgrzymkę do Rzymu... Może by się nauczyli cenić i odmawiać choć po jednym „Ojcze nasz” rano i wieczorem...

IMIĘ BOŻE.

Kiedy się czuję znużonym, lubię dla po-
krzepienia duszy sięgnąć po księgę ksiąg. Naj-
starszą i najmędrszą — księgę Pisma św.

Dziś otworzyłem ją na cudownej stronie,
gdzie Duch Boży niezatartymi głoskami malu-
je duszę Chrystusową. Duszę Zbawiciela, po-
chwyconą w jej najczulszym tętnie, w naj-
tkliwszym stosunku do Ojca Niebieskiego.

Przez usta Chrystusa mówi do nas o Bogu
człowiek, który widział Boga—twarzą w twarz.
I daje Mu Imię najwłaściwsze. Imię tak wy-
jątkowe, że dotąd było nieznanne w ludzkości.
Ledwie czasem, jakby ukradkiem, wspominali
je prorocy Izraela.

Chrystus tym Imieniem Bożym posługuje
się stale sam i uczniom je swoim wpisuje do
codziennego pacierza...

Ojciec nasz... święć się Imię twoje!...

A więc — „Ojciec!” — — —

Takim, a nie innym imieniem odtąd mają
nazywać Boga. Imię to mają zapisać w sercu,
jako świętość. Wszyscy ludzie, wszystkie ludy.
Bóg jest ich Ojcem, oni — jego dziećmi. Mają
wciąż i wszędzie w Bogu widzieć—Ojca, który
mieszka na niebiosach...

Boga widzi każda dusza. Poznaje Go po-
średnio przez stworzenia. Widzi jego majes-
tat w zasłonie jego dzieł. A ujrawszy ro-
zumowo Boga, na swój sposób Go nazywa.
Wielkim Duchem, Wielkim Panem, Wielkim
Demiurgiem — Budowniczym wszechświata,
Władcą gromów... Pisma misjonarzy, dociera-
jących do krańców kuli ziemskiej, najwymow-
niej o tym świadczą. Boga widzi każda du-
sza, każdy lud i wszystkie narody.

Nawet wrogowie „widzą” Boga, chociaż Mu
przeczą, choć Go zwalczają. Widzą Go właś-
nie dlatego, że z Nim walczą. Walczyć moż-
na tylko z przeciwnikiem rzeczywistym. Jak
bowiem można zwalczać kogoś „nieistniejące-
go”? W Polsce np. urządzają polowania na wil-
ki, rysie, żbiki, bo w naszych lasach jeszcze
te zwierzęta dzikie są. Ale co by powiedziano
o klubie myśliwskim, który by ogłosił, że urzą-
dza polowanie na lwy, których u nas w Polsce
nie ma?!...

Kto walczy na serio z czymś, co nie istnieje,
ten nadaje się do domu „czubków”, jako
niewątpliwy idiota. Tak samo, kto by walczył
z nieistniejącym Bogiem...

A gdyby to czynił cały „klub”, albo co
gorsza cały naród, byłby idiotą do milionowej
potęgi!

Zatem i dla wrogów Boga—Bóg jest. I dają
Mu nazwę, tylko różną od naszej. Zwą Go
bluźnierczo „Tyranem, Katem, Trucicielem

świata”... Wypatrzył ich na przestrzeni dziejów Zbawiciel, gdy mówił o nich Apostołem. „Będą was zabijać... bo nie poznali Ojca, ani Mnie”...

Nie poznali Boga pod imieniem właściwym — ludzie i rządy — toteż usiłują wygładzić z powierzchni ziemi nawet ślad Boga — „trucielela dusz”. Ale gdyby Go poznali pod słodkim Imieniem Ojca, może sądziliby inaczej o Bogu... Chyba tylko w sercach, zaiste, lucyferowych nie zdrżałoby i nie znalazło oddźwięku tętno Serca Zbawiciela, nakazujące światu całemu „święcić Imię Ojca”...

Bóg jest Ojcem naszym. Ileż w tym Imieniu można wyczytać akcentów pociechy, słodkiej radości i szczęścia! Prawda... w zbyt ciasnych głowach czasem się to nie mieści. Spotykają w życiu gotowe wzory innego ojcostwa... Wyraz „Ojciec” oznacza wtedy to samo, co tyran, srogi okrutnik i despota niesprawiedliwy. Nie rozumie taki ojciec duszy dziecka. Obchodzi się z nią, jak z istotą najpodlejszą, a bezbronną, którą on może zabić, nad nią się pastwić, a jej poskarżyć się, ani zapłakać nie wolno. Jemu wszystko wolno, dziecku nie. On może strącić maleństwo w przepaść ze skały Tarpejskiej, a dziecina winna tylko ulegać i umierać.

Myśl o takim „ojcostwie” może przejąć trwogą każdego, ale to nie jest pojęcie właściwe — Chrystusowe. Żli ojcowie, jacy byli,

są i będą, nigdy nie zdołają zaćmić w świecie słonecznych blasków innego, dobrego ojcostwa. Od takich to, jeśli już nie idealnych, to przynajmniej normalnie dobrych ojców, rozjaśnia się życie, napełniają ciepłem serca ludzkie i domy. Z pojęciem ojca wkracza w progi rodzinne, żarzy się u domowego ogniska: — dobroć, słodycz, miłość, łaskawość, wyrozumiałość na błędy, troska serdeczna i gotowość do ofiar dla dobra swoich najdroższych, poświęcenie, posunięte do ostatnich granic, wierność aż do śmierci. Prawdziwie dobry ojciec tak kocha swe dzieci, jak tylko miłość ludzka najtkliwiej kochać umie. Dzieci wiedzą o tym. Wyczuwają to w każdej, zwłaszcza cięższej chwili. Przy sercu ojca nie lękają się niczego, pewni opieki niezawodnej, rzetelnej.

Taką właśnie miłość Ojca niebieskiego zaakcentował Chrystus w Bogu. Tak pojmować Go kazał, takim imieniem najśłodszym nazywać, „ile razy modlić się będziemy”. I zśród wszystkich „imion”, kiedykolwiek Bóstwu nadanych na ziemi, to jedno kazał uznać za najświętsze: „Święć się Imię Twoje... Ojciec nasz!”...

Przed stu mniej więcej laty przybył do Rzymu sławny pisarz francuski Ludwik Veillot. Był nieco liberalnie nastrojony, jak prawie wszyscy francuzi owego czasu, ale pobyt w Wiecznym Mieście, stolicy papieżstwa, wywarł na niego potężne wrażenie. Odżyła w Biją dzwony

sercu jego wiara lat dziecinnych. Postanowił na całej linii nawrócić ku wierze. Przypięciem tego postanowienia miała być audiencja papieska.

W oznaczonym dniu i godzinie udał się do pałacu Namiestnika Chrystusowego, ale już nie tak, jak dawniej zamierzał, butnie i wyzywająco, tylko z pokorą chrześcijanina. Kłęcząc w szeregu z innymi, oczekiwał nadejścia białego starca, którego imię z czcią wymawiają miliony wiernych na całej kuli ziemskiej. I gdy papież zbliżył się do niego i z dobrotliwym uśmiechem podał mu pierścień swój biskupi do ucałowania, usta Veuillota wyszeptaly jedno tylko słowo: „Ojczy święty!”... Papież w odpowiedzi odrzekł mu również tylko: „Figliuolo!” Mój synu! Młody człowiek, jakim był wówczas Ludwik Veuillot, zapamiętał sobie tę chwilę na całe życie. Mawiał, że samo jej wspomnienie jest już dla niego szczęściem.

Bóg jest naszym Ojcem, my jego dziećmi jesteśmy. Jakież bezmiar szczęścia zamykają w sobie te dwa słowa. Byliśmy je tylko zrozumieli...

O najszcześliwsze, najmiłsze, najśodsze dla nas Imię Boże — Imię Ojca!... Innych możemy nie znać... Ty jedno stań się dla nas świętym — na zawsze!*)

*) Czytałem dużo broszur i książek, których autorowie biedzili się nad wykładem drugiej prośby modlitwy Pańskiej: „Święć się Imię twoje”. Nigdzie nie spot-

CHCEMY WIDZIEĆ JEZUSA.

Pewnego dnia po wjeździe triumfalnym do Jerozolimy, Zbawiciel nauczał na dziedzińcu świątyni Salomona. Jak zwykle, tak i wówczas, nieziemski poryw mocy bożej bił z jego słów, to też liczne, z każdą chwilą liczniejsze rzesze cisnęły się ku Niemu. Nareszcie tak ogromne mnóstwo ludu otoczyło Go zewsząd, że wprost niepodobna było przecisnąć się do Niego.

Wówczas do Filipa, jednego z apostołów, zbliżyła się gromadka pielgrzymów, przybyłych aż z Grecji.

— Panie! — rzekli doń, wskazując na tłumy, jakie odgradzały ich od osoby Zbawiciela. — Chcemy widzieć Jezusa.

Prośba tak prosta, wzruszająca i szczerą,

kałem przekonywującej jasności wykładu. Tymczasem wystarczy mieć na oku *związek* każdej prośby ze „wstępem”: — Ojczy nasz, któryś jest w niebie, a sens od razu staje się jasny i wyraźny. Ojczy... niech ludzie za świętość rodzinną mają Twe Imię Ojca... niech urzeczywistnią na ziemi Królestwo Ojca, ojcowskim Duchem Boga natchnione... niech pełnią przykazania, wolę Ojca... Ojczy, daj chleba, odpuść dzieciom winy, zbaw ode złego... Tak, gdyby ludzie zrozumieli, że świat i niebo, to jeden dom rodzinny o dwu pokojach. Bóg — ich Ojcem, oni — Jego dziećmi...

tak pełna cichej tęsknoty za Tym, o którym nasłuchali się tyle dziwów, a który w ciągu trzech lat urósł tak wysoko, że cień Jego osoby sięgał aż do Grecji, a Jego Imię zyskiwało już obywatelstwo w znanym naówczas świecie.

Chcemy widzieć Jezusa! — Nie z oddali, rzecz jasna, bo z daleka Go widzą i słyszą dźwięk Jego głosu, jak przemawia do tłumów. Oni pragną poznać Go bliżej, chcą się zetknąć z Nim osobiście, ujrzyć Go twarzą w twarz.

Chcemy widzieć Jezusa. — Jakże często w biegu wieków wyrwała się z serc, drżała na ustach wszystkich ludów ta prośba cicha, tęsknota serdeczna... I dziś w naszych sercach ona nurt swój żłobi, szuka ujęcia... Na ustach tysięcy się zjawia, szepce, błaga, żebrze i woła niekiedy z siłą gromu:

— Chcemy widzieć Jezusa!

Tak, chcemy Go widzieć! Chcemy patrzeć w Jego jasne, czyste, dobre oczy, chcemy podziwiać Jego wzniosłą, niebiańską postać, tak pełną ludzkiej słodyczy. Niech nas owionie tchnienie Jego Bóstwa, gdy pochylimy się do Jego stóp, by Sercu Jego powierzyć wszystkie niedole i troski, wszystkie łyzy i radości nasze... Dzień, w którym ujrzelibyśmy naprawdę Jezusa Chrystusa, byłby dniem niezapomnianym w życiu naszym... Wiedzielibyśmy, jak On przemawia, jak się modli, jak pracuje, jak uśmiecha się do dzieci, jak się lituje nad nieszczęśliwymi, jak walczy i cierpi, stając się

za nas ofiarą i dla nas przykładem. W Jego ręce złożylibyśmy z ufnością losy nasze. U Niego zaczerpnęlibyśmy tyle szczęścia, otuchy i mocy, że lekkim wydałoby się nam jarzmo pracy naszej i krzyż doświadczeń życiowych, pod którym upadamy sami...

— Chcemy widzieć Jezusa! — A chcemy Go ujrzeć tym bardziej, że dziś On urósł, zaiste, ponad wszelką ludzką miarę, nawet ponad miarę dziejową. Już nie tylko nad fale greckiego Międzymorza, lecz nad fale wszystkich mórz i oceanów sięga promienny nimb Jego postaci. Nad kłębowisko biednych, niekiedy nikczemnych, zawsze ułomnych i ograniczonych ludzi, wznosi się On jeden święty, On jeden Pan. Moc od Niego promienieje, łaska i dobroć znaczy Jego ślady w dziejach dusz i ludów.

Chcemy Go widzieć, a ponieważ dzieli nas od Niego dwadzieścia wieków, szukamy przynajmniej Jego obrazu, Jego podobieństwa. Nie posiadamy jednak obrazów, które by dawały nam pewność, że On naprawdę tak wyglądał przed wiekami. Zresztą, choćby się taki wizerunek znalazł pośród wykopalisk katakumbowych, byłby tym, czym zawsze był... Martwym płótnem lub kamieniem, przetworzonym ręką, człowieka—artysty... A my chcemy widzieć Jezusa, żywego Jezusa. Tego, który jest Synem Boga żywego!

Dopóki łaskę pielgrzymią niesiemy w ręce,

dopóki zasłona śmiertelności maci nam oczy ducha, dopóty nie ujrzymy zapewne Chrystusa... Dopiero, gdy przed Nim staniemy po zgonie. Wówczas rozraduje się serce nasze, a radości naszej nikt nam nie odbierze, — jak On sam zapewniał.

Jest wszakże jeden obraz Jego, palcem Bożym malowany, tworzony pod natchnieniem Ducha św. W ramach czterech ewangelii jawi się On, nasz Pan i Zbawiciel, oczom duszy naszej. Blaski i barwy, które złożyły się niegdyś na widomą sylwetkę Boga zjawionego wśród ludzi, Jego słowa i czyny, zostały zaklęte czarodziejską różdżką natchnionego pióra uczniów Pańskich. Wystarczy dotknąć tych znaków przedziwnych „dobrej nowiny” modlitwą serdeczną, tęsknotą duszy, rozmyślaniami, opartym o fundament żywej wiary, a głoski te natychmiast ożyją. Łuska martwoty, właściwa księgom ludzkim, opadnie z sylab i do duszy miłującej wpłynie treść ich żywa, jak przed wiekami, gdy Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami. W tych bowiem głoskach, niemal jak pod osłoną postaci sakramentalnych, przebywa żywy duch Chrystusowy.

A jeśli czyje oczy nie umieją odczytać tych ewangelicznych znaków i nie zdołają z nich wyczarować dla siebie wizerunku Ducha Chrystusowego, niechaj szukają obrazu Ciała Jego — w bliźnich swoich. On tam szukać go kazał. Mówił o najbiedniejszych, opuszczono-

nych, sponiewieranych ciałach bliźnich naszych, że cośmy jednemu z nich uczynili, tośmy Jego Ciała uczynili, karmiąc łaknących, pojąc spragnionych, okrywając nagich...

A ten, kto pragnie odnaleźć Pana swego już nie w obrazie, lecz z całym jestestwem Jego żywym i prawdziwym, z Jego Duszą, z Jego Ciałem i Krwią żywą, z Jego Bóstwem i Człowieczeństwem, ten niechaj podąży do stóp tabernakulum i uklęknie na chwilę modlitwy serdecznej przed Najśw. Sakramentem. Usłyszysz słowa Jego wiecznego upewnienia:

— Oto Ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata.

Tam — źrenicą żywej wiary — ujrzy Jezusa.

BŁOGOSŁAWIONE OCZY.

W ciszy wiejskiego kościółka, o wczesnej, niedzielnej godzinie, czyta ksiądz ewangelię. Nic nie przerywa uwagi wiernych, chyba tylko lekki szelest drzew cmentarnych zza okien świątyni i szczebiot ptaszęcy. W tę ciszę skupioną padają od ołtarza słowa Chrystusa, wypowiedziane przed wiekami:

— Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie i błogosławione uszy, które słyszą, co wy słyszycie. Wielu bowiem królów i proroków pragnęło ujrzeć, co wy widzicie, a nie ujrzeli i słyszeć, co wy słyszycie, a nie słyszeli. — (Łk. X, 25).

Słowa Chrystusa są prawdą—wczoraj, dziś i na wieki. Ale każda prawda, w zastosowaniu do świata ograniczonego, posiada swoje granice. Można jej wskazać określone i wyraźne warunki, w których ona się łączy, jako też okoliczności, które ją wniwecz obracają. Podlegały tym prawom także „oczy i uszy”, nazwane przez Chrystusa błogosławionymi.

Bardzo wielu współczesnych widziało Go nie raz, ale nawet często, stykało się z Nim osobiście. Wszystkie niemal osiedla Palestyny Zbawiciel odwiedził utrudzoną stopą własną, dotarł za Jordan i nad morze Śródziemne, do

Tyru i Sydonu. Trudno Go było nie widzieć. Stumilowa wieść biegła przed Nim, uskrzydłona sławą Jego cudów. Zwracały się ku Niemu wszystkie oczy, wskazywały nań wszystkie ramiona, usta dziecięce wołały Mu: „Hosanna”! Tych, co Go słuchali, zamknął ewangelista w znamiennej cyfrze: — rzesza niepoliczona...

Pośród tej rzeszy na pewno widział Go i słyszał Annasz, Kajfasz, Piłat i Herod, bo Go przesłuchiwali w Wielki Piątek. I widywały Go stale co dzień oczy Judasza... A przecież oczy te i uszy nie były „błogosławione”. Nie odniosły dla siebie żadnego pożytku, nie uszczknęły żadnej łaski z tego źródła, które na świat wytrysnęło „pełne łaski i prawdy”... A takich jak oni, było bardzo wielu. Krzyż i grób Zbawiciela stały się jasnym probierzem i wykazały ich zawrotną, nieprawdopodobną liczbę: — Izraela!

Tylko czyste oczy Miriam, Jego Matki i przybranego Ojca, św. Józefa, były błogosławione... Tylko oczy i uszy jego wiernych apostołów i uczniów i wyznawców były naprawdę błogosławione...

Spotkać się można dzisiaj dość często pośród katolików, zwłaszcza gorliwszych i praktykujących, z pełnym tęsknoty serdecznej powiedzeniem: „Ach, mój Boże! Gdybym ja mógł, gdybym ja mogła żyć za czasów Chrystusa Pana! Widzieć Go na własne oczy, oglądać

chwałę Jego Przemienienia, patrzeć na cuda przezeń dokonywane, słyszeć na własne uszy wdzięk, słodycz i mądrość Jego słów! Jakże wówczas żywą byłaby moja wiara! Jak blisko pochyliłyby się nade mną niebiosa”!

Nawiedza czasem dusze ludzkie taka tęsknota, podobna do tęsknoty królów i proroków Izraela przed przyjściem Chrystusa Pana. Tęsknota błogosławiona.

Ale zwrócić trzeba koniecznie uwagę na to, że nie samo widzenie bezpośrednie, ani samo słyszenie Chrystusa stanowiło o tak pożądanym błogosławieństwie dla dusz. Nic nie pomogło Herodowi widzenie Chrystusa, ani też Kajfaszowi, że na swe pytanie: „Czy ty jesteś Chrystus, Syn Boga błogosławionego”? — usłyszał odpowiedź: „Tyś powiedział. Jam jest”! Zapewne, duże wartości ludzkie posiadała w sobie postać, głos, blask oczu Zbawiciela — tych wartości my dziś nie mamy na swe usługi. Ale cała prawda, jaką przyniósł światu Chrystus i cała pełnia łaski, jaką nam darował, jest tak samo pełna dziś, jak była pełna przed dwudziestu wiekami. Tylko sposób jej podania wówczas był w całej pełni „człowieczy”, a dziś jest — powiedzmy dziesięć razy mniej człowieczy. Więcej żyć musimy wiarą, mniej widzeniem i słyszeniem.

Bo zaiste, nie widzenie, lub słyszenie decydowało o czerpaniu ze źródeł Zbawiciela, tylko żywe zainteresowanie się Jego Osobą,

nauką, tylko oddanie Mu swego serca. Tak uczynili apostołowie i pierwsi uczniowie, tak czynili z biegiem wieków święci. Wszyscy oni żywo zainteresowali się prawdą i łaską, przyniesioną przez Chrystusa światu, a choć późniejsi święci nie widzieli Go oczyma ciała, ani słyszeli na własne uszy, nic im to jednak nie przeszkodziło w ukochaniu nad życie Jego nauki i Jego Osoby.

Serce, gorąco miłujące, jednakowo doń przyłgnie uwinionego w pieluszki, jak do spowitego białym obłoczkiem postaci chleba. A łaskę i prawdę, których pełnię On piastuje i podaje każdemu, może otrzymać każda dusza w miarę swych pragnień w dużej, większej i bardzo wielkiej obfitości. Niechaj tylko rozszerzy złote, czyste naczynie serca swego, a doświadczy hojności Chrystusowej, równej niekiedy wylaniu łask na Taborze.

W dziedzinie religijnej, w dziedzinie stosunku naszego do Boga, rzecz się ma podobnie, jak w dziedzinie narodowości i umiłowań ojczystych. Kolonie polaków rozsiadły się po całym świecie. Między innymi jest liczna kolonia polska np. w Harbinie. I oto pomyślmy sobie, że ktoś z Polski przyjeżdża do Harbina, a idąc ulicami miasta, słyszy nagle grę na fortepianie. Usłyszał i drgnął. Przez otwarte okna pięknego gmachu SS. Urszulanek dola tuje najwyraźniej melodia: „Jeszcze Polska nie zginęła”... Wędrowiec staje zdumiony, wzru-

szony, gotów uszom własnym nie wierzyć. Ale gdzież tam! To nie złudzenie! Silne, żywe i jakby soczyste dźwięki strun fortepianowych płyną niepowstrzymaną falą, głosząc chwałę dalekiej, ukochanej Ojczyzny...

Tysiąc chińczyków przejdzie, usłyszy tę samą melodię i nawet nie spojrzy w okna Gimnazjum im. Sienkiewicza. Przechodzić będą szeregi japończyków, mongołów, hindusów. Niczyje serce ciepłej w piersi nie uderzy. Tylko polaka żywo ten hymn zainteresuje, bo ta melodia, ta pieśń — to tętno jego serca, to dusza jego duszy, to najdroższe na ziemi jego ukochanie. Symbol Ojczyzny — Polski. W jednym dźwięku, w splocie kilku nut, odnajduje dusza polaka całą Polskę...

Podobnie i dusza, miłująca Boga-Człowieka, w jednym znaku, w jednym dźwięku wiary, odnajduje go całego z pełnością ŁASKI i PRAWDY.

WIDZIAŁEM PANA.

Po wiekach od jej napisania, leży przedemną księga — zachwyty wieków. Natchnienie umysłów genialnych, umiłowanie serc świętych, chluba i wielkość dusz wielkich—Ewangelia św. Jana...

Z woli Kościoła w nią się wczytywać, nad nią rozmyślać mamy. Każdą ofiarę Mszy św. zwykle zamyka jej tekst. Jest to prawda, że „świętym jest na ziemi, kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętymi”, to nie tylko świętą, lecz zaiste przebóstwioną winna zostać dusza, która się z nią zetknie. Przez księgę bowiem ewangelii św. Jana, przestaje z Jezusem, Synem Bożym.

Tak, z Jezusem, nie z Janem. Albowiem ten uczeń umiłowany Zbawiciela, stał się żywym odbłaskiem pierwszego swego mistrza z nad Jordanu, proroka pustkowi judzkich, Jana Chrzciciela. Jak on, przyjął na się rolę druha oblubieńca, który w cień zstępuje, by Oblubieniec zajaśniał, który umniejsza się, by urósł Oblubieniec, który weselem się weseli dla głosu oblubieńcowego, sam pograżony w milczeniu. Jan Apostoł w swej księdze o Synu Bożym najzupełniej w cień ustąpił. Nawet imienia swego nie używa.

Z Jezusem z Nazaretu, o którym imieniem uczniów wyznał był pierwszy papież: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego” — każe nam Jan przestawać. Z życia dusz naszych każe nam uczynić jakby nieustającą Wieczerną Pańską. Pochyla naszą skroń, na Serce Pana, tętniące w Jego księdze, a sam zstępuje w cień...

Powoduje nim i skromność — zapewne — skromność zupełnie zrozumiała w uczniu wobec Mistrza-Boga. Skłania go może odczuwany w głębi duszy powód, który niegdyś wypłynął z pod pióra Arystotelesa, że bardziej uszczęśliwia nas jedna myśl wyższego rzędu, niż myśli tysiąc o poziomych przedmiotach. Myśl o Bogu-Człowieku jest najwyższą z pośród myśli wysokich,—niechże zatem myśl o uczniu nie zaciemnia, nie plami w duszach wzniosłego obrazu Zbawiciela.

Jan widział Pana w chwale Majestatu. Widział i ten widok pochłonał, zagarnął całą jego duszę, serce, istotę całą jak żar pożogi porywa źdźbło suchej trawy. Jan widział Pana, a widział zgoła odmiennie od innych widzeniem wzniosłym i na tyle sposobów, ilu tylko dostąpić może człowiek żyjący w ciele.

Widział więc najpierw Boga tak, jak widzą Go wszyscy ludzie, którzy na prawdę Bóstwa nie chcą zamykać oczu. Widział Go widzeniem duchowym poprzez obsłony świata — *poznaniem rozumu*. Ale następnie z gronem

apostołów stał się uczestnikiem łaski wyższego, bezpośredniego widzenia Boga, który przyoblekł ciało ludzkie i „postawą znaleziony jest, jako człowiek” w Ziemi świętej. Jak jego współcześni, widział i on Boga *oczyrna ciała*. Widział Boga — rzekłby kto — skryzalizowanego w Chrystusie. Widział Chrystusa żywym, umarłym, zmartwychwstałym i wstępującym do nieba. A wreszcie po tym drugim widzeniu nastąpiło jeszcze doskonalsze — trzecie. Widział Boga-Człowieka w chwale niebios — *oczyrna zachwyconymi*.

Wobec prawdy nieogarnionej Bóstwa, widzianej po tylekroć i z tak bliska, maleje sam w oczach własnych człowiek, który tę prawdę chce podać innym rzetelnie i szczerze. Owładaj nim całkowicie majestat Prawdy i swą wielkością go napełnia.

Po drugim widzeniu Pana, w Jeruzalem, stawiono ich obu z Piotrem przed sądem Sanhedrynu. I zapadł wyrok: „Nie wolno wam odtąd wspominać o tym Imieniu”. Na to apostołowie odrzekli: „Nie możemy nie mówić tego, cośmy widzieli i słyszeli”...

Z ileż wspanialszym, głębszym i potężniejszym akcentem mógł powtórzyć te słowa umiłowany uczeń Chrystusowy w starości! Nie może nie mówić o Panu, albowiem widział Go tak blisko, tak dokładnie, tak jasno. Ręce jego otarły się o Słowo żywota... A widzenie najwznioślejsze było właśnie wczora — na Pat-

mos... Dlatego mówić o Nim będzie. Mówić tym, co nie widzieli, a wierzą, aby mocniej jeszcze uwierzyli i tym, co nie widzieli i nie wierzą, aby mogli uwierzyć w Syna Bożego.

Wspaniała, potrójna gwiazda potrójnego widzenia Boga świeci nad czołem tego, który bierze nas za rękę i wieść pragnie.

Dokąd prowadzić chcesz, Janie? Czy nad fale morza bezkresne, bijące o brzeg lądów zadaną mocą? Czy wspiąć się każesz na potężne szczyty gór, zgarbione niby pod ciężarem niebios, co na nich się wsparły? Czy tam iść rozkażesz, dokąd nie doleci, gdzie połamie swe skrzydła nawet gromowy ptak — wicher huraganów? Czy tam aż wieszysz, gdzie krążą biegi gwiazd? — O nieporównana z niczym, nieskończona to droga!

Nie! Jan prowadzi wyżej! W światy jeszcze wspanialsze!

Czyż więc otworzy złote bramy niezdo-
brego świata serc i dusz, myśli, tęsknot i por-
rywów, walk i triumfów ludzkich? — Wyżej
jeszcze! — Czyżby w świat duchów aniel-
skich? — Jeszcze wyżej! — Orzeł Pański krąży
nad przepaściami Bóstwa... Niczym mu zie-
mia, nazbyt nizinnym niebo. Pierś Jana odet-
chnąć pragnie tchnieniem Serca Najwyższego...
Najmilszego Przyjaciela, Mistrza i Boga swe-
go — JEZUSA! — Skąd wrócił przed chwi-
lą, powracając z Patmos, tam nas prowadzi,
porywa... Widział Pana na stolicy Majestatu,

którego chwały była ziemia pełna. Ku Niemu wprost powiedzieć.

Natężmy źrenice, wysilmy wzrok ducha, otwórzmy serce całe! My rozumowaniem jak-
by wykruszamy ze świata Istotę Bóstwa. Niby drobne pyłki złota ze skał granitu wybieramy myśl za myślą. To też Bóg sam w sobie Nie-
skończony, staje przed nami słabo wypracowy-
wany. Zamknięty w okruchu trzech liter „Bóg”, przelany w sekundę myśli On, którego nie ogarnie wieczność, tak maluczki w poznaniu naszym — słabo się potem zaznacza w życiu. Po chwili dźwięku — znika z naszych warg, po sekundzie myśli — zamiera w duszy naszej i sercu. Nie zagarnia już chwil dalszych, dni i lat życia, choć On winien ogarniać wszystko nasze! On pierwszy i ostatni, Alfa i Omega. Początek i Kres wszechstworzenia.

Takim Go widział Jan i takim Go nam ukaże.

Podążmy za nim ujrzyć Majestat Boga!

TAJEMNICA TRÓJCY.

Żyją działają w łonie Bóstwa potęgi niezrównane. Treść ich wewnętrzna, zasada najgłębsza uchyla się z przed zrozumienia naszego umysłu. Rozum tu musi *wierzyć*.

Cóż zresztą dziwnego, że musi wierzyć Bogu? Tylekroć wierzyć musi w sferze rzeczy widzialnych, ludzkich! Wierzyć musi umysł równy równemu — nikt sam wszystkiego nie zbada — wierzyć musi tymbardziej umysł niższy umysłowi wyższemu. Prostack nie pojmie głębi wywodów mędrca, a jednak przyjmuje prawdę, oparty na jego rzetelnym słowie. Byłby godzien politowania, gdyby mówił: „To nieprawda, bo ja tego nie rozumiem”!

Istnieje zasadnicze stopniowanie umysłowości. Najniższy stopień, to rozum w pieluszkach. Z czasem umysł się rozwija, sięga coraz wyżej, dalej, szerzej, głębiej w dziedzinie prawdy. Lecz nie ogarnia wszystkiego. Dochodzi do pewnych granic i tam zatrzymać się musi. Odtąd kolej na umysł istoty wyższej.

Umysły wszystkich mędrców przewyższa jeden umysł anioła. Nie zależy on w poznawaniu prawdy od kształtów materii. Chwyta bezpośrednio istotę rzeczy. Lecz i anioł, władca prawdy niewidzialnego świata, staje u kresu

poznania. I on zapożyczyć się musi u Apostoła narodów, by zawołać: „O głębokości bogactw i wiedzy Bożej! Jak nieogarnione sądy, jak niedościgłe są drogi Jego”!

Natrafiał na dziedzinę Bóstwa.

Umysły mędrców i aniołów przewyższa swą nieskończonością Najwyższy Rozum, Mądrość Uosobiona—Słowo Boga. Ono zamyka i wieńczy skalę umysłów....

Zadaniem rozumu jest osiąść, ogarnąć prawdę. Prawda, jako taka, jest nieskończoną. Stąd zasiężność umysłu w nieskończoność iść musi, by nieskończoną Prawdę ogarnąć. Zatem w -wiecie, w którym jest Prawda nieskończoną, musi być i Umysł Nieskończony. I On jest u Boga na łonie wieczności i na świecie był... Przyszedł do swoich i świadczył o Bogu, jak wiedział i widział: „Ja w Ojcu, a Ojciec jest we mnie”...

Oznajmił światu najgłębszą tajemnicę. Tajemnicę Trójcy św.

Tylko wiarą przyjąć ją można. Rozum sędzki ani anielski nie zgłębi jej nigdy. Może ją sobie jedynie uprzystępnić. Jak? — Najlepiej rozpatrując jej obraz, jej wizerunek żywy, jej fotografię niejako, ręką Stwórcy w świecie uczynioną.

Gdzież ów obraz Trójcy Boga znajduje się na ziemi? W którym wieku się ukazał? W czyje ręce go złożono?

Było to wówczas, gdy Stwórca rzekł: „Uczyń-

my człowieka na obraz i podobieństwo nasze!... Duszę każdą uczynił Bóg na podobieństwo własne. Złożył w niej obraz Trójcy, jej fotografię wierną, dokładną, żywą.

I dusza moja nosi ten obraz w sobie. Jedna jest i niepodzielna, a przecież jakby troista. Oto, gdy świadomość moja i pamięć ogarnia mnie i wszystko moje, wówczas nie mówię: „Lewą stroną swej duszy wiem to, pamiętam owo” — lecz mówię: „Ja to wiem, ja (cały) to pamiętam”...

A gdy jakąś rzecz, jaką prawdę już uświadomioną sobie i już pamiętaną usiłuję zgłębić rozumem, wówczas nie mówię: „Prawą stroną duszy zrozumiałem” — lecz mówię: „Ja to rozumiem — ja cały”!

A gdy przedmiot uświadomiony i zrozumiany umiłuję, wtedy mówię podobnie: „Ja kocham... duszą całą”!

Tak więc jedna i ta sama, *cała dusza*, wie, rozumie, kocha. Za każdym razem jest inna. Inna jest, gdy wie, pamięta — inna, gdy rozumuje i zgłębia — inna, gdy swój przedmiot ogarnia miłością płomienną. A jednak w każdym z tych wypadków jest przecież tą samą. Jedna i troista. Jedna w swej istocie, troista w przejawach tej istoty. Nosi w sobie doskonały i dokładny obraz Trójcy.

Dokładny tak dalece, że nawet odzwierciedla pochodzenie osób Trójcy.

Wiara nas uczy, że Syn, Mądrość i Rozum,

pochodzi od Ojca, rodząc się z Niego. A u nas jak się dzieje? Czy można coś zrozumieć, nie będąc tego świadomym? I u nas rozum rodzi się dopiero ze świadomości, pamięci. A jak w naszej duszy, tak i na łonie Trójcy rodzenie to jest duchowe.

Wiara dalej uczy, że Duch św. — Miłość — pochodzi od Ojca i Syna. A w naszej duszy skąd wypływa miłość? Czy można kochać głęboko, nie uświadomiwszy sobie przedmiotu ukochania, nie zrozumiałwszy go przynajmniej trochę? Nie można. Świadomość i rozum, razem wzięte, powodują miłość w duszy naszej. Tak też i w Bogu. Ta tylko wielka zachodzi różnica pomiędzy duszą i Bogiem, że w niej władze pozostają władzami, podczas, gdy w Bogu, porwane w jakiś wir Nieskończoności, i Rozum i Miłość i Samo ich źródła Boże, tak urastają, do takiego dochodzą rozkwitu, że stają się osobami. Uzyskują samodzielność i wyodrębnienie własne na łonie jednego Bóstwa. Jedną pozostaje Natura, troistą jawi się w Osobach.

Nie nie wskórają mędracy tego świata! Choćby im dano czaszkę tak szeroką, jak obwód globu, nie rozumieją. Ale też choćby wszystkimi językami przeczyli Prawdzie, słysząc o Bogu, Bogu prawdziwym z Boga Prawdziwego, Doskonałym z Doskonałego... zaprzeczy im dusza ich własna. Powie: „Zamilknijcie!

Jam jest podobieństwem Jego. Obraz Jego żywy i wierny noszę na swym łonie”...

Nie tylko w światłości nieprzystępnej i w chwale wieczności mieszka Pan... Przebywa i na świecie...

W każdej duszy, na obraz Swój uczynionej...

Żyją, działają w łonie Bóstwa potęgi niewysłowione!

PAN Z WAMI.

W życiu jednego z wielkich świętych nowszych czasów spotykamy nader miły obrazek...

Młot na heretyków, przyszedł Doktor Kościoła, św. Piotr Kanizjusz kończył nowe swoje dzieło. W tym właśnie roku Pańskim—1577—miało się ukazać wspaniałe folio jego pióra „o Pannie nad pannami, Przenajśw. Bogarodzicy”.

Pewnego tedy dnia, pogrążony w zadumie, siedział w pokoju i czekał na brata-pisarza, któremu swe pisma dyktował. Aby się lepiej skupić i nie rozpraszać myśli, zamknął oczy, twarz ukrył w dłoniach i tak, usunąwszy od siebie ziemię, duchem szybował w anielskich sferach zaświata.

Wtem do jego celi wchodzi niezapowiedziany gość — Wilhelm, książę Bawarii. Widząc, że święty nawet się nie poruszył, żeby zobaczyć, kto przybył do niego, siada cicho, nie chcąc przeszkadzać, i czeka w milczeniu.

Piotr Kanizjusz, ułyszawszy kroki, był przekonany, że to właśnie przyszedł brat-pisarz, po załatwieniu wcześniej niż zwykle spraw w mieście.

— Dobrze, carissime, żeś się pośpieszył — odezwał się do niego, nie odejmując rąk od

twarży. — Mamy ważny rozdział. Siadaj teraz i pisz.

Książę, nie dając się poznać, wstał z uśmiechem i bez słowa sprzeciwu zajął miejsce brata. Po chwili i w ciszy pokoju rozlegał się tylko głos świętego przerywany rytmem dyktanda, skrzypiało pióro gęsie po szorstkim, ówczesnym papierze i słychać było szmer piasku przesypywanego w klepsydrze.

Tak upłynęła może godzina. Święty dyktował, książę pisał.

Nareszcie drzwi celi otwały się powtórnie i tym razem wszedł oczekiwany brat sekretarz. Wszedł i staje zdumiony na widok księcia Bawarii, piszącego pod dyktando... W pierwszej chwili nie wie, co o tym wszystkim sądzić. W życiu O. Kanizjusza, widział różne dziwy, ale to, co dziś...

— Proszę Ojca — rzecze wreszcie nieśmiało. — Proszę popatrzeć, kto książkę pisze!...

Wówczas dopiero święty odjął ręce od twarzy i spojrział.

— Książę! — wyszeptał zawstydzony, zrywając się z krzesła. — Jakżeż można!... Bardzo pokornie WXmość przepraszam...

— Ależ, Ojczy! Nic nie szkodzi — odparł wesół książę. — Była to dla mnie prawdziwa przyjemność. Gotówem zawsze być skryptom tak świętych dzieł...

Miły ten obrazek daje się przenieść i na

inne tło. Na kanwę w codzienne ramy życia naszego.

My wszyscy idziemy przez życie jakby z zamkniętymi oczyma. My wszyscy dyktujemy dzień za dniem, rozdział za rozdziałem, księgę życia naszego i wszyscy mamy na swe usługi Wielkiego Pisarza. Nie jest nim wprawdzie książę tego czy innego państwa, ale jest nim — Bóg Sam!

My dyktujemy, Bóg pisze!

Nie widzimy Go wprawdzie, lecz On zawsze jest przy nas. Wiara Go nam ukazuje: „Pan z wami”, co dzień, po tylekroć, od tyłu ołtarzy. Wiara staje obok nas, jak ów brat zakonnik obok św. Piotra Kanizjusza i każe nam oczy otworzyć. I w świetle wiary możemy śmiało powiedzieć, że Boga naprawdę widzimy, niemal na własne oczy. Prawda, że oczy moje fizyczne nie widziały Boga, ale widziały Boga oczy Jezusa Chrystusa. A Jego oczy, tak jak i oczy moje z ziemi są uczynione, należą do tej samej rodziny ludzkiej. Skoro więc On brat mój według ciała, widział Boga naprawdę wczora, to Jego poniekąd oczyma i ja — dziś — widzę Boga.

„Bóg jest tuż”... śpiewa znana pieśń wieczorna harcerstwa. „Niedaleko jest od każdego z nas, w Nim bowiem żyjemy, ruszamy się i jesteśmy” — naucza św. Paweł. Nasze istnienie, nasze działanie, zależy całkowicie od współdziałania Bożego z nami.

Bóg jest naszym pisarzem. Czujnie zważa na każdą myśl, jaka zabłyśnie w świadomości naszej, pilnie słucha każdego słowa, jakie wypowiedziemy, z troską najserdeczniejszą, ojcowską, śledzi wszystkie nasze codzienne sprawy i spoczynek w ciszy nocnej. Każde westchnienie nasze modlitewne: „Boże mój”, każdy ból, każda radość i zachwyty duszy znajdują wierne oddźwięki pod Jego piórem...

My dyktujemy, Bóg pisze!

Głoska za głoską, karta za kartą z biegiem lat przybywa w tej księdze życia naszego, którą pisze na wysokościach Pan wszechstworzenia. Wszystko tam wyczytać będzie można. Nasze cnoty i grzechy, nasze upadki i wzloty, nasze nadzieje, zamiary, tęsknoty, pragnienia... Wypełnią sycząc węże pożądań, niezgodnych z wolą Stwórcy, i zaszumią skrzydła anielskich uniesień. I ziemia i niebo przemówi pod piórem Wszechmogącego, bo zwykle ziemię i niebo wplątamy w dyktando swoje. Największy grzesznik, najzatwardziały złoczyńca i zbrodniarz ma zakłętą gdzieś na dnie duszy niebieskie struny, które drżą, gdy pęka skała Golgoty: „Panie wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do królestwa swego!”

Zapiski bibliograficzne rokrocznie notują w każdym kraju kilka tysięcy książek nowych, napisanych przez ludzi — dla ludzi. W ostatnich zwłaszcza stuleciach wysilają się autorzy. Każdy radby napisać książkę swoją tak, aby

przynajmniej zainteresowała czytelników, ale niektórzy dążą do tego, aby wprost porwać ich i zachwycić. Ci niejako studiują serca i umysły czytających rzesz, analizując każdą strunę ich jestestwa, aby móc uderzyć w najczulszą, która da znakomity oddźwięk na słowo pisarza.

Księgę życia naszego dyktujemy Bogu i ona będzie Jemu oddana na wieki. Pomyślmy — czy to, co Mu dyktujemy co dzień, zainteresuje żywo Serce Jego, czy może Go porwać i zachwycić? — Moglibyśmy to poniekąd uczynić, gdybyśmy zechcieli pilnie studiować upodobania Serca Bożego, gdybyśmy pamiętali powtarzane wciąż słowa Kościoła:

— Pan z wami!

Z CHWIL WAKACYJNYCH

LISTY.

Miliony listów oddaje co dzień do rąk adresatów poczta polska. Są to przeważnie listy z interesami do załatwienia. Finanse, rachunki, zdawkowe frazesy powinszowań i życzeń. Listy bez duszy...

Ale w okresie wakacyjnym, kiedy duża część inteligencji wyjeżdża na wypoczynek i tam poza kieratem zajęć odnajduje siebie, zdarzają się i zdarzać się powinny listy, co posiadają duszę. Cóż bowiem częstszego przed odjazdem, jak słowa pożegnania, niemal sakramentalne:

— Pisz, nie zapomnij!

— Pamiętaj, pisz często!

Jakoż młodzi i starzy pisują do siebie listy. Więcej młodzi, niż starzy. Należy się zatroskać o duszę tych stroniczek listowych, zapisywanych tak pracowicie, tak czule.

List każdy wtedy ma duszę, kiedy przynosi radość.

Wiemy doskonale że ogromną część korespondencji naszej stanowią przyjęte zwyczajem powinszowania lub życzenia. Taka moda. Siada więc każdy do biurka i pisze. Czasem kilka słów, a jednak i tych słów kilka, gdy napisane z myślą, aby adresatowi sprawić

przyjemność, wywołać uczucie radości i szczęścia, szczęście to istotnie mu przynosi. I w niewielu literach taki list ma duszę.

Rzecz dziwna, jacy jesteśmy nielogiczni, nie z jednego odlewu... Gdy wyjeżdżamy na letnisko, to żądamy koniecznie, żeby nam było wesoło... I las ma być uroczyście słoneczny, radosny i miły, i pola, łąki, ogrody mają nas napawać wdziękiem, wonią i słodyczą. Mają nas cieszyć gwiazdy, kwiaty, strumyki i źródła. Słowem od całej natury spodziewamy się stanowczo, że będzie dla nas tą codzienną, cudowną pocztą, która na każdym listku, na każdym płatku kwiatowym i na każdym promieniu słonecznym wypisze nam czarodziejskie słowa: — radość i szczęście...

Takim ma być letnisko, taką przyroda. A my sami?!

Ileż to listów powędrowało w świat, niosąc zamiast pogodnej radości, która jak słońce ożywia, zatrute pierwiastki smutku, zgryzot, szaleństwa, rozpacz i zguby!... Należałoby postanowić i ścigać karami tych morderców, co złe listy piszą...

Istnieje w psychologii potocznej prawo, że z próżnego nawet Salomon nie należy. Kto w duszy swej w chwili zasiadania do biurka, by list napisać, nie ma pogody, nie ma słońca wewnętrznego, ten adresatowi nie udzieli pogody i słońca. Dlatego też człowiek jako tako kulturalny nie powinien nigdy zasiadać do

pisania listu, jeżeli czuje, że duszą jego miotają burze nawałnic, wichry namiętności, zapamiętały a głupi nowoczesny szal nerwów...

Niezmiernie wiele szczęścia można odebrać ludziom przez złe listy, a ogromnie wiele go przysporzyć listami, które niosą pogodę i radość. Gdy tylko pomyśleć, ile to klęsk i nieszczęść spowodowały właśnie listy złe, pisane pod wpływem rozdrażnienia, namiętności, trującej goryczy ducha, nienawiści, zazdrości, podstępnej podłości i bezczelnej pychy, co miażdży słabszego, to naprawdę chciałoby się życzyć wiekowi 20-mu po Chrystusie stosunków pocztowych z wieku 20-go przed Chrystusem... Byle tylko takie listy do „jej” czy „jego” rąk nie doszły.

Zapewne, zdarzy się raz po raz przy najlepszej dobrej woli piszącego, że adresat go nie zrozumie przy odczytywaniu listu. Niejasno wyrażona w pośpiechu myśl inaczej mu się przedstawi, gdy ze znudzoną miną czytać będzie i rozbierać pilnie każdą literkę w wygodnym szezlongu. Niewinny dowcip, zwykły żart, wpleciony w treść listu, jako miłe urozmaicenie, spowoduje obrazę majestatu i zerwanie może stosunków. Ale ta możliwość dla każdego myślącego człowieka jest tylko jednym więcej upomnieniem, by zapalać na firmamencie słońce bez chmur, a w listy wkładać myśli bez niedomówień. Słowem, zasiadać do pi-

sania listów nie tylko z sercem uspokojonym pogodnym, ale i z głową, zbrojną w równowagę umysłu, jasność i przejrzystość sądu o rzeczach. Bo w zwykłej rozmowie możemy do wadliwie wypowiedzianego zdania dodać w tejże chwili komentarz i myśl swoją trafniej wyłuszczyć, — w listach możliwość taka nie istnieje. Chyba za cenę nowego znaczka pocztowego i... nowego listu, który może przyjść za późno!

Niech jakieś lekkie, przyjacielskie upomnienie, czy mądra skądinąd wskazówka trafi na chwilę depresji duchowej u adresata, na ból głowy, zęba, czy tak modny w naszych czasach rozstrój nerwowy, na zwykły zresztą zły humor — a sprawa bezapelacyjnie przegrana. Obrazi się śmiertelnie, zrywa stosunki dyplomatyczne i dopiero posyła ambasadatorów celem ich ponownego nawiązania! Dusza pogodna, jasna i promienna, będzie umiała to wyczuć w chwili pisania listu i oszczędzi sobie i przyjacielowi gorzkich chwil nieporozumienia. Napisze zamiast złego — list dobry.

Niezwykły czar i piękno wieje ku nam z dobrych, pięknych listów. Wiemy przecież, że wiele z nich weszło do literatury. Listy pełne słońca, pełne woni nasycone prawdą, szlachetnymi porywami ducha, wzruszają czytelnika po upływie stuleci. W każdy list, gdy go piszemy, jeśli tylko pamiętamy o tym, możemy włożyć jakiś okruszek mądry, dobry, mi-

ły, szlachetny ułamek duszy naszej. Nie da się przecież zaprzeczyć, że przy najczęstszej korespondencji z ludźmi, pisanie listu do nich — jest swego rodzaju świętem między piszącym a tym, do kogo się pisze. Rozmowa — to codzienność. Słowo — obiegowa moneta z niklu. Niewiele dbamy o to, gdy jest bardziej wytarte, szare, bez wyrazu. Ale już list — to uroczystość, to świąteczna, poważna rozmowa dwojga dusz i serc. Jak na święto zatem duszę należy przystroić, przyozdobić uwieńczyć czarem, na wzór otaczającej nas letniej przyrody...

Wiele słońca jasnych myśli, wiele ciepła dobrych, miłych, szlachetnych uczuć, wiele woni upojonej młodocianych, wzniosłych, czarownych rojeń i zachwyków, wiele, bardzo wiele miłości Boga i bliźniego nauczymy się wkładać w listy nasze...

Aby zawsze miały duszę piękną, jak dusza nasza.

SKARB NIEDOCENIANY.

Przebywałem czas dłuższy w zacisznym ustroniu wiejskim. Tam w odcieciu od świata, pośród lasów i gór, zapoznałem się na dobre z niedocenianym dziś coraz więcej, a naprawdę bezcennym skarbem — mądrą książką.

Nie była to jedna książka, owszem, było ich znacznie więcej i to z różnych dziedzin... Ale każda z nich była mi pożądanym doradcą, nauczycielem, i niezastąpionym towarzyszem samotności. Wiele z nich było mi wprost natchnieniem. Słowem, skarb w nich znalazłem, droższy od pereł, klejnotów i złota — skarb myśli, skarb mądrości...

Skarb to, zaiste, niedoceniany coraz więcej. Mądre książki dziś mało kto pisze, jeszcze mniej znajdują one czytelników. Dzieje się to na mocy psychologicznego prawa, że np. w wielkim lesie przestają nas interesować poszczególne, zwłaszcza mało charakterystyczne, drzewa, a na rozległych łąkach i łanach — pojedyncze polne kwiaty, czy kłosa zboża. Zbyt wiele ich jest, żeby oko zajęło się każdym, przeto znużone nie zajmuje się żadnym. Wszystkie dlań maleją, powszednieją, znikają w tłumie i nie zwracają już uwagi.

Tak samo jest i z książką. Dziś całe lasy

tomów wyrastają na półkach księgarskich. Jak kwiaty dziwnej, papierowej łąki, jedne jaskrawsze od drugich, narzucają się oczom przechodnia... Szelestem swych kart wabią go, jak kłosa, obiecujące bujny plon dla jego serca i duszy...

Ale przechodzień spogląda zwykle przez chwilę i obok nich przechodzi. Mija obojętnie setki księgarń, okien wystawowych, natłoczonych krzykliwymi tytułami. Napotkał las papierowy i obojętnie go mija...

Pogłębia się to zjawisko jeszcze bardziej w odniesieniu do dzieł poważnych i mądrych. Każdy wie dobrze, że przy czytaniu takich książek umysł musi pracować intensywnie. Książka mądra — to nie powieść! To coś takiego, jak szkoła. — Rozwidnia horyzonty ducha, ale duchowi samemu każe zapalać sobie światła rozumu. Rozszerza pole wiedzy i wiadomości człowieka wzbogaca, ale mu każe samemu jąć za rydel i łopatę, by w pocie czoła wydobywać złoto z wykopalisk mądrości.

Książka mądra — to szkoła bardzo wymagająca. A któż tęskni za szkołą?! Tęsknią tylko wyjątki. Ogół ludzi skądinąd nawet inteligentnych, uważa szkołę za krepujący dodatek do życia. I gdyby bez szkoły można było zdobyć stanowisko w świecie, naprawdę, szkoły stanęłyby pustkami... Cieszy się każdy, kto może zrzucić z siebie jarzmo szkolne... Podobnie i z mądrą książką obchodzą się lu-

dzie... Warstwy mniej inteligentne nie dorosły do zrozumienia jej treści, zatem nie interesują się nią wcale. A wykształcony skądinąd ogół nie czyta książek tego rodzaju, wyraźnie nawet ich unika. Bo i po co miałby czytać, uczyć się w dalszym ciągu?! Jest już przecież na stanowisku! Szkołę dawno przeszedł i uzyskał dyplomy...

I tak się często zdarza, że nawet duchowni przewodnicy społeczeństwa zarzucają mądrą książkę... Nie chcą wracać do szkoły...

A gdy nie ma czytelników mądrych książek, tym trudniej znaleźć autorów, którzyby je pisali. Dla kogóż bowiem będą pisać? Chłubił się Jan z Czarnolasu, że „sobie śpiewa a muzom”... Lecz uczonego nie ma i tej pociechy. Wie, że najczęściej „sobie pisze, a molom”, które wertować będą jego dzieła...

Jednego jeszcze wroga mają książki mądre, wroga, który coraz gwałtowniej ich zbyt podcina. Są nim książki lekkie, współczesna literatura powieściowa.

Ludzie, którzy ją stworzyli i tworzą, wyszli z tego samego założenia, co wyżej... Że do czytania dzieł poważnych niewiele posiada przygotowanie, jeszcze mniej zdradza ochotę. Te książki męczą, nużą umysł. Prowadzą go wprawdzie w świat nieznany, niezbadany, ale drogami bardzo zawiłymi, które wymagają wysiłku i mozół. Każdy lubi podróż w światy ciekawe, ale podróż miłą i łatwą, nie trudną...

I oto właśnie na półkach księgarskich, półkach widocznych i przyozdobionych, przymila się oczom czytelnika — powieść. Książka łatwa i zrozumiała dla każdego. Świat, o którym ona opowiada, w który wprowadza myśl i serce człowieka, to czarodziejska podróż w świat nieznany, ale jakże znanymi drogami! Przecież powieść niczym innym nie jest, jak odzwierciedleniem życia powszedniego. Przewijają się w niej ludzie i wypadki, tak do codziennych naszych przeżyć podobne, jak dwie krople wody. Grają w nich akordy od jakich co dzień drży serce ludzkie... Drży, szamocze się, weseli i śpiewa... Te same słowa, co zazwyczaj przemawiają z nieczułych kart książki do naszych oczu, do naszej duszy... Mała tylko, ale jakże rozkoszna różnica pomiędzy nimi zachodzi. Nasze codzienne przeżycia, myśli i słowa snują się i przewijają blado, niewyraźnie, chaotycznie, podczas gdy myśli, słowa i czyny w książce powieściowej idą zseregowane zwartą falangą i podbijają serce czytelnika. Prowadzą go w kraj nieznany fantazji, wiodą drogami i ścieżynami piękna, złudy, czarów i cudów wyobraźni.

I chociaż często w powieściach współczesnych nic więcej nie masz, oprócz codziennej paplaniny ludzkiej i najzwyczajniejszych wydarzeń dnia, jednak sięgają po nią ręce ludzkie, gdy się od czasu do czasu wyciągną po książkę. Kupując powieść, natrafia swój na swoje... Od-

najduje w książce powieściowej poziom swej duszy, codzienne, płytkie zainteresowania swej głębokiej umysłowości, porywy serca, podobne do swoich, tylko powiązane z większą dozą sprytu, fantazji i pięknego słowa.

A odnalazłszy siebie w upiększonej szacie stylu człowiek dzisiejszy—zapatrzony w siebie, zakochany w sobie, nie może wytrzymać, żeby nie kupić siebie...

I pomijając skarby—dzieła mądre—kupuje prawie zawsze powieść współczesną...

SPOTKANIE.

Na drodze swego życia spotykamy wielu ludzi. Na jednych ledwo przelotnie zatrzymujemy swój wzrok, zamieniamy słów kilka, obojętnych i zdawkowych, jak: „Dziękuję” — „Dzień dobry” — „Do widzenia”! Po czym ci ludzie spotkani giną w szarym, gęstym tłumie. Ale są spotkania trwalsze...

Niektórych ludzi spotykamy dzień w dzień i po kilka razy dziennie. A jak oni różnorodni! Są dobrzy i źli, są doskonale wyrobieni i zupełnie nieokrzesani, są pełni taktu i subtelnego wyczucia i są ludzie bez taktu, gburowaci, istne kloce ludzkie. Trafiają się na drodze naszej ludzie, których znamieniem niesprawiedliwość i fałsz, oraz dusze i serca, „w których nie masz zdrady”. Jak Natanael. Spotykamy ludzi, których towarzystwa radzibyśmy się pozbyć choćby zaraz i na zawsze, a stykać się musimy stale z obowiązku, tudzież ludzi, którzy przelatują, jak meteor i takim olśniewają nas światłem, że z najmilszą chęcią zatrzymalibyśmy wskazówki zegara, byle dłużej móc pozostać w ich towarzystwie.

Nie można dziś kroku uczynić, by nie spotkać ludzi. Czasy pustelni i pustelników, przynajmniej w Europie, bezpowrotnie minęły.

Wszędzie dokoła nas snują się bez przerwy ludzie, ludzie, ludzie... Najczęściej są to szare masy, niemal bez osobistego wyrazu, bez jasno wykształconego charakteru. Nie pozostawiają po sobie w naszej psychice śladu. Ani nam są pomocą w doskonaleniu duszy, ani specjalną przeszkodą w dążeniu w wyż. Liche wierzby przydrożne, które nie dają przechodniom owocu ni cienia.

Jakkolwiek bądź oddziaływują na nas ludzie samą swą liczbą, przytłaczają swą masą. Niech jaką ulicą Warszawy np. pójdzie w jednym kierunku kilka tysięcy ludzi razem, to już w kierunku przeciwnym nikt nie przejdzie. I choćby ten marsz masowy nie miał w sobie nic ideowego, był po prostu gapiostwem masowym, a ów ktoś jeden dążył na zbawienie Europy i świata, — nie mu to nie pomoże. Jeden ustąpić musi w obliczu mas.

Coś podobnego dzieje się z nami stale także w zakresie ducha. Ulegamy sugestii mas i liczby. Masy mają i mieć muszą swoją łatwą moralność, bo na heroizm ich nie stać, mają swoje płytkie i powierzchowne poglądy na najbardziej zasadnicze sprawy, bo do głębokich studiów nie dorosły i czasu na to nie mają. I oto pod wpływem mas ulegają tej łatwiznie i powierzchowności życiowej całe szeregi ludzi, od których można więcej żądać. Płytki nastrój mas przekreśla w ich sercu i duszy górne wofanie: „Do wyższych rzeczy jam zrodzony”!

Musimy o tym wiedzieć i co dzień zdawać sobie z tego sprawę w tysiącnych, drobnych zdarzeniach życia, że walka z masami jest obowiązkiem naszym. Ich wpływu nie unikniemy, musimy go zwalczyć osobistą tężyzną serca i ducha. Walka, rzecz jasna, nie należy do rzeczy przyjemnych. Uprzykrza się, wyczerpuje, nuży. Opieranie się wpływowi mas bywa często podobne do podróży przez piaski Sahary. Nieskończona ilość drobnych ziarenek zasypuje stopy przechodnia, czyniąc mu podróż uciążliwą, albo wręcz niemożliwą. Tak samo i ziarna tej masy ludzkiej utrudniają nam drogę wiekuistych przeznaczeń. Ale za to, kto im się oprze, kto je przewycięży, ten wywalczy sobie silny i piękny charakter, naprawdę stanie się *człowiekiem*.

Przyjdzie mu to nie łatwo. Masy wywierają na nas wpływ uwodzicielski. Przecież to tak wygodnie nie potrzebować myśleć, zdobywać się na wysiłek osobisty, móc sobie powiedzieć: „Po co mam się wyróżniać od innych? Zawsze to niebezpiecznie chodzić własnymi drogami, zwłaszcza dziś, w takim tłumie! Z ludźmi bezpieczniej!”

Niekiedy jednak z tłumy spojrzą na nas oczy zupełnie różne od tych co dzień spotykanych. Na drodze naszego życia stanie silny charakter ludzki. Z każdego gestu, słowa, wejrzenia bije na nas jakiś władczy ton, nie uznający sprzeciwu. „Masz mi się poddać

i iść za mną! „I porywa za sobą. W epokach nielicznych porywałby setki i tysiące, w czasach obecnych porywa za sobą dziesiątki milionów.

Nie zawsze wielkość wpływu i jego szeroki zasięg idzie w parze z prawdziwą wielkością ducha, posągowością i nieposzlakowaniem życia, wszechludzką głębią rozumu. Płytkie masy łatwo dziś porwie płytka wielkość, byle nadęta. I bałwan za dni Nabuchodonozora miał wielbicieli z całego Babilonu, chociaż nie przestał być bałwanem, uznanym na rozkaz królewski za Boga...

Historia czasem się powtarza. I wówczas biada jednostkom, a jeszcze większe biada masom ludzkim, jeżeli na drodze swego życia spotkają *taką* wielkość, a nie umieją jej się oprzeć, pokonać w sobie złych jej wpływów. Czasem odbiegną Boga prawdziwego, byle bić pokłony bałwanowi ze złota...

Ale też bywa niekiedy wyjątkowe spotkanie, którego godziny zapomnieć nie podobna, którego czaru ujść trudno i dusza i serce nie chce się spod niego wyzwać. Spotkały na swej drodze człowieka, pełnego szlachetnej wielkości, któremu z oczu zda się promienieć napis: „Święty”... Nigdy z jego ust nie padnie dla nas pytanie: „I cóż ty mi dasz, ile od ciebie zarobię?” — najwyżej zagadnie nas z pokorą serdeczną: „Co jeszcze więcej mógłbym dla ciebie uczynić?”

Tacy naprawdę wielcy zjawiają się na świecie, jako piastunowie swych bliźnich. Nie wyzysk ich zadaniem, lecz pomoc, lecz dobroć. Większe, niż inni, biorą na swe barki brzemiona, groźniejsze walki toczą, bo walczą za siebie i za współbraci, lecz nie upadają na duchu. Prawica ich dźwiga Wszechmocnego, gdyż w Jego Imieniu na ten świat przychodzą.

Z nimi spotkanie, to najcudowniejsza muzyka i szczęście życia.

O takim spotkaniu pisze w swej księdze św. Jan ewangelista, że pewnego popołudnia obaj z Andrzejem ujrzeni nad brzegami Jordanu człowieka. Jan Chrzciciel wskazując nań powiedział: „Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata!” Nie śmieli się doń zbliżyć, lecz On pierwszy zagadnął ich: „Kogo szukacie?” — Na pytanie, gdzie mieszka, zaprosił ich do siebie i cały dzień już do końca spędzili z Nim razem. Po latach wielu pamiętał ewangelista jeszcze godzinę, o której nastąpiło spotkanie...

„A była godzina jakoby szósta”...

Pośród wyższych wojskowych, otaczających Napoleona Pierwszego, znajdował się generał Lannes. Był to człowiek o niezaprzeczonem, wielkim talencie wojskowym, ale poza tym odznaczał się nadzwyczaj gorącym temperamentem. Szalone wybuchy jego gniewu przerażały po prostu wszystkich podwładnych mu oficerów i żołnierzy. Lękano się go, jak ognia.

Pewnego razu sam Napoleon był świadkiem takiej gwałtownej sceny, kiedy Lannes, strofując oficera za jakieś przewinienie, zdało się, rozszarpie go na kawałki żywcem. Ochłonął wreszcie, wspiął konia ostrogami i odjechał precz galopem, wymierzywszy winnemu sprawiedliwość. Odjeżdżając usłyszał, jak Napoleon mówił do swego orszaku:

— Ten Lannes ma dane na wielkiego wodza, tylko mu jednej rzeczy brak... Gdyby się umiał lepiej opanować!...

Słowa te doleciały go przypadkiem, ale już odtąd nie dały mu spokoju. Tkwiły, jak cień w jego pamięci, stając się potężną pobudką do czynu, do walki zaciętej z wybuchami swego temperamentu.

Długo ponosił porażki. Nieopanowanie sie-

bie weszło mu już w nałóg i za najłżejszym powodem do gniewu wybuchał pasją szaloną. Wychodził zwycięzcą ze wszystkich bitew z wrogiem, a nie mógł zwyciężyć samego siebie. Gniew przytłumiany podnosił znów syczącą głowę żmii i zdawał się uragać: „A widzisz, oto znów jestem! Nic ze mną nie poradzisz! Lepiej daj spokój walce i poddaj się!”...

Ale mały kapral umiał w swoich ludziach zapalać iskrę uporu w raz podjętym przedsięwzięciu. Lannes nie dał za wygraną. Walczył z sobą zapamiętale. Widziano nieraz, jak się zmagał, jak czerwieniał i bladł na przemian, jak pot rześisty okrywał mu czoło i policzki, jak wargi od wewnętrznego podniecenia mu drżały, jak zębami zgrzytał... Ale słowa nie wyrzekł...

Pewnego dnia przejeżdżał przez obóz. Nagle jakiś żołnierz wystrzelił ot tak sobie, dla swawoli, na wiwat. Kula świsnęła tuż koło generała i przestrzeliła cugle konia, wyrwijąc z rąk jeźdźca rzemienie. Lannes był wściekły. Nakazał winnego przyprowadzić do siebie natychmiast...

Wszyscy byli przygotowani na najgorsze, sam winowajca szedł blady i przerażony, jak na stracenie. Był pewny wyroku śmierci.

Tymczasem na obliczu generała widać było walkę wewnętrzną, to rumieniał się, to bladł, żyły nabrzmiały mu na czole, całym ciałem wstrząsał dreszcz, jak wicher silny starym dę-

bem... Ale tylko patrzył na żołnierza i milczał. W pamięci słyszał szept słów Napoleona: „Ten Lannes mógłby być wielkim wodzem, gdyby się umiał lepiej opanować”...

I opanował się. Po dłuższej chwili milczenia rzekł do żołnierza spokojnym głosem:

— Czy wiesz, że wydałem zakaz strzelania w obozie? Dlaczego nie usłuchałeś i mimo zakazu strzelites? Zamiast cugli moich, mogłeś mnie samego trafić. Jakbyś wówczas odpokutował swą lekkomyślność?... Niech mi się to więcej nigdy nie powtórzy... Odmaszerować!

Stało się więc... Kilka słów Napoleona sprawiły, że Lannes nauczył się panowania nad sobą...

Osiemnaście wieków przed Napoleonem z innych, nieskończenie świętszych, ust innego Wodzina padły podobne słowa zachęty dla uczniów: „Błogosławieni cisi, albowiem oni posiadają, opanują ziemię”. A kiedyindziej mówił Zbawiciel: „Nauczcie się ode mnie, jestem cichy”...

Tysiące i tysiące dusz uważnych na słowa swego Pana, by Mu się przypodobać, wydało walkę zażartą porywom swego temperamentu. Stali się cichymi, opanowanymi ludźmi wstąpili na wysokość ołtarzy i z tego piedestału opanowali świat... Posiedli ziemię, jak im przyrzekł Wódz ich Jezus Chrystus.

Nie przychodziło im to łatwo. Bywali święci o tak ognistym, porywczym temperamencie

że latami całymi natura wymykała się spod pręgierza ich woli, zdając się drwić z ich wysiłków daremnych. Ale jak kropla wody wydrąży kamień, gdy stale nań upada, tak i usilne, ciągłe ich starania Bóg uwieńczył skutkiem pomyślnym. Zwyciężyli siebie. Stali się ludźmi cichego serca, opanowanego charakteru... Stali się wodzami wielkimi, świętymi dla dusz przyziemnych, skłóconych w sobie, nieoponowanych... I szara rzesza śmiertelnych dziś bierze z nich wzór...

Nieraz w cichych godzinach wieczornych, kiedy zorza ozlaca niebo, las i wody, myślę sobie, że takiej złocistej ciszy dusz potrzeba współczesnemu społeczeństwu. Katolicy po świątyniach tak często powtarzają znany werseł modlitwy: „Jezu cichy i pokornego serca, uczyn serca nasze według serca twego!” Ale szept modlitewny pozostaje szeptem i poza progi świątyni nie wychodzi. Nie idzie z wiernymi do warsztatów, do ich domów, na ulice i drogi. Ludzi gwałtownych pełen świat, i katolików gwałtownego, nieoponowanego serca pełne wioski i miasta...

Kilka słów Napoleona, wziętych do serca przez generała Lannes, sprawiły w nim zupełną przemianę charakteru... Dlaczegoż tym większej, nawet aż świętej, zupełnej przemiany nie miałyby dokonać słowa Zbawiciela? By katolicy jęli się pracy usilnej nad zdobyciem

ciem tej wielkiej cnoty? By dokonali największego zwycięstwa, zwyciężając siebie?...

Stać się to może pod jednym warunkiem...
Słowa Chrystusa o cichym, opanowanym sercu, muszą głęboko wziąć do serca...

Jak Lannes słowa Napoleona.

KROPLA MIODU.

Rzeczy gorzkich nie brak na świecie—mamy jednak i miody! Gdy wzorzysty płaszcz kwiatów okryje ziemię, w każdym, nawet najmniejszym jego kielichu spoczywa bodaj drobniuchna kropla miodu.

Tak jest w królestwie roślin, tak bywa i między ludźmi.

Zwykle goryczą napawa człowieka codzienność, ta bezbarwna i bezwonna łodyga. Dopiero rozkwit ducha, kwiat serca, podaje mu miody.

Warto wiedzieć o tym — dla siebie i bliźnich. Ile razy z duszy naszej sączy się żółć i gorycz, ilekroć otoczeniu, które z nami się styka, cierpną zęby, znak to, że nie zakwita dusza nasza. Ledwo zdobyła się na niedorozwinięty produkt... gorzkiego liścia... A przeciwnie, im więcej słodyczy z siebie wydziela, tym więcej obsypana bukietami, girlandami kwieciami...

Takim kielichem kwiatu, w który rozchyła się dusza nasza i podaje w nim drogocenną kroplę miodu — jest dobre słowo...

Dobre słowo o bliźnich.

Mówimy bardzo wiele i rozmawiamy o bliźnich, ale rzecz dziwna! Rzadko potrącamy

o zalety ich charakteru. Najczęściej interesują nas ich błędy, niedociągnięcia, braki życiowe... I wygląda to tak, jakby w naszym otoczeniu nie było wogóle ludzi, posiadających jakie takie dobre strony i zalety umysłu, czy serca. Albo też, jakbyśmy nie mieli wcale zmysłu, by dostrzec w bliźnich naszych dobro, szlachetność, prawość, cnotę. Choćby tylko w drobnej mierze, w załączkowym niejako stadium, ale zawsze — dobro...

Popelniamy w ten sposób dwie zasadnicze omyłki. Najpierw sądzimy i mylnie sądzimy, że na czarnym tle błędów i grzechów bliźniego tym jaśniej zarysuje się nasza własna cnota — tymczasem zwykły skutek ujemnych sądów o bliźnich naszych opiewa: „Lekarzu, ulecz siebie samego! Widzisz źdźbło w oku brata swego, a tramu w oku własnym nie spostrzegasz!” I zamiast mocną linią podkreślić *nasze dobro*, podkreślamy tylko naszą złą cechę charakteru, jeszcze jedną więcej... Nie jesteśmy wrażliwi na dobro *poza nami*...

Druga omyłka polega na tym, że wytykając zło drugim, spodziewamy się oddziaływać na nich dodatnio i wpłynąć na ich poprawę. Tymczasem i tu się bardzo mylimy. Wytykanie błędów cudzych, gderanie wieczne na ich usterki, czy grzechy, można by porównać np. do pracy przewracania zgnilizny na tym samym miejscu. Raz, drugi, trzeci, dziesiąty... Nie tylko zgnitej substancji to nie zaszkodzi, nie

usunie, lecz owszem przeciwnie rozszerzy około zgnily jej odór. Jak w każdej dziedzinie materialnej, tak i w dziedzinie ducha, zło wówczas upada, gdy zostanie zaatakowane przez silniejsze dobro. Czarnej farby nie zamalujemy drugą jeszcze czarniejszą, tylko wielką ilością nałożonej na nią farby białej...

Pamiętać o tym trzeba, zwłaszcza w zakresie wychowania młodych dusz i charakterów, czy to na łonie rodziny, czy poza nią. Tu się sprawdza przede wszystkim powiedzenie św. Franciszka Salezego, że więcej much złapiemy na jedną kroplę miodu, niż na całą ogromną beczkę octu...

W pewnym zakładzie wychowawczym przełożeni nie mogli sobie dać rady z jednym chłopcem. Charakter uparty i przekorny, jak rzadko. Nauki, upomnienia, kary, nie odnosiły żadnego skutku. Wpływ dobrych kolegów nic również nie znaczył, bo on umiał się odgrodzić od dobrych wpływów i, zdawało się, szukał swej chwały tam, gdzie zaczynało się zło... Rektor zakładu nie wiedział już, co robić... Aż tu raz werbowano po klasach chłopców celem skompletowania orkiestry. Naszemu bohaterowi dostała się trąba... Była to w jego życiu zbawcza „kropla miodu”. Chłopiec z takim zapalem zabrał się do ćwiczeń gry na trąbie, tak się w tym rozmiłował, że za cenę „trąby” można było u niego wszystko wytar-

gować. Ustały same przez się wybryki i niebezpieczne, złośliwe „figle”, jakimi przed tym zamęczał otoczenie, zbudziła się chęć do pracy, pragnienie odznaczenia się, zostania „czymś” w społeczeństwie. I powoli wyszedł na człowieka. Sam rozumiał wtedy bolesne troski wychowawców, ocenił przykrości, jakie im sprawiał i niebezpieczeństwo wypaczenia charakteru, jakie mu groziło. Ile razy mówił o przeszłości, wspominał żartobliwie, że uratowała go orkiestra i trąba...

W innym zakładzie poprawczym dla chłopców nastał nowy przełożony. Przedstawiono mu jednego z nich, jako nałogowego złodzieja, przed którym wszystko trzeba stale na klucz zamykać. Kradnie, co tylko może i z domu wynosi, a przyłapać go niezmiernie trudno. Taki talent złodziejski. Co tu robić... Nowy przełożony postanowił uciec się do radykalnego środka. Zaryzykował użycie... mądrej „kropki miodu”... Któregoś dnia kazał do siebie zwołać wychowanka.

— Mój drogi — rzecze do niego — mam tu bardzo ważny przekaz pieniężny, który natychmiast trzeba nadać na pocztę, a nie mam nikogo odpowiedniego pod ręką, żeby mi to załatwił. Bo takiej dużej sumy pieniężnej nie każdemu można powierzyć. Czy zechcesz mi oddać tę usługę?

Na te słowa chłopiec zdębiał. Przyzwyczajony był do zgoła innego traktowania swej

osoby. Stale słyszał dokoła siebie epitety: „złodziej, bandyta, spod ciemnej gwiazdy”... Tu po raz pierwszy w życiu okazują mu pełne zaufanie. Zarumieniony od wewnętrznej radości i dumy, przyjął zlecenie pieniężne, wykonał jak najsumienniejszy i od tej chwili „złodziej” znikł z zakładu. Chłopiec stał się wzorowym wychowankiem.

BĄDŹ SZLACHETNYM.

Mieliśmy dość długi okres w historii naszego narodu, kiedy całą niemal wartość człowieka stanowiło szlachectwo. Posiadanie go lub nieposiadanie, pieczętowanie się takim czy innym herbem, otwierało lub też zamykało wstęp we wszystkie progi. Szlachcic na zagrodzie bywał równy wojewodzie i miał fikcyjne prawo do tronu, nie szlachcic—nie miał żadnych praw w obliczu państwa.

Zapewne, w wielu wypadkach tu właśnie było źródło różnorodnych nadużyć szlacheckich wobec warstw upośledzonych: ludu i mieszczaństwa... Stąd brała początek ta pycha stanowa, matka ciasnoty umysłowej i warcholstwa „panów braci”, które stopniowo doprowadziły kraj do upadku... Tu zaczęto zszywać ten płaszczyk lichy pozorów, który blichterem klejnotu, po przodkach odziedziczonych, zasłaniał najgorsze nieraz występki.

Jakkolwiek bądź jednak rzecz się miała ze szlachectwem w odniesieniu do innych stanów, zaprzeczyć nie można, że w odniesieniu do samego siebie, szlachectwo zdobyło pewne poważne i nieprzemijające wartości. Ono podnosiło posiadacza klejnotu na pewien wyższy

piedestał człowieczeństwa, który siłą rzeczy zobowiązywał go do postępowania według utartych tradycyjnie norm „szlachetności”. Ono to sprawiało, że sama myśl „skalania klejnotu” zbrodnią, występkiem, lub nawet zwykłą niestosownością, powstrzymywała od takiego kroku szanującego się szlachcica. I tym dobrym pierwiastkiem szlachectwa zawdzięcza właśnie mowa nasza wyraz: „szlachetność”.

Pojęcie szlachectwa dziś już prawie zupełnie zanikło, a gdzie jeszcze je spotykamy, tam ono bywa uważane za przeżytek. I naraziłby się na śmiech na pewno, kto by się powoływał na swe szlachectwo. Więcej w oczach ludzkich dziś wart stary zegarek, niż stary herb rodowy.

Można nie mieć nic przeciwko temu, żeby zanikły herby, symbol szlachectwa i wady związane z nimi, ale pozwolić nie można, żeby zanikła w narodzie „szlachetność”.

Na czym ona polega?

Szlachetność polega na takim wyrobieniu duszy, serca i umysłu danej jednostki, że wszystkie czynniki dodatnie ludzkiej naszej natury są w niej uruchomione, owszem, doprowadzone nawet do pewnej doskonałości, natomiast wszystkie czynniki ujemne — są ubezwładnione i skazane na zagładę. Umysł otwarty dla wszelkiej prawdy, serce przystępne dla wszelkiego dobra — oto szlachetna dusza, oto szlachetny człowiek!

On nie wie, co to uleganie poziomym instyktom, nie pojmuje podłości, nie rozumie, jak można krzywdzić bliźniego, poniewierać godność ludzką, chodzić krętymi ścieżkami fałszu. Człowiek szlachetny lubi proste i jasne drogi. Cechuje go zawsze i wszędzie szczerłość i otwartość przekonań, połączona z roztropnością sądu, oraz wszechstronna, nikogo nie wykluczająca życzliwość. Charakter i życie szlachetnego człowieka, przedstawia się na kształt wielkiej, głębokiej rzeki o brzegach uregulowanych. Bystry nurt spokojnego rozumu, odpowiednio pogłębionego przez wykształcenie i życie, płynie w wytkniętym kierunku, ujęty w trwałe, mocne ramy praw i obowiązków — w żywe wybrzeża swego serca. Nic nie powstrzyma, nic nie zawróci jego dążenia ku Bogu.

Nie ma, zdaje się, człowieka, któryby nie chciał uchodzić za szlachetnego, ale rzecz główna w tym, żeby się stać i być szlachetnym. W tym celu należy harmonijnie i równomiernie dążyć do wyrobienia w sobie umysłu i serca.

Błąd współczesnego nam pokolenia tkwi w jednostronnym, połowicznym ujmowaniu tej kwestii. Ludzie kształcą umysł, rozszerzają jego horyzonty, obejmują coraz dalsze i rozleglejsze pola wiedzy. Rozwój, rozkwit, rozszerzenie i pogłębienie wartości serca powinien iść równomiernie z tamtym rozwojem i roz-

machem. Tymczasem ogół ludzki uważa pracę nad sobą za ukończoną, gdy nauczy się wiele, a serce własne zostawi odłogiem. W następstwie takiego stanu rzeczy wytwarza się w kraju inteligencja bardzo nieraz uczona, lecz zarazem bardzo nieetyczna. Ludzie z uniwersyteckim wykształceniem potrafią bez zmrżenia oczu popełniać malwersacje najgorszego gatunku, ulegać najpospolitszym nałogom, deptać cześć ludzką, jak zwykle błoto uliczne. I często prostak, ubrany w łachman, albo też dziecko nieuczone, posiada daleko więcej szlachetności w swej niedorozwiniętej duszy, niż laureat kilku doktoratów.

W języku współczesnym przyswojono sobie wyraz angielski „gentleman”, który ma być równoznacznikiem wyrazu „szlachetność”. Tak jednak nie jest. O ile w człowieku „szlachetnym” akcentuje się szlachetność jego serca, kulturę szeroką jego umysłu, słowem — wewnętrzne, gruntowne i harmonijne wyrobienie jego duszy, o tyle „gentleman” może być uważany za „gentlemana”, byle tylko posiadał garnitur według ostatniej mody z Londynu i umiał się zachować zewnętrznie w dobrym tonie. A przecież wiadomo, że i bez smokingu można być szlachetnym, w całej pełni tego wyrazu.

Kto zatem pragnie być szlachetnym człowiekiem, musi dbać o staranne wyszkolenie swego umysłu, a jeszcze więcej o jaknajstaranniejszą kulturę swego serca. Gdy to usku-

teczni, wówczas na pewno rzeczy związane z kulturą zewnętrzną jego osoby „będą mu przydane”. Jedna tylko jeszcze uwaga. Nikt umysłu dobrze nie wykształci na względnej tylko prawdzie, podobnież nikt serca nie uszlachetni na względnej tylko, ludzkiej etyce. Musi się oprzeć o zasady wieczne, o powagę Nieskończonego Boga. Wtedy będzie szlachetnym.

TAK MI SIĘ PRZYKRZY!

Miasta w tym czasie poniekąd emigrują. Kto może, wyjeżdża na wypoczynek letni na wieś — odetchnąć świeżym powietrzem, nacieszyć oczy i duszę pięknem przyrody, zetknąć się bezpośrednio z dziełami Artysty artystów — Boga.

Najcudowniejsze bowiem muzea, pełne tworów Najwyższego, znajdują się w świecie gór, lasów i jezior, a najwspanialsza panorama otwiera się pod błękitami niebios. Nie dziw, że ciągną ku nim wiek za wiekiem wędrownie rzesze pielgrzymów.

Wkrótce jednak po przybyciu na wieś, umysłem i sercom, przyzwyczajonym do ruchliwego trybu życia, poczyna się wieś nie podobać. Dają się słyszeć narzekania:

— Przechwalona ta wieś. Ładnie, bo ładnie, cisza, spokój, aż w uszach dzwoni, ale przy tym — nuda! Tak mi się już przykrzy! Co prędzej wracam do miasta. Przyjechać na wieś na dzień, dwa, trzy, na tydzień, to jeszcze rozumiem. Ale mieszkać tu stale, — za żadne skarby świata!

I zdawać się może wielu, że naprawdę warunki życia poza miastem nowoczesnym, to nic innego, tylko nuda i uprzykrzenie, że tylko ży-

cie w mieście jest życiem godnym człowieka. Kto porzuca miasto, wyprowadza się na wieś, ten się wyzuwa z człowieczeństwa, a przynajmniej z „inteligencji”.

Tak też istotnie sądzi „przeciętna inteligencja”. I stąd w świecie współczesnym tak silnie zaznacza się we wszystkich państwach niezdrowy prąd urbanistyki — ucieczka ludności wiejskiej do miast. I stąd w pewnych porach roku, tu i tam po wsiach, brak rąk do pracy, podczas gdy miasta przeludnione są rzeszami bezrobotnych. I dumają mężowie stanu nad sposobami przekonania ludzi, że do normalnego rozwoju społeczeństw, do ich równowagi, potrzeba i miast i wsi...

Skoro zatem wieś w ogólnej gospodarce jest konieczna, i pewien większy procent inteligencji stale na wsi zamieszkałej jest bardzo pożądany, to co zrobić z uprzykrzeniem? Jak ze wsi wypędzić nudę?

Ulegają złudzeniu wszyscy ci, którzy sądzą, że tylko na wsi rezyduje nuda, mieszka uprzykrzenie. Nie brak i po miastach tej tandety duchowej, lichego towaru współczesnej umysłowości. Współczesnej, mówię, boć do początków ubiegłego wieku nie znano na świecie miast-kolosów i olbrzymi procent inteligencji mieszkał właśnie na wsi. I jakoś sobie radzili. Nie nudzili się tak rozpaczliwie, jak ludzie naszej epoki, i pozostawili nam po sobie bardzo cenne zdobycze. Nie mówiąc już o pu-

stelnikach, którzy potrafili dziesiątki lat spędzić na puszczy i nie nudzić się wcale, byli filozofowie, co nawoływali swoich współczesnych do powrotu „na łono natury”... (Rousseau).

Jeżeli wówczas takie hasło miało swą rację bytu, tym bardziej posiada swoją wagę dziś i żadnemu inteligentowi nie przyniesie szkody. Należy tylko nudę i uprzykrzenie wygnać z dusz ludzkich hen, poza obręb kuli ziemskiej.

Czym jest bowiem nuda? Kiedy z ust padają słowa:

— Tak mi się przykrzy?

Nuda jest to uczucie pustki w duszy. (Z. Krasiński). Jeśli to uczucie powtórzy się raz, dwa, dziesięć razy, wtedy wywołuje w duszy ból, przykrość — uprzykrzenie. Jakiś ucisk duchowy, mękę myśli i serca.

A skąd powstaje w głowach i sercach naszych „inteligentów” pustka? Przecież jeśli które pokolenie to nasze powinnyby stanowczo mieć głowy nie tylko pełne, ale wprost opchane mądrością, wiedzą, samopoczuciem siły, sprawności, tężyzny pod każdym względem. Tymczasem na każdym prawie kroku — nudzi się, przykrzy mu się w życiu. Skąd to pochodzi?

Mam wrażenie, że dzisiejsi ludzie podobni są do studni, w której nie bije źródło na dnie i nie ma wody źródlanej. Jest tylko licha, od czasu do czasu spadająca — deszczówka. Dzień,

dwa, po deszczu można tam naczepnąć mętnej, brudnej wody, ale po tygodniu już ani kropli nie ma. Woda wysycha i w studni — pustka. Gdyby studnia mogła odczuwać swój stan, toby się nudziła, a po jakimś czasie opanowałoby ją uprzykrzenie.

Tak się dzieje z duszami. Na ich najgłębszym dnie nie bije źródło wiecznej wody żywej, jak Chrystus nazywał wiarę w Boga. Tylko od czasu do czasu pada do ich wnętrza jakiś deszcz przelotny. Trochę wody wrażeń z tej ziemi, chwilowych, zaraz wysychających. Wrażeń wzrokowych, słuchowych, ruchowych, zaczerpniętych na ulicy, w kinie, w rozmowie z przygodnymi towarzyszami pracy, czy rozrywek. A ponieważ miasta, zwłaszcza większe, pełne są ludzi, pełne takich chmur różnorodnych z deszczykami wrażeń dla człowieka, stąd sporo zwykle deszczówki zbiera się co dzień w tej studziencie głowy i serca ludzkiego. Jakkolwiekby to, jest to jednak woda mętna, czasem nawet brudna, i niepodobna rozkoszować się nią. W braku wody źródlanej, czystej, świeżej, krystalicznej, serca ludzkie i umysły muszą się zadowolić i takim napojem, ale tęsknią wiecznie za czymś doskonalszym. Łakną i pragną wody żywej, źródła o trwaniu i smaku wiecznym. Tylko nie chcą, czy nie umieją odnaleźć go dla siebie. I zamiast po wodę żywą, sięgają po nową falę zwykłej, doczesnej, lichej deszczówki.

W rezultacie mają pełnię, a równocześnie pustkę. Tę pustkę odczuwają stale. Jak przewodu pokarmowego nikt nie zaspokoi górą piasku tak i duszy, serca ludzkiego nie można oszukać. One tęsknią i tęsknić będą do źródła wody żywej. A zbywane byle czym — w mieście czy na wsi — powiedzą niezmiennie:

— Pustka jest we mnie. Nudzę się. Tak mi się przykrzy bez wiecznych wartości duchowych, bez Boga!

HIEROGLIFY.

Już mija wiek, jak uczeni rozkopując groby faraonów, odnaleźli szczątki pisma dawnych Egipcjan — hieroglify.

Nawet dla uczonych była to z początku zagadka niewytłumaczalna. Jak odczytać te znaki obrazowe, wykuwane dłutem na kamieniu — w ścisłym znaczeniu hieroglify — lub też znaki uproszczone, pisane na zwojach papyrusu — pismo hieratyczne i demotyczne? Znajomość tego pisma zaginęła od dawna, o Egipcie wiedziano wówczas tylko to, co opowiadali pisarze greccy. Dopiero uczonego Francuz Champollion potrafił odczytać te dziwne znaki z prawieka i otworzył bramy do wielkiego świata: dziejów i kultury Egiptu († 1832 r.).

Powstała obszerna i bogata gałąź nauki: egiptologia.

Znam inne hieroglify i inną o nich naukę. O ich wynalazku i zastosowaniu opowiada Księga ksiąg:

— I rzekł Bóg: niech się stanie światłość! — i stała się światłość... Niech się stanie sklepienie między wodami nieba i ziemi... Niech się zbiorą wody, które są pod niebem, na jedno miejsce i niech się ukaże ląd... Niech ziemia

zrodzi ziele zielone, oraz drzewo rodzajne wydające owoce... Niech się zaroją wody rojem istot żyjących... I stało się tak...

I na rozłamanej płycie przestworza, porzuconej przy drogach mlecznych, rzeźbiła wszechpotęga boża hieroglify... Słońce, gwiazdy, kwiaty, drzewa, jeziora i morza, każde jestestwo — najmniejsze i największe — to małe i wielkie abecadło hieroglifów, uczynionych we wszechświecie prawicą bożą...

Każdy znak hieroglifu jest osobnym obrazem rzezanym. Każdy twór w przyrodzie jest też osobnym żywym obrazem. Co wyobraża, co przedstawia? — Co za jego pomocą wyczytać można?

Hieroglify egipskie pouczyły o dziejach i życiu Egiptu, hieroglify boże pouczają o dziejach i życiu bożym. Hieroglify egipskie, przez uczonych odczytane, stworzyły egiptologię, hieroglify boże stworzyły teologię...

Można z nich wyczytać nieśmioną niczym, niezatartą wiekami — prawdę o Bogu. Z tej ogromnej biblioteki hieroglifów natury można się nauczyć wielkiej, nigdy w całości nieopowiedzianej opowieści. O Istocie, przymiotach i życiu Tego, który te znaki żywe dotąd pisze pod błękitami, na błękitach...

A przede wszystkim wyczytać można, że On jest.

Patrzmy, czytamy, podziwiajmy!... Oto księga wszechświata stoi przed nami otworem.

Na papyrusie błękitu, na bryle globu ziemskiego snują się i snują znaki... Jak litera dziwna obok litery dziwnej. A wszystko układa się we wiersze dni, odwracają się karty i tablice lat, stuleci. To są głoski żywe, to są głoski zawsze w ruchu, to są głoski przesuwające się w nieustannych zmianach...

Ileż zmian! Ile przyczyn wywołuje te zmiany!

Materia nieorganiczna wietrzeje, skały rozsypują się w proch — ulegają zmianom pod wpływem atmosfery. Z tego miału materii, z tej papki ziemi żyją i rosną rośliny — pod wpływem światła, ciepła, powietrza. Ulegają ciągłym zmianom; rodzą się, starzeją, umierają. A zwierzęta jeszcze innym ulegają zmianom: poruszają się pod wrażeniem zewnętrznych przedmiotów. Za oknami, gdy to piszę jaskółka goni muszkę, pies zziąjany rozdziera pod lasem zająca...

Wszystko ulega zmianom. I człowiek także. Na ciele i na duszy. Jego rozum i wola poznaje i pożąda dóbr coraz innych, coraz świeżych, wskazanych sobie przez zmysły... Słowem — każde jestestwo ulega zmianom w sobie pod wpływem przyczyn poza sobą.

Patrzmy i czytamy tę interesującą księgę! Mieni się ona i przesuwa, jak niezrównana taśma filmowa, w której centymetr za centymetrem goni, popycha go i sam jest popycha-

ny... Byle dalej, byle naprzód, byle więcej zjawisk podać, zaciekać oczy widza...

Jestestwo z jestestwem związane, przyczyna z przyczyną związana, jak zwoje jednej taśmy filmu.

Kto je nawiązał, kto je uszeregował? Gdzież ukrywa się reżyser, podający te obrazy — hieroglify — na ekranie wszechświata?

Ukryty On i niewidzialny dla widzów. Ale najwyraźniej mocą swoją, która ma w sobie wszystkie moce — wszech-moce — wpływa nieustannie na nieustanny ruch i przesuwanie się taśmy.

W tym łańcuchu przyczyn, wywołujących zmiany, same te przyczyny podlegają zmianom — pod wpływem innych przyczyn. Każda niejako ogląda się na drugą i mówi: — tyś mnie zmieniła! Jedna na drugą, druga na trzecią, trzecia na miriadową. A miriadowa przyczyna? Może się powoła na pierwszą? Adam w raju pokaże na Napoleona i powie — tyś mnie zrodził?! Niemożliwe!

Każda z tych przyczyn, posiadając moc „ukruszoną” tylko, szuka poza sobą reszty mocy, rozkruszonej na nieskończone twory świata. Ale całej mocy nawet wszystkie razem nie mają, bo nie są wszystkie zawsze razem. Bo nie mają tej wszech-mocy od początku w sobie. Szukają jej poza sobą...

Wszystkie twory świata są, jak idący w nieskończoność szereg zer. Calej mocy nie ma

pierwsze, całej mocy nie ma dalsze, całej mocy nie ma żadne, całej mocy nie mają wszystkie. Na nią poza siebie ogląda się pierwsze, na nią ogląda się dalsze, szukają jej poza sobą wszystkie razem.

I tę właśnie moc nieporuszoną przez nikogo, a poruszającą wszystko wskazuje rozum we Wszechmocy. Ona jest tą jednostką, co nadaje wartość nieskończonemu szeregowi zer.

I tę Wszech-Moc nazywamy Bogiem.

Hieroglify egipskie pouczyły uczonych o istnieniu Egiptu, źródle wielu i wielkich kulturalnych mocy... Hieroglify natury pouczają nas o istnieniu Boga, praźródle wszech-rzeczy.

CZEŚĆ UMARŁYCH.

SIEROCY WIEK.

Nie wszyscy ludzie zaznali sieroctwa, ale wszyscy znają sierotę.

Najczęściej widzieć ją można nad otwartym grobem, jak nieutulona we łzach i rozpaczy żegna ojca, nie daje się oderwać od trumny matki ukochanej. Straszliwym łkaniem i wstrząsającymi do głębi duszy jękami dziecka odzywa się samotna cisza cmentarza tak daleko, tak szeroko, tak groźnie, że zdawałoby się wszystkie mogiły współczującym echem poczynają płakać i łkać i zawodzić nad gorzką dolą sieroctwa.

Niewysłowiona istotnie bywa gorycz tej doli. Pióro jej nie odda, pędzel nie odmaluje. W jedynym zwierciadle, w słabych zarysach odgadnąć ją można — w smutnych oczach sieroty... Patrzy z nich na nas istota bezbronna, słaba, młodociana, spogląda dziecko, które samo sobie radzić nie umie, nie może. Tak potrzebuje opieki starszych!... Światła ich rozumu, ciepła ich serca, podpory i mocy kierowniczej ich woli, ich ręki. Wszystko to dawała mu Opatrzność Boża w ojcu i matce, z ich śmiercią to wszystko odjęte zostało. I choćby ludzie obcy, powodowani litością nad dzieckiem opuszczonym, podali mu rękę pomocną, za-

bezpieczyli dach nad głową, ubranie i pożywienie, wykształcenie i wychowanie nawet, ciepła i miłości serce rodzicielskich nie zastąpią. Ciało znajdzie opiekę i zdrowo, bujnie wyrośnie, ale dusza sierotą pozostanie.

Jest zatem podwójne sieroctwo: sieroctwo ciała i sieroctwo ducha, a to drugie najściślej i najwłaściwiej nosi tę nazwę. Mniej bowiem ciała cierpią, najgorzej kiedy dusze ludzkie są sierotami.

Gdy skończył się wiek XIX-ty, a zaczął obecny wiek XX-ty różni różnie chcieli go nazywać, zależnie od punktu widzenia na główne zjawiska i charakterystyczne znamiona, jakimi się w tym wieku zaznaczyło życie ludzi. Mówiono o nim: wiek dziecka, wiek samochodów i aeroplanów, wiek radia, w zakresie religijnym uwielbiano w nim wiek Eucharystii...

Każda z tych nazw ma w sobie wiele słuszności i na rzeczowych opiera się podstawach. Ale po upływie pierwszego ćwierćwiecza widzimy, że najsluszniej wiek nasz nazywać by należało wiekiem sierot, wiekiem sierocym.

Do niebywałych istotnie rozmiarów doszło w naszym wieku sieroctwo. Zagłusza dziś sobą niemal wszystkie przejawy wszystkich dziedzin życia ludzkiego, spycha je na plan drugi, a samo staje jako zagadnienie naczelne, jako zjawisko, do którego ustosunkować się muszą wszystkie serca, wszystkie umysły. Rzesza sierot, potrzebujących opieki, przekroczyła set-

ki tysięcy i liczy się na miliony. Pełno ich w każdym państwie, pełno i w państwie naszym. Wyciągają ręczęta, o chleb prosząc... „Parvuli petierunt panem”... jak mówi prorok. I trzeba, aby im ten kęs chleba ręce starszych, majątniejszych podały...

Ale gdy wszystkie te sieroty otrzymają od nas chleb i dach nad głową, nie powinna ustawać troska nasza o drugą kategorię sierot, którą zapelnia nasz wiek sierocy i nadaje mu barwę. Musimy się zatroskać o sieroty ducha... Cóż to za dziwna kategoria ludzi? Czy taka jest pomiędzy nami?

Jest i składają się na nią ludzie bez wiary. Utracili ojca, pogrzebali matkę, nie znają serdecznego ciepła ogniska rodzinnego... Utracili Boga, wiekuistego Ojca swoich dusz... Pogrzebali pamięć Bogarodzicy... Nie znają atmosfery domu rodzinnego — Kościoła...

Rzecz dziwna, wprost zdumiewająca! Jak szerokie kręgi zatacza wśród dusz, jak rozrasta się do potwornych rozmiarów ten sierocy wiek właśnie pod względem sieroctwa ducha! Nie miliony, ani dziesiątki milionów, ale wyraźnie setki milionów dusz odsuwa się od Boga. I wiek XX-ty zdaje się sprawdzać na sobie bolesną uwagę Zbawiciela o swym przyjściu na świat powtórny... Czy wówczas — mówił — Syn Człowieczy znajdzie wiarę na ziemi? Śmiało można powiedzieć i bez obawy przesady, że gdyby zanikała wiara stale w na-

rodach w takim tempie, w jakim dziś zanika, to szczątki jej ledwo ocaleją w świecie. Zatracić bowiem można wszystko, podeptać najdroższe skarby i chwałę życia ludzkiego stracić do Gehenny...

W tym wieku sierocym najbardziej oświecone głowy ludzkie zapominają o jednej najprostszej, ale podstawowej prawdzie życia, którą stosować musimy w całej rozciągłości wszyscy, stosować musi każdy człowiek. Ta prawda opiewa, że pomyślne istnienie nasze potrzebuje podpory... Nie na sobie samym opiera się bowiem człowiek, lecz na tym wszystkim, co go otacza dokoła.

Podpory ciała potrzebuje dusza nasza w doczesnym istnieniu swoim... I gdy kiedykolwiek ciało niedomaga, czuje się chore, słabe, nie ma sił dostatecznych do podparcia duszy w jej sprawnym, zdrowym działaniu—bezzradną staje się dusza. Bez podpory podupada...

I ze swej strony podpór bez liku potrzebuje ciało. Podpiera je w jego istnieniu powietrze, bez którego umierają płuca i arterie, podpiera je woda w pragnieniu, a pokarm, gdy łaknąć będzie. Podpiera je słońce światłem i ciepłem swoim, podpiera ziemia jego stopy. Dokądkolwiek się zwróci—wszędze widzi podpory swego istnienia: pożyteczne, przyjemne, konieczne. Niech się jedna tylko z poważniejszych podpórek życiowych zachwieje! Niechaj wyleją rzeki z łóżysk, niech zadrzą fun-

damenty ziemi, usuwając ją z pod nóg człowieka!... Popłoch ogarnia ludzi, szaleństwo święci triumfy. Ludzie bowiem wówczas czują się jak wielkie sieroty. Nie mają oparcia, którego potrzebują.

Nędzarzem jest duch człowieka, nie mający dobrego oparcia w normalnym świecie i w zdrowym, normalnym ciele. Jest sierotą—bez oparcia doczesnego. Lecz oto duch ma oparcie drugie, wieczne—w Bogu. I gdy Boga nie ma—staje się dobrowolnie sam sierotą wiecznym.

Takimi wiecznymi sierotami czyni dziś miliony ludzi ten opłakany wiek nasz — wiek sierocy...

WSPÓŁCZUCIE.

Ilekróć ją czytam, zawsze mię wzrusza do głębi ta scena z ewangelii, w której Chrystus Pan spotyka orszak pogrzebowy w bramach Naim. Za marami postępuje zboląła matka i dużo, dużo ludzi, chyba wszyscy mieszkańcy małej miejsciny, a na marach—młody człowiek, syn jedyny s płakanej, uginającej się pod krzyżem wdowieństwa, matki. Zbawiciel na ten widok zatrzymuje orszak żałobny, by wskrzesić zmarłego, albowiem — mówi ewangelista — był „współczuciem wzruszony”...

Taki to śliczny, ludzki rys jego duszy! — „Współczuciem wzruszony” Syn Człowieczy... Bóg zstępuje z wyżyny swego majestatu, staje obok nas w szeregu, podzielić się pragnie z nami czarnym chlebem życia naszego, naszych smutków, boleści, naszych uczuć... Staje wśród nas, jako wzór dla nas — rzetelny, prawdziwy człowiek.

I myśmy powinni okazywać bliźnim współczucie... Sami przecież żyjemy, doświadczamy wszystkich przejawów życia, czujemy je. Mamy „czucie własne”. A rozum i zmysły pouczają nas, że obok naszego „czucia” jest także „czucie drugich”, podobnych do nas ludzi. I w pewnych punktach węzłowych ży-

cia, jako rzecz zupełnie naturalna, rozumiała, zjawia się „wspólne czucie” — współczucie.

My wszyscy ludzie — tym bardziej chrześcijanie, uczniowie Chrystusa — w odniesieniu do bliźnich winniśmy być jak woda... Niech w jednym miejscu otworzą upust i uczynią „dół” w wodzie, zaraz bieży go zapęłnić woda z innej strony, w jednej chwili wyrównywa poziomy. Po czym płynie spokojnie, fala za falą. Tak i ludzie. Mogą iść obok siebie spokojnie i czuć obok siebie, przeżywając „czucia własne” każdego, dopóki życie nie uczyni wyrwy w jednym z nich, nie dotknie go boleścią. Z chwilą, gdy ból się zjawia, niechaj śpieszy fala wspomóc falę, niech człowiek czuje wspólnie to, co czuje drugi człowiek, by przywrócić poziom, równowagę ludzkich uczuć.

Współczucie jest to jeden z najszlachetniejszych owoców na drzewie człowieczeństwa. Nieokrzesane serca, dzikie dusze, samolubne, nie potrafią współczuć bliźniemu. Myślą tylko o sobie. Boli ich cios, co ich obala. Nie-szczęście innych, „ani ich ziębi, ani grzeje”.

Współczucie wskazuje na głębię charakteru. Nie zamykam się w obrębie swej własnej szerokości, lecz rozciągam niejako zasięg duszy swojej — dalej, szerzej, na innego człowieka, na innych ludzi, do mnie podobnych. Owszem, nawet na istoty niższe ode mnie, podobne do mnie przez to tylko, że żyją.

Człowiek szlachetny nie może patrzeć obojętnie na cierpiące zwierzę. Zdarzają się ludzie o takiej delikatności uczuć, że troskliwie omijają robaczka, by go nie zdeptać, jeśli przypadkiem ujrzą go na swej drodze. Cierpią na widok każdego cierpienia, gdziekolwiek je spotkają. Niezwykła dobroć serca stale jest ich znamięm.

Jeśli jednak współczucie nasze może się rozciągać na wszystkie istoty, co czują, to tym bardziej winno na pierwszym miejscu obejmować ludzi. Robaczek w milionowej części życia jest podobny do mnie, zwierzę zaledwie z daleka, a tymczasem drugi człowiek jest zupełnie i całkowicie podobny do mnie. To członek tej samej rodziny, to mój brat, to siostra moja. Kimże byłbym, wyłączając się ze wspólnoty uczuć rodzinnych? Wyrodkiem — niczym więcej!

Wyrzucał św. Paweł Apostoł poganom, że byli „sine affectione”, ludźmi samolubami, bez współczucia dla bliźnich cierpiących. I sprawdza się to zawsze. Ktokolwiek będzie bez współczucia serdecznego dla bliźnich, ten płynie poza falą chrystianizmu. Staje się poganinem. Nie naśladuje wzoru Boga-Człowieka, który miał serce współczujące w najwyższym stopniu. A przecież każdy człowiek winien być... synem człowieczym jak Ten, co szedł ongi przez łany Judei. Serce nie znające współczucia jest sercem nie-człowieczym...

Przeważna większość ludzi, umiejących współczuć, zna tylko jedną drogę współcierpienia z bliźnimi. Mają tylko oczy i uszy otwarte na jęki, krew i rany, na cierpienia fizyczne bliźnich, zewnętrzne. Tymczasem trzeba rozsunąć granice mąk i cierpień, łez i niedoli bliźniego. Są cierpienia o wiele głębsze, bardziej bolesne, utrapienia ducha, dostępne tylko dla bardzo bystrych oczu.

Subtelna ostrość i przenikliwość w tej mierze daje nam wiara. Ona pożyczka nam jakby oczu Chrystusowych. Ona pozwala i każe nam patrzeć w zaświaty. Ona bierze nas za rękę i prowadzi w kraj cierpień duchowych, który katechizmowo nazywamy czyśćcem.

Często pełen zadumy przechodzę obok cmentarzy. Na grobach, rzeć by można, leżą mówiące kamienie, głazy, co myślą i opowiadają przechodniom o losach tych, co już dawno tędy przeszli i odeszli z tej ziemi. Któż oni byli, ci przed nami? Ludzie podobni do nas. Bracia nasi, siostry nasze, dzieci wspólnej, wielkiej rodziny Chrystusowej. Czy wszyscy dobiegli do mety zbawienia szczęśliwie? Najprawdopodobniej—nie jeszcze! Zatem cierpią... A któż im współczucie, pomoc okazuje? Jak nikły bywa odsetek tych głębszych dusz, co żrenicą przemierzają czyścicową hen dal i oparci o Chrystusa z Nim wespół im wespół-

czują, z Nim wspólnie nawiedzają tych więźniów w ognistych kajdanach...

Jeśli na ziemi powstrzymujemy rękę z jałmużną i zamykamy w sercu bramy współczucia dlatego, że ten lub ów bywa najwyraźniej niegodnym współczucia, marnotrawcą naszych darów, to w tym dalekim przeogromnym świecie dusz cierpiących możemy być spokojni. Tam są godni naszego serca, tam wszyscy zasługują na naszą pomoc, tam każdej duszy świadczyć możemy — współczucie.

Współczucie — w pełni słowa.

POMOST NIESKOŃCZONOŚCI.

Cicha wieś ozłociła się barwnym płaszczem lasów i sadów. Jesienny, smętny nastrój zadumy unosił się nad głowami rzeszy pobożnych, którzy ze śpiewem na ustach, z lekkim trzepośtem chorągwi żałobnych, o zmroku wieczornym z płonącymi świecami w ręku zalegli ścieżki cmentarza.

Tam uroczyście obchodzili Dzień Zaduszny, pamiątkę wiernych zmarłych.

Z okiem chwilowego mego mieszkania dokładnie mogłem obserwować tę płynącą, gorącą rzekę głów ludzkich. Z półmroku wieczornego wieczoru, w brzegach rozlanej ciemności, zarysowała się tak wyraźnie, tak jasno... Rozpryskując pianę ognia dokoła, rzeka ta cicho szła, przelała się przez wrota cmentarza i obchodziła, opływała dokoła milczące obzowisko umarłych. Co jakiś czas powiew wiatru ledwo dostrzegalny przynosił mi echo pieśni żałobnej. — Dobry Jezu, a nasz Panie! Daj im wieczne spoczywanie...

Pomiędzy gwiazdami, zapalającymi się zwolna na niebie, a ziemią, ta smuga jasna wydała mi się pomostem, rzuconym na otchłanie cieniów... Pomostem nieskończoności...

I narzuciła się natychmiast uwaga zdumio-

nej myśli, że nie tylko tu, lecz wszędzie, nad cmentarzyskiem ogromnym świata, wszędzie można odnaleźć pomost nieskończoności...

Zaprawdę, wszędzie, gdzie dotykamy stopą ziemi, dokądkolwiekbyśmy się udali, wszędzie dotykamy cmentarzyska rzeczy. Mogiły są pod powierzchnią skorupy ziemskiej, mogiły na jej powierzchni, mogiły w powietrzu, mogiły nad gwiazdami i mgławicami gwiazd. Nie masz bowiem ani jednej rzeczy... nieskończoności! Każda się kończy, prędzej lub później, każda zstępuje do swojej mogiły. Kończy się kwiat dali i groszków pachnących pod moim oknem, zstępując do swego grobu zimy... Kończy się znękana dola małego owadu, co mi brzęczy za oknem, jakby na dobranoc... Kończy się życie zwierząt i ludzi, kończą się protuberancje słoneczne, kończą się wybuchy gwiazd i komet... Wszystko tu znajduje swój grób..

Jak okiem zdołam zasięgnąć, jak lotną myślą doścignąć — wszędzie dostrzegam mogiły, nad mogiłami zaś otchłanny mrok i ciemność. Wszystko tu zdaje się umierać z okrzykiem dantejskim: „Lasciate ogni speranza!” — Już nie masz, nie masz nadziei!

Co skończone — kończy się, skończyć się musi!

A jednak!... Niezupełnie się kończy!

Skończył się — według teorii Kanta-Laplace'a — okres, w którym ziemia nasza była ognistą kulą lawy, zapalającą wybuchami prze-

stworza, ale nie skończyła się ziemia. Kończy się kwiat, krzew, drzewo, ale dotąd nie zamarła roślinność... Z wiosną zasieją się nowe kwiaty, krzewy, wyrosną nowe drzewa. I tak na każdym kroku. Niezupełnie kończy się wszystko. I świat i ziemia jest ogromnym cmentarzyskiem rzeczy, ale jest i przedziwną kołyską nowych rzeczy...

Nad rzeczy skończone zdaje się kłaść jakiś pomost nieskończoności...

I to nie pomost nieskończoności takiej, jak ją rozumieją materialści.

Materialści przyznają, że różne rzeczy tego świata są skończone, bo jedne giną, drugie nastają, więc nie są nieskończone, nie są wieczne. Natomiast nigdy nie ginie materia, nie umierają atomy wszechrzeczy. I dlatego wiecznymi są atomy, materia jest nieskończoną. W niej samej leży pomost nieskończoności. Ten pomost przerzuca się niejako z jednej rzeczy na drugą, z drugiej na trzecią i tak dalej bez końca.

Atomy więc nieorganiczne są pomostem, są piastunami nieskończoności. One sprawiają, że świat bez przerwy trwa i trwa...

A skąd powstały atomy?

Atomy były wieczne — odpowiadają.

Nie o to jednak chodzi, jak długo atomy istniały, lub istnieją, ale skąd powstały?

Czy same ze siebie?

Odpowiedzi nie ma, bo i atomy przecież

są skończone, zmieniają się przekształcają, jeden od drugiego pożycza swą moc. Żaden w sobie samym nie piastuje bezwzględnej konieczności bytu. I one są „śmiertelne”, i one u pewnego kresu się kończą. A skąd zatem bierze się w nich ta jakaś żyła nieskończoności, która przelewa się z jednego w drugi, kładzie się na jestestwa, jak pomost nieskończoności?...

Byt nieskończoności jest bytem koniecznym, nigdy przygodnym (contingens). I jest sam w sobie niezależnym. Od nikogo nie pożycza, nikt nie jest jego dobroczyńcą. A skoro niezależnym jest od nikogo na zewnątrz, skoro żadne warunki nie mają na niego wpływu, nie mogą go opanować, zniszczyć, zmienić, — jest przeto wiecznym, niezmiennym. Wszystko, co jest w nim, on ma sam w sobie. Z takiego dopiero źródła wytryska na pewno i naprawdę nieskończoność.

I może się udzielić istotom skończonym. I przeświecić je niejako i kłaść się na atomy, na światy martwe i żywe, jako nieprzerwany, jasny promień nieskończoności. Może je wiązać jedne z drugimi, jako swego rodzaju pomost nieskończoności...

A Jego Imię jest — Bóg. Bóg. Bóg, Stwórca wszechrzeczy. Z Jego źródeł nieskończoną moc trwania czerpią istoty skończone. I dzięki temu kładzie się wszędzie pomost od mogiły ku kołysce...

Jego to właśnie Imię słyszę w śpiewie ludu. Płynie z cmentarza z powrotem jeszcze piękniejsza w głębszych cieniach rzeka światła. Kładzie się, jak pomost nieskończoności między ziemią, mogiłami i gwiazdzistym niebem. I śpiewa... Dobry Jezu, a nasz Panie, daj im wieczne spoczywanie...

On jeden nie umiera. On rozdaje życie wieczne.

CZEŚĆ UMARŁYCH.

Jakże częsty to widok, zwłaszcza po większych miastach!

Sunie karawan, kirem okryty, za nim w nastroju żałobnym idzie orszak pogrzebowy. Na twarzach tych, co towarzyszą zmarłemu, rozlany smutek, powaga, zamyślenie. Na miejscu wiecznego spoczynku idzie jeden z tych, którzy dokonali już swego żywota.

A razem z orszakiem żałobnym jakiś powiew zza świata płynie, rzekłbyś, ulicami miasta, jakby szeptał zagrobowy: „Memento mori! — Hodie mihi, cras tibi!” — Ja dziś odchodzę, ty jutro! Pomnij o śmierci!

I na widok ostatniej drogi, którą człowiek odchodzi w nieznaną wieczność, wszyscy przechodnie uchylają nakrycia głowy. Oddają zmarłemu ostatnią cześć.

Zwyczaj stary, jak rodzaj ludzki, uznawany przez wiernych i niewierzących. Choćby za życia nikt mu się nie kłaniał, nikt nie zwracał nań uwagi, to umarłemu człowiekowi wszyscy oddają cześć.

Oddają dlatego, że w obliczu śmierci wszyscy uświadamiamy sobie naszą równość i solidarność człowieczą. Tworzymy jeden rodzaj ludzki, wszystkich nas spotyka ten sam los.

Śmierć nie zna mądrych, ani głupich, uczonych, ani prostaków, możnych, ani ubogich. Dopóki zmarły należał do ludzi żywych, nie jeden był od niego wyższy rangą, zajmował górujące nadeń stanowisko, nie uchylił więc przed nim czoła. Od dziś jest inaczej. Postaci rzeczy w niczym to nie zmienia. Każdy czuje się mu równym. Na miejsce wiecznego spoczynku odchodzi tylko — człowiek. Znikają tytuły i zmarłemu człowiekowi ludzie oddają cześć.

Owszem, jest on nawet czymś wyższym w oczach ludzi żywych. Odchodzi od nich człowiek, który dokończył już dzieła swego życia. Wszyscy pozostali czują się wobec niego, jak ludzie jeszcze nieukończeni, jeszcze niepełni, zatem niżsi od niego. Otacza go nadto tajemniczość. Ciało jego wraca do ziemi, z której powstało, ale było ono piastunem duszy, towarzyszem jej nierozdzielny i na ducha zmarłego oddziaływało wybitnie. Kiedyś ma razem z duchem zmartwychwstać. Teraz odchodzą w tajemniczą dal: — i ciało i dusza. Biorą niejako na siebie niesamowite, wielkie znamię, wzniosły stygmat życia zagrobowego, przyoblekają majestat wieczności. To też idą, wywyższone symbolicznie w trumnie — ponad tłumy, jakby na tronie człowieczeństwa.

I człowiekowi ukończonemu, wyższemu, tłumy ludzi oddają cześć.

Oddajemy cześć odchodzącemu, znanemu i nieznanemu, częstokroć nie zgłębiając nawet, czy dzieło jego życia jest dobre, czy złe, czy pozostawia po sobie ślady głębokie, lub nieznaczne i płytkie. Czasem o zmarłym wiemy coś niecoś, najczęściej nie wiemy wszystkiego. Jedno tylko wiemy, że zmarły zabiera z sobą wszystkie swoje nadzieje i te, które w nim inni pokładali, że dziełem swego życia wpływał na naszą teraźniejszość i przyszłość. Mniejszy lub większy, zawsze pozostawił dorobek, z którego żyją potomni.

A potomni żyją zarówno z dobrego, jak złego dorobku tych, co odeszli. Jeżeli dorobek jest zły, będzie on nauką i przestrogą, jak unikać zła w przyszłości. Jeżeli był dobry, jeśli duch zmarłego stale dążył po drodze pozytywnych, ludzkich wartości, zwłaszcza wartości wielkich, to wznosić mu będą pomniki. Najwspanialszym dorobkiem doczesnym człowieka, jest pamięć o nim i o jego czynach, żyjąca w duszach bliźnich.

Cześć oddajemy ciału zmarłego, ale czcimy przede wszystkim duszę. Jej dziełem było całe życie zmarłego. Pisze Pascal: „Tak wysoko cenimy duszę ludzką, że nie możemy znieść, by nas nie szanowała, by nas lekceważyła dusza bliźniego. Całe szczęście doczesne człowieka polega na tym poszanowaniu... Nawet ci, którzy najwięcej pogardzają ludźmi, przyrównując ich do zwierząt, pragną jednak ich

podziwu, ich wiary... Natura silniejsza ponad wszystko przekonywa ich o wielkości duszy. Dobry człowiek chce żyć w duszy bliźniego, a wie, że to życie zdobyć może tylko służeniem mu zgodnie z przykazaniem Bożym o miłości bliźnich”.

Ale i ten co siebie tylko miłował, pragnie żyć w duszach tych, którymi pogardzał i których nadużywał dla zaspokojenia swych ambitnych, samolubnych celów. I on nie może się pogodzić z myślą, by dobra pamięć o nim wygasła w duszy bliźnich. Niejeden radby gwałtem zdobyć sobie miejsce w duszy bliźniego, kupić sobie ten najpiękniejszy w całym świecie zakątek — serce ludzi. Wysiłki takie pozostają bezcelowe. Śmierć daje świadectwo prawdzie. Przekreśla złą pracę duszy człowieczej, unicestwia wszelkie miraże. Na piedestał wyprowadza tylko trwałe dorobek moralny, owoc miłości Boga i bliźniego, owoc ukochania dobra wspólnego wszystkim. Wobec tych wartości szczybi się kosa śmierci. Cześć oddawana odchodzącej, wielkiej a dobrej duszy, przetrwać umie dzień pogrzebu, przetrwać umie wieki.

Śmierć dla niewierzących to tajemnica, pełna grozy i rozpacz. Ale wierzący chrześcijanin zna jej treść. O jedno tylko z lękiem pyta, zresztą patrząc ufnie w jej bramy, czy ten, co odchodzi, będzie zbawiony, czy potępiony. Kroczy wszyscy w życiu wąską

ścieżką. Po jej obu stronach głęboka przepaść. Człowiek dobiega kresu ścieżki żywota, jakież go spotka los? Co on teraz myśli o ziemskim swym przeznaczeniu? Coby nam powiedział, gdyby mógł stanąć między nami? On, jeden z nas, którego los na wieki przesądzony, dowiedział się już co jest wieczne światło i wieczna noc, poznał największą tajemnicę życia ludzkiego. Wszystkie razem uniwersytety świata nie udziela tej wiedzy, którą dusza zmarłego już posiadała. Zna bezwzględna prawdę o życiu i śmierci.

Dlatego pełni powagi, zadumy—nad zmarłymi i nad samym sobą, człowiekowi wiecznemu oddajemy cześć.

SPÓJRZMY W NIEBO!

Dzień Zaduszny...

Na mogiłach cmentarnych klęczą rzesze. Modlą się za swoich zmarłych. A jeśli kto czasem nie potrafi się zdobyć na modlitwę, to przynajmniej cichą chwilę zadumy poświęca pamięci swych najdroższych,

Wszyscy zazwyczaj patrzą w przyszłość, wszyscy zdają się oczyma rozdzierać powierzchnię mogił, zaglądać do wnętrza, do głębin grobu. Szukają zmarłych tam, gdzie ich nie ma...

Albowiem omyłkę zasadniczą popelnia pewna pieśń, gdy głosi o umarłych: „W mogile ciemnej śpisz na wieki”. — Nie w mogile śpią dusze ludzi zmarłych i nie na wieki... Aby je odszukać, trzeba z cmentarzysk katolickich wznieść oczy wyżej. Należy za Kościołem powtórzyć:

— Spójrzmy w niebo!

Wiara nas uczy wyraźnie, że ciało do czasu spoczywa w pleśni grobu, a dusza po sądzie Bożym — z wyjątkiem zbrodniczych dusz potępieńców, co wzgardziły Bogiem — idzie do czyśćca a stąd oczyszczona do nieba. I właśnie ten pochmurny, mglisty, tak często ponury listopad jest dla krain czyścicowych, zaiste, najpiękniejszym, najbardziej słonecznym miesia-

cem. Tyle modłów się wznosi do tronu Przedwiecznego, tyle ofiar zostaje wpisanych na ich nieuregulowane rachunki, że długi zostają wyrównane. I w ciągu listopada zapewne stałe na oścież otwarte są bramy niebios, a rzesze niepoliczone dusz świętych uroczyście obchodzą swoje wniebowzięcie... W tym miesiącu zatem i zwłaszcza w Dniu Zadusznym—spójrzmy w niebo!

Spójrzmy w niebo rozjaśnioną, rozpromienioną źrenicą. Tam każdy dom katolicki, każda rodzina, znajdzie swych przedstawicieli. Ród przecież każdy liczy więcej umarłych, niż żywych. Tak samo Polska katolicka i Kościół cały — liczą więcej umarłych, niż żywych. A pośród tych umarłych, co swego czasu zaludniali czyścicową kaźń, ileż dzisiaj zasiada na tronie chwały? Ilu zatem patronów ma każdy dom, każda najuboższa chata? Iluż świętych, tych małych świętych, wydała w ciągu tysiąclecia, każda polska strzecha? W swoim dniu i w miesiącu, szczególnie im poświęconym, niejako masowo, triumfalnie i w zachwycie, biorą w swe posiadanie niebios!

Trzeba, żebyśmy wiedzieli o ich radości, przejęli się ich szczęściem, zatęsknili do ich ostatecznego triumfu. A więc nie patrzmy ząsępieni w spleśniałą głębię mogił, tylko jasno, ulnie i pogodnie — spójrzmy w niebo!

Spójrzmy w niebo odważną, ufą źrenicą. Ci przecież, co nas uprzedzili w osiągnięciu

wiecznej chwały, wyszli z tych samych wiosek i miast, w których my przebywamy, niekiedy może z tych samych ścian domu, czy ubożuchnej lepianki. Tym samym chlebem ziemi polnej, ziemi polskiej się karmili, z tych samych, co my pijali zdrojów, pod cieniem tych samych kościołów karmili i napawali swe dusze łaską Bożą. I tym samym westchnieniem-przysięgą kończyli każdy dzień zbożnie przeżyty:

A gdy już niebo osiedziem,
Tobie wspólnie śpiewać będziem,
Boże w Trójcy niepojęty,
Święty, na wiek wieków Święty!—

Wszyscy oni szli przez życie z myślą jasno skryształizowaną: „Idę do Boga, do nieba!” Wyraźnie stawili sobie przed oczy ten cel najwyższy i nie żalowali wysiłków, byle go tylko osiągnąć. Poprzez czyściec — osiągnęli, i palmą zwycięstwa powiewają ku nam, zachęcając, zapraszając na te same wielkie szlaki...

Spójrzmy w niebo! Z pól ojczyzny ziemskiej, ograniczonej w przestrzeni i czasie, ku ojczyźnie wiekuistej, nieskończonej chwały! Tylu tam swoich, bliskich, drogich oczekuje nas. Niechaj zadrza żywiej serce, niechaj się zerwie w duszy tęsknota—ku swoim! Do nieba! Jak z rozkoszą ulatuje ptak z klatki wypuszczony w przestwór błękitu, tak niechaj tęskni dusza do nieskończonych, wiekuistych

horyzontów domu Bożego. To przecież dom ojczysty, dom nasz!

Spójrzmy w niebo, ale mądrą, poważną żrenicą! Tak, jak Chrystus w ciele ludzkim spoglądał ku Ojcu, do którego przybytków chciał wprowadzić całą rodzinę ludzkości. Jeśli chcemy znaleźć się w tym wybranym gronie dzieci Bożych, przyjaciół Bożych, wybranych dusz, najszlachetniejszych serc ludzkich, musimy stale i dobrze pamiętać słowa Zbawiciela, który mówił, że „nie nieczystego nie wnijdzie do nieba”. Muszą być oczyszczone wszystkie nasze myśli, pragnienia, słowa, czyny.

My wszyscy, choćby nie wiem jak wykształceni, jesteśmy ogromnie powierzchowni i zewnętrzni. Podnosimy na coraz wyższy stopień stan oświaty i kultury, lecz o zgrozo! nie docierają one do wnętrza dusz, do sanktuarium serc ludzkich. Ubieramy się coraz „czyściej”, coraz wykwintniej i ze smakiem, ale tylko nasze ciało. Ogromny szyk i elegancja cechuje nasze miasta, gdy się wystroją na święto, umieją się pokazać z gracją także wioski nasze — ale dusze, jak dusze, wyglądają?! Tak jesteśmy zapatrzeni aż do przesady w powierzchowny blichtr i zewnętrzne pozory piękna, że tracimy z oczu prawdziwe, wewnętrzne piękno duszy. Piękno myśli człowieka, szlachetność pragnień serdecznych, blask nieśmiertelnych słów i czynów, godnych nagrody Bóstwa. A to przecież właśnie jest god-

ne uwagi człowieka, i tylko to i przede wszystkim to...

Zatem w Dniu Zadusznym spójrzmy w niebo! Aby dojrzeć wartości wiekuiste niebios pośród szarego piasku małych wartości ludzkich na tej ziemi. I aby te wartości wieczne wszystkie w swej duszy zarejestrować, nie pominąć ani jednej, aby im zapewnić rozwój, rozkwit i ład piękna, godny zachwytu oczu świętych, oczu Bożych...

LULAJŽE, JEZUNIU.

DROGA ŚWIĘTA.

W starożytnym Rzymie była tak zwana „droga święta” — *Via sacra* — jedna z piękniejszych ulic miasta.

Po obu stronach tej wielkiej relikwii imperium, podziwiałoby oko widza śliczne budowle, wspaniałe pomniki, lśniące przepychem świątynie. Po niej kroczyły procesje religijne z rozwiniętymi sztandarami, emblematami swych wierzeń, a szły poważnym krokiem, w pobożnym skupieniu. Nikomu nie było wolno zachować się tu hałaśliwie, jak na innych ulicach, dlatego właśnie, że przechodził „drogą świętą”. Najślawniejszą, najczcigodniejszą i najuroczystszą z dróg, po której w triumfalnych pochodach wjeżdżali w mury miasta zwycięscy wodzowie Rzymu.

Z biegiem lat do jej murów, do jej płyt kamiennych przywarł ogromny, bohaterski strzęp historii. Niezrównana przeszłość, władczyni „*orbis terrarum*”, zdawała się tu połyskiwać z każdego lustra marmurów. Z uczuciem świętego drżenia i wielkiej dumy w sercu przechodził tędy każdy Rzymianin. Sława tysiąclecia orłów rzymskich śpiewała mu w tych dwu słowach — *V i a s a c r a!*

Dzieje pogańskiej Romy nie zawsze zaczy-

ły się na szlaku „drogi świętej”. Umieli rzymscy wodzowie i władcy ścinać, gnębić i miazdżyć niewinnych, umieli w jarzmo niewoli zakukuwać wolne ludy. Umieli łamać najświętsze ich prawa brutalną przewagą miecza. Po werstepach, grzędawach i topieliskach, po ślepych i brudnych zaułkach zbrodni, kluczyły ich dzieje...

Ale tętno pierwsze, czyste czyjegoś szlachetnego serca chciało lud swój prowadzić „drogą świętą”! I ono pozostało na świadectwo historii, jako ideał wielkiego ludu, ryty w marmurach, złocie i granitach...

Via sacra!

I w pewnej, wielkiej chwili dziejowej prawica Opatrzności podjęła to hasło, wkroczyła władczo w losy Rzymu i ukazała mu „drogę świętą” Chrystusowej prawdy i prawa. W odblaskach Gwiazdy Betlejemskiej zarysowała się oczom Rzymu i oczom wszystkich ludów jasno, pewnie i wyraziście ta „droga święta”... Prawdziwa via sacra... chrystianizmu!

Jak ongi Rzymianin, jak cały świat od dni Chrystusa, tak zawsze każdy człowiek ma swoje drogi, ma swe dzieje, i mieć powinien przed oczyma swoją „via sacra” — drogę świętą... Wiele bowiem dróg i różnych dróg wiedzie przez życie ludzkie. Ścielą się drogi pełne kurzu i błota, drogi samolubstwa, drogi pychy, nieprawości i gwałtu. Umierają w piaskach pustyni drogi nieuctwa religijnego, tę-

poty ducha i ciasnoty serca. Na nich wszystkich, jakby śpiąc na jawie, kroczą setki i tysiące, nie zdając sobie sprawy, dokąd one wiodą, dokąd zajdą i co zgotują wędrowcowi na końcu...

A tymczasem płonie coraz wyraźniej z każdym wiekiem ta jedyna, słoneczna, promienna, olśniewająca marmurami i złotem „droga święta” — via sacra!

Tak, zaiste! Każdy winien się zatroskać o to serdecznie, by mieć w życiu „drogę świętą”. Jakkolwiek się jego życie snuje i rozwija. Łatwo, czy pośród trudu i męczarni, w bogactwach i dostatku, czy w ubóstwie i nędzy, pośród chmur, czy w słonecznym uśmiechu dnia.

Każdy winien mieć przed oczyma swoją „drogę świętą”! Mieć ją i na nią raz po raz wstępować.

Wzdłuż tej drogi świętej stoją pamiątki czcigodne — narodowe i rodzinne — wieje poszum potężnej, uskrzydłonej wiary, przeszłości. Stoją świątynie, domy Boże, a w nich Pan ich zamieszkuje tajemnie. Dlaczegoż nie oprzeć się o Boga, kiedy człowiek upada na siłach?! Czemuż omijać świątynię, pełną ciszy i niebiańskiego ukojenia, skoro w sercu szaleją burze, językiem ludzkim nie nazwane?!

Są ludzie, co omijają kościoły. Lękają się w nich napotkać myśl o Bogu. Bóg ich onieśmiela, napawa jakimś trwożnym drzeniem.

Im się zdaje, że daleko przyjemniej spędzają życie, błądząc po cuchnących zaułkach i norach grzechu, zbaczając na bezdroża zbrodni. Tam co kilka kroków nie grozi im ostrzegawczy znak Bóstwa. I wyobrażają sobie, że uniknąwszy widoku znamion Bóstwa, unikną widoku i spotkania się z Bogiem samym.. I omijają starannie „drogę świętą”...

Ktokolwiek jednak ośmieli się na ten krok i wstąpi na drogę świętą, otoczy go atmosfera wysokich gór. Czystość, świeżość i przezroczoność powietrza napelni mu duchowe płuca, oczy, unormuje działalność serca, ożywi prężność rozumu. Wszystko na tej świętej drodze będzie zbliżone do niebios, wszystko będzie mówić o wzniosłych, idealnych pierwiastkach życia. O tym, co dźwiga, co krzepi, co napędza otuchą. O tym, co miłość roznieca ku Bogu i ludziom, co wznosi ponad siebie, ponad pył, brud i męty życia ziemi. O tym, co wielkie, co szlachetne i piękne, co technie majestatem prawdy.

Na swej świętej drodze dopiero każdy uczuje się naprawdę tym, czym jest i czym być powinien w obliczu Boga i ludzi. Zrozumie, że mu dana wolność synów bożych i że mu przyznano dar nad dary, o którym pisał z rozrzewnieniem uczeń miłości: „Synaczko... teraz synami bożymi nazywamy się i jesteśmy”! Tam odczuje w swym tętnie królewskie tętno synów Bożych, którzy diadem

chwały wiekuistej włożyli na swe czoła, ulepione z mułu ziemi...

Ludzie tak lubią patrzeć na piękną okolicę, podziwiać cuda natury i sztuki — dokoła siebie. Nie chcą widzieć śmierci...

Czego nie chcą mieć „dokoła siebie”, niechaj unikają także „w sobie”. Niech często wnoszą w swą duszę cuda łaski... Usuwając pospolitość i śmietniska grzechu, niech wkraczają ochoczo na swą „drogę świętą”!

PRZY ŻŁOBKU.

W cichym nastroju grudniowego wieczora pogrążona była świątynia. Samotnie, tajemniczo, w półmroku majaczyły ołtarze. Z jednej tylko kaplicy biła potężna łuna światła. Ogromna lampa, ukryta pod sceną, oświetlała obraz z czasów i krain dalekich:—żłobek betlejemski. Na tle szopki, na tle palm, rysowały się postacie Najśw. Rodziny, pasterzy i królów z darami.

Przy żłobku w kaplicy skupiła się pobożna rzesza ciekawych, przeważnie dzieci. Małe paluszki wysuwały się raz po raz nad głowy patrzących, by wskazać koleżankom czy rodzzeństwu najbardziej charakterystyczne figury: pasterza, dźwigającego barana na plecach, królów w koronach i płaszczach ze złota, psa owczarka, co zdawał się szczekać zajadle na wielbłądy. Najczęściej atoli małe, bystre oczęta biegly ku środkowi sceny, podziwiając wśród cichego szeptu Boskie Dzieciątko w żłobku.

Za oczkami dziecięcymi podążyły oczy moje i serce i dusza, by spocząć przy żłobku Zbawiciela.

Rokrocznie go widuję, tu i tam, w różnych świątyniach. Zawsze nań patrzą z uwielbieniem zachwycone oczy dziecięce, rozradowane

umileniem i czułością spojrzenia kobiet, osnute zadumą i powagą źrenice męskie. Cała ta scena żłobka betlejemskiego, ukołysana śpiewem aniołów, powiewnym szumem ich skrzydeł, ozłocona blaskiem cudownej gwiazdy, rozlewa na dusze widzów—prostaczków i uczonych—jakiś nieopowiedziany czar poezji, płynącej z nieba i ziemi.

Szerokim rzeszom to wystarcza. Widzą poezję, niecodziennosc kontrastów i zjawisk, wspanialosc niebios obok ubóstwa stajenki, królów obok pasterzy, adorujących Boską Dziecinę, i szczęśliwi powracają do domów. Nie szukają przy żłobku nic więcej dla swych serc. Zapelnili oczy cudownym widokiem i dość. O posilniejszy, treściwszy pokarm dla swych dusz, którzyby mogli znaleźć przy żłobku Zbawiciela, zwykle nie dbają. A przecież on tam jest... Złożony wszechmocną prawicą Bożą dla tych, co rozmyślać umieją.

Oprócz bowiem poezji żłobka, tai się jeszcze rzeczywistość żłobka:—Ubóstwo, posunięte do ostateczności, nazywanej nędzą...

Jakżeż biedni, zaiste, byli ci ludzie, którzy w chwili przyjścia na świat dziecięcia, nie mieli dachu nad głową, nie mieli kołyski dla nowonarodzonego, nie posiadali rzeczy najkonieczniejszych, spotykanych nawet u nędzarzy! Gdy się to podziwia, ozłocone blaskami gwiazdy, wówczas tak łatwo zapomnieć o przeciwnej stronie medalu, że ubóstwo takie mu-

siało boleć, musiało być okropnym ciężarem dla serc tych dwojga świętych ludzi. Przecież i oni byli z ciała i krwi, wiedzieli, że chwila narodzin się zbliża i chcieli spocząć bodaj w gospodzie, zajezdnym domu... Ale w domu, po ludzku i w gronie ludzi. Obchodzili całą mieścinę, z jakimże trudem i męką dla brzemiennej Rodzicielki, a nie znalazłszy nigdzie zrozumienia, nigdzie przytułku, zamieszkał tu na noc — bezdomni nędzarze...

Podziwiamy dwoje świętych, adorujących Boskie Dzieciątko, a nie widzimy tych kilkudziesięciu, czy nawet kilkuset snobów bez serca, samolubów bez iskierek ludzkiej litości, dla których brzęk denarów rzymskich zagłuszał wszystko. Pieniądz znaczył dla nich więcej niż człowiek, bliźni, potrzebujący pomocy w takiej chwili. Przecież betlejemscy właściciele domów nie byli ślepi. Widzieli, kto ich prosi o przytułek. Ale jak proszących przyjąć pod swój dach?! To ludzie ubodzy, nie zapłacą za nocleg tyle, ile chciwość umie dyktować!

„Miejsca nie było dla tych trojga!” — stwierdza ewangelista. Nie było miejsca wśród ludzi-potworów, to też Syn Boży udał się w gościnę do szopy bydłowej. I tam znalazł przytułek.

Jak tę scenę łatwo przenieść z wieku pierwszego w wiek dwudziesty chrystianizmu! Dziś każde niemal miasto może być takim

Betlejem, gdzie jedno, dwoje, troje ludzi szuka dla siebie przytułku, noclegu, obuwia, ubrania, pracy, chleba. Szuka serc, umiejących bodaj litość okazać niedoli, jeśli już ich nie stać na wsparcie nędzy. Przecież bezrobotni, bezdomni, żyjący z jałmużny, są tak samo ludźmi, jak wszyscy inni, którzy mają pracę, dach nad głową i swój ciepły kąć rodzinny. Przecież oni, tego wszystkiego pozbawieni, cierpią strasznie, cierpią fizycznie i moralnie, jak robak miażdżony stopą losu.

Podziwiamy, chwalimy pasterzy, a zwłaszcza królów za to, że pośpieszyli do żłobka z darami. Podążyli lży otrzeć z rzes Bogarodzicielki, którą musiało to smucić niewymownie i boleć, tak iż głęboko zachowała w sercu swoim pamięć żłobka w Betlejem i niegościnnność mieszczan. Nie skarżyła się na nich, ani potępiała, ale tym nie mniej przekazała w swych wspomnieniach pod piórem św. Łukasza sam fakt, odzywający się głośnie echem w sercu każdego człowieka. Nie mogli widzieć w niej Bogarodzicy Dziewicy, Bogiem sławionej, to prawda, ale przecież nie Bóg żądał ich pomocy, jak dziś nie żąda pomocy naszej, tylko — i wtedy i dziś — prosi o pomoc człowiek. A człowiek człowiekowi przyjdzie winien z pomocą! Tymczasem betlejemici od mówili.

Zaiste! Przy żłobku jasno widać tę prawdę, że dziś nikt zamożniejszy nie powinien by

wpierw zasiąść do wieczerzy wigilijnej, zanim nie otrze choć jednej łzy sierociej bezdomnych, zapomnianych, opuszczonych. Nikt nie powinien by wpierw zbliżyć się do żłobka, zanim nie usłucha w sercu swym głosu Anioła. Zwiastun niebieski ogłasza radość wielką, ale mówi przy tym o dziecinie, pozbawionej poduszeczki i kołyski. Jakby mówił: „Idźcie do Betlejem, utulcie w płaczu niemowlę, otrzyście łzy matki strapionej, usuńcie smutek bezradnego, biednego Opiekuna. A wtedy w sercach uderzy wam potężny dzwon wesela. Zagra w duszy waszej radosny dzwon „Gloria in excelsis!”

MALUCZKI NARODZIŁ SIĘ NAM...

„Maluczki narodził się nam”!...

Kiedy słyszymy te słowa, przed oczyma naszej duszy jawi się wizja nocy betlejemskiej. Rozlega się radosny śpiew anielskich chórów, okrzyki zdumionych pasterzy, widać blask cudownej gwiazdy nad stajenką. Świadomość niezrównanych tajemnic, jakie się tam rozgrywają, przytłacza myśl, uskrzydla serce. I razem z pasterzami chylą się głowy, zginają kolana w adoracji przed Dzieciątkiem i Matką Jego.

Bóg się rodzi, moc truchleje,

Pan niebiosów — obnażony.

Ogień krzepnie blask ciemnieje,

Ma granice — Nieskończony...

Przedziwny jakiś czar rozlewa się na serca corocznie z tego źródła — przeżywania pamiątki Bożego Narodzenia.

Boże Narodzenie to nie tylko fakt historyczny, który zaszedł przed 19-tu wiekami gdzieś w zapadłym miasteczku Palestyny. Ten fakt trwa na wieki. Dziś już niepodobna wyobrazić sobie świata bez tej maleńkiej Dzieciny w żłobku. Potężne, niewstrzymane niczym źródła łaski i życia wytrysnęły z jej serduszka na świat cały. I odczuły to wszystkie na-

rody. W procesji, niedokończonyj jeszcze, popłynęły ze wszystkich stron do stóp ubożuchnego pacholęcia. Hasło, rzucone przez pastery w ową noc cudu, miało tysiąckrotne echa: „Pójdźmy do Betlejem”! Na serca, które usłuchały tego wezwania, spływała radość wieczna, a z serc, które mu się oparły, wydiera się szloch wiekuisty...

Zwiastując narodzenie Zbawiciela świata, mówił anioł: „Oto dziś narodził się wam w mieście Dawidowym”... Jakie to dawne czasy! A jednak jakże bliskie nam owo „dziś”... Zdaje się, że słyszymy anioła mówiącego do nas: „Oto dziś narodził się wam Zbawiciel świata”! i widzimy Maleńkiego, jak wyciąga do nas rączki z uśmiechem miłości, że Mu Matka-Dziewica przy nas śpiewa:

Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj!...

Uczucie żywej wiary ma moc odsuwania i przybliżania wieków.

Boże Narodzenie to nie tylko fakt historyczny, to także dziś rzeczywistość żywa. Do czego tęskni serce, uczucie, to staje się dziś udziałem naszym. Nie potrzebujemy wędrować hen, w odległe wieki, bo każdego dnia możemy powiedzieć z całą prawdą, powtórzyć te cudowne słowa: „Maluczki narodził się nam”! Ołtarz i patena złocista są dlań złotkiem i siankiem. I wszystko niemal tak się odbywa, jak w ową noc Betlejemu. O północy, wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi z wieżyc podnieb-

nych. I słyhać chóry, które nuca: „Gloria in excelsis Deo”!—Chwała na wysokości Bogu!— I ręce kapłanów, które mają być nieskalane, ramiona św. Józefa, biorą z ołtarza Maleńkiego i podają Go do serc stęsknionych. A On z takim samym do nich upragnieniem śpieszy, jak w objęcia pastuszków i trzech mędrców ze wschodu...

Maluczki więc narodził się nam... i dzisiaj także! Na ołtarzu naszej świątyni, na ołtarzu naszego kościółka, co może niekiedy przypomina stajenkę swym wyglądem, narodzony dla nas spoczywa. „Pójdźmy do Betlejem”! Do domu Bożego Chleba! Gdziekolwiek tylko kapłan nuci swe „Gloria”, tam inauguruje uroczystość Bożego Narodzenia!

Jak umiemy uczuciem i żywą wiarą zbliżyć ku sobie dalekie zdarzenia z przed wieków 19-tu, tak umiejmy wnikać całym sercem, całą duszą w to tak bliskie dla nas, codzienne Boże Narodzenie.

Jaki to wzruszający widok, gdy o szarej godzinie poranku, w półcieniu naw kościoła, w jarzącym blasku światła na ołtarzu, przy cichym wtórze jakby z zaświatów płynącego głosu organów, wznosi się ku niebu Hostia biała. W kornym hołdzie pochylone szeregi wiernych wszelkiego stanu i zawodu, klęcząc witają Boże Dziecię, zamiast pieluszek spowinione w zasłonę opłatka. Widzą światła, słyszą śpiewy, żegnają znikającą noc. A gdy Biją dzwony

odchodzą do domu, zdają się unosić w duszy echo melodii, która osnuła się dokoła żłobka: „Wstańcie pasterze, Bóg się wam rodzi!” Jakóż istotnie... Przed chwilą przeżywali to Boże Narodzenie w swej duszy!

Mogą teraz iść, dokąd tylko zechcą... Do szkoły, do pług, czy warsztatu czy sklepu, mogą się spuścić w głąb ziemi, albo na skrzydłach wzbić się w powietrze, mogą się nużyć i męczyć w huku maszyn po fabrykach, czy też trudzić około pracy codziennej w domowym zaciszu, nic to! W ich duszy dziś święto wielkie: — Boże Narodzenie! W ich sercach drżą tony nieprzebrzmiałe pieśni zaświata, a w tętnie gorącym utrudzonego ich ciała tętni puls żywy — Serca Zbawiciela. Cały dzień towarzyszy im anioł, zwiastun bożych radości i ogłaszać się zdaje: — „Oto dziś się wam narodził Zbawca świata w mieście Dawidowym”.

Wiara nas poucza, że „Maluczki narodził się i nam” i czeka dziś naszego hołdu. Co dzień, co godzina, co pół godziny. Mniej więcej co pół godziny 6.000 kapłanów na stopnie ołtarza wstępuje, by wznieść nad światem Utajonego w Hostii św. To Boże Dziecię przybywa, przynosząc pokój niebiański dla każdej duszy dobrej woli...

O, gdyby tę prawdę wiary chcieli zrozumieć wszyscy katolicy! Gdyby zechcieli usłyszeć ten dla uszu powierzchownych nieuchwy-

ny głos: „Pójdźmy do Betlejem”! Do naszego Betlejem, Domu Chleba bożego, który może tak blisko wznosi swe kamienne mury tuż obok domów naszych. Pasterze betlejemscy natychmiast udali się w drogę, jeden drugiego przynaglając, zachęcając, nie tracąc ani chwili czasu na wahania, odkąd poznali, że Bóg ich woła.

I my poznajmy, zrozumiejmy głębiej tę prawdę podczas tegorocznych świąt Bożego Narodzenia, że „Maluczki narodził się nam”... I dziś... i co dzień... Bez wahania zatem, na wzór pasterzy: — „Pójdźmy do Betleem”!

WŚRÓD NOCNEJ CISZY...

Przyszedł Chrystus Pan w nocy, przyszedł w ciszy...

Zawitał jako światłość na objawienie pogan i jako Głos potężny, co woła na puszczy tego świata.

Światłość o wiele łatwiej ujrzeć można w mrokach nocy, a głos wyraźniej słychać w ciszy... Dlatego zawitał do nas „wśród nocnej ciszy”, oznajmiony śpiewem Aniołów i blaskiem cudownej gwiazdy.

Przybył tak przed wiekami do Betlejem i stale po dziś dzień w ten sposób przybywa do dusz ludzkich. Łaskę i prawdę, chwałę niebios i pokój duszom dobrej woli przynosi i podaje „wśród nocnej ciszy”... Pośród ciemnej nocy świata... W ciszy skupienia i modlitwy.

Zapala więc najpierw światłość w ciemnościach.

Jak niegdyś złobek betlejemski, tak i nas ciemność otacza dokoła. Z mroku nocy człowiek usiłuje wyjść na światło. Duch i cała istota nasza wrywa się do światła. Oko pragnie widzenia, rozum wiedzy. Mimowolnie każdy człowiek czuje, że przez źrenicę oka, a je-

szcze więcej przez zdolność pojmowania i rozumowania wiąże się z otaczającym go światem. Każda nowa myśl, każde wejrzenie i wrażenie, to jakby nowy, idealny sznur, który do małej istoty człowieka dowiązuje coraz to nowe jestestwa. Przez ich wielkość i wielość człowiek urasta, rozszerza swe horyzonty, staje się wielkim. Wychodzi z mroków swego nicestwa, wyzbywa się swej małości. Znajduje wstęp do tych światów, co są poza nim i ściśle z nimi się zespala.

Światło materialne dla oczu i światło rozumowe dla duszy otwiera przed nim tę furtę dalekości, tę bramę sfer nieskończonych. To też nic dziwnego, że człowiek żywiołowo ucieka od mroków, a tęskni do światła. Mrok i ciemność odcinają go od wszystkiego, co poza nim istnieje i pogrążają go w jego osobistej małości. A światłość otwiera przed nim szlaki wielkie i przyodziewa go jakby w majestat człowieczeństwa. W blaskach światła przyrodzonego on poznaje i przyswaja swej duszy tysiące otaczających go przedmiotów. A poznając coraz dalej, coraz szerzej, coraz głębiej, — nawet jako poganin — wychodzi z ciemności do światła wiedzy. Poznaje świat, pojmuje jego przyczyny, i może poznać Przyczynę przyczyn. „Z wielkości bowiem i piękności stworzeń zapomocą porównań można poznać ich Stworzyciela. Jeśli bowiem tak wiele zrozumieć mogli, iż świat zdołali rozu-

mem ogarnąć, jakoż Pana jego nie łatwiej znaleźć?" (Mądr. 13, 5 i 9).

I tak w sercu człowieka, postępującego naprzód poprzez ciemność niewiedomości, wybłyskuje gwiazda cudowna — poznanie Boga. I w głębi jego duszy — Bóg się rodzi.

A jeżeli to się dzieje w mrocznym sercu poganina, to ileż więcej i wspanialej odbywa się ten proces w sercu chrześcijanina-katolika! Prócz gwiazd zwykłych poznania prawd naturalnych, płonie mu i świeci Gwiazda cudowna Objawienia Bożego. Uzupełniają jego wiedzę ludzką wzniosłe hymny chórów anielskich. Nuca i głoszą: „Chwała na wysokości Bogu, a pokój na ziemi ludziom dobrej woli”. I wówczas w jego sercu o wiele uchwytnej, o wiele milej i tkliwiej, bo w postaci maleńkiej Dzieciny, — Bóg się rodzi...

Pośród ciemnej nocy świata...

Ale w mroki naszych dusz i w ciemną noc ludzkości wnika Prawda Boża tylko i jedynie w ciszy... W skupieniu modlitwy...

Serca ludzkie dążąc, umysły ludzkie poznając, ulegają wpływom od zewnątrz i bodźcom ujemnym, różnorodnym. Dziś przede wszystkim umysły te i serca nie mają potrzebnego pokoju, nie mają ciszy... Zewsząd przesładuje ich wrzawa, zgiełk, szum i zamęt. Płacze się tysiące i tysiące spraw, gmatwanina słów i pojęć, chaos ksiąg i przekonań. Serca ludzkie, porwane w wir użycia, — szaleją,

umysły ludzkie, zakrzyczane, zahukane grzmotami najsprzeczniejszych baseł — dochodzą do szału. I wołają zrozpaczone: „Nic nie wiemy, nie się nie dowiemy! — Ignoramus et ignorabimus"! I karci ich Księga ksiąg: „A głupi są wszyscy ludzie, w których nie masz bojaźni bożej. Z tych rzeczy dobrych, które widzą, nie mogli poznać Tego, który jest, ani z rozważania dzieł Jego rozpoznać Stwórcy... Lecz albo ogień, albo wiatr, albo prędkie powietrze, albo okrag gwiazd, albo gwałtowną wodę, albo słońce i księżyc za światowładnych bogów uważali. Jeśli, oczarowani tych stworzeń pięknoscią, uznali je za bogi, to powinni by przecież poznać, o ile wspanialszym jest ich władca, gdyż sprawca piękności to wszystko stworzył. Albo jeśli moc i działalność ich podziwiali, to powinni by byli z nich poznać, iż mocniejszy jest Ten, który je stworzył”... (Mądr. 13, 1—4).

Nie rodzi się Bóg w sercach, mrokiem niewiary opasanych, bo nie ma w nich rozważania, nie ma w nich ciszy, modlitewnego skupienia. Dzień w dzień, od świtu do nocy, mnóstwo sprzecznych wrażeń, pojęć, myśli i poglądów kotłuje się w duszy człowieka. Trzeba ciszy — a tymczasem tłum wrzaskliwych orgii wstrząsa całym jestestwem współczesnego człowieka. Trzeba skupienia — a tymczasem dusze ludzi współczesnych najmniej o nie się starają. Trzeba wyciągnięcia ramion,

stęsknionych ku cudownej Gwieździe Betlejemu — trzeba modlitwy,—a tymczasem człowiek dzisiejszy usiłuje zatracić wszelkie o niej pojęcie...

I dlatego panuje noc ducha, nie ma ciszy...
I Bóg się w sercach nie rodzi...

A SŁOWO CIAŁEM SIĘ STAŁO...

Dzieje ludzkości rozpadają się na dwie doby. W pierwszej wśród tęsknot i poniżenia człowiek wyczekiwał Boga, w drugiej—pośród harf anielskich i uwielbień pastuszych Bóg stanął w gronie ludzi i oczekuje człowieka.

Staął istotnie i prawdziwie. Ówczesna władza polityczna cesarza Augusta wpisała Jego Imię do ksiąg ludności państwa. Tertulian, jak sam świadczy w jednym ze swych dziełek, widział na własne oczy tę księgę, złożoną w archiwum państwowym na Kapitolu, a w niej Imię ziemskie Słowa, które Ciałem się stało i zamieszkało między nami...

Rzeczywista, dotykalna obecność Boga potrzebna jest ludziom podobnie, jak rzeczywista obecność pokarmu i napoju.

Umiera z pragnienia wędrowiec na pustyni, mimo, że tysiąc rzek opływa ziemię w od dali... Kona w konwulsjach głodu więzień sowieckiego reżimu, zakuty w łańcuchy, mimo, że łamą się łany pod obfitością chleba na wolności... W rozpaczach szponach usychają dusze, mimo, że króluje Bóg na wysokościach niebios, ale do niego nie dotarły..

Bóg musi być blisko człowieka, musi mu być fizycznie obecny, niemal fizycznie poda-

ny. Dlatego też Bóg do ludzi się zbliżył, obcował z nimi, dał im swą rzeczywistą, osobistą obecność. Posłał im Słowo swoje z wyżyn Majestatu, przyobleczone w szaty padofu.

„Rozmaicie i na wiele sposobów mówił dawno Bóg ojcom przez proroków. Na koniec w te dni mówił do nas przez Syna, którego postanowił dziedzicem wszystkiego, przez którego uczynił i wieki. On jasnością Jego chwalił, wyrażeniem Istności Jego, nosi wszystko słowem mocy swej” (Żyd. 1, 1—3).

Patriarchowie, Mojżesz, prorocy — to tylko echo Słowa Bożego. Syn, gdy mówić przyszedł do nas, zwrócił się ze słowem mocy swej... I odkrzyknęły Mu natychmiast potężnie rozradowane, przezeń uczynione, wieki. I widzieliśmy chwałę Jego, chwałę, jaką ma Jednorodzony od Ojca, pełen łaski i prawdy. Łaski i prawdy nie tylko w osobie Bóstwa... On łaski pełen i chwały w swej ludzkiej naturze.

Nic nie uronił z istotnych przymiotów ludzkich. Zjawił się pośród ludzi, jako człowiek prawdziwy. We wszystkim chciał nam być podobny oprócz grzechu. Przychodząc do ludzi z ciała złożonych, przyjął ciało prawdziwe, przychodząc do upadłych, przyjął ciało upadłe, wyzbyte rajskich darów nieśmiertelności. Podlegał ubóstwu, cierpieniom, śmierci.

Twórca wiecznej religii duchów nie wzgardził ciałem. Nie uznał go za element grzechu, jak twórcy różnych wiar i domorosłych koś-

ciółów. Bez wstępu i pogardy nawiedził swą dziecięcą, niepokalaną stopką dziewicze sanktuarium łona swej Matki. Jako Stwórca natury stworzył ciało, jako Twórca religii — uczcił je i uświęcił. To też śpiewa o Nim Kościół w hymnie triumfalnym „Te Deum”: — Non horruisti Virginis uterum...

Sławi Go za to Kościół po całym świecie, kochają pokolenia ludzkie. Wychodząc same z lepianki ciała ku wawrzynom niebios, idą rozmiłowane w ciele aż do zachwytu, aż do perwersji. Od czasu bogów Nilu i Babilonu, od czasów obudzenia się sztuki greckiej aż do Michała Anioła i poza jego grób zarówno marmur, jak i pędzel nic innego nie uwieczniały, tylko ciało. Tak pięknym i pożądanym wydało się ludziom ciało ludzkie, że nie dość im było ciał rzeczywistych. Stworzyli ludzkość nową — ciał idealnych na płótnie i w rzeźbie.

To też i Bóg dla zbawienia ludzi — przyjął ciało.

Zstąpił z wyżyn majestatu i jak równy do równych, jak brat kochający do braci serdecznych, przemówił widzialny, z bliska. Z tak bliska, że można było bezkarnie dotknąć rąbka Jego szaty całodzianej. Przemówił całym sobą, wstrząsająco... Głosem, gestem, wejrzeniem, łzami, krwią... Zbliżył się pełen łaskowości do wszystkich i „zajaśniała ludzkość Zbawiciela naszego Boga” (św. Paweł). Nikogo nie wykluczał ze swej dobroci bez granic.

Swą boską prawicę podał do uścisku trędotnym, łagodne słowo przebaczenia — Marii z Magdali i łotrowi na krzyżu, pocałunek swych ust dał Judaszowi, a wszystkim wiekom i ludom swoją Krew i Ciało przeznaczył na pokarm.

Słowo zamieszkało między nami w ciele ludzkim Chrystusa. I widzieliśmy Jego chwałę, chwałę boską.

Oto bowiem dziecięciem był w żłóbku, lecz aniołowie nucili Mu hymny uwielbień. Kwilił na sianku w niemocy, ale niebiosa poruszyły gwiazdę, by do Jego kołyski przywołała królów, odsłaniając im tajemnicę Bóstwa. Ciche pachole równocześnie ciosał bierwiona w Nazarecie i nauczał w Jeruzalem mędrców narodu uczonych w piśmie. Przyjmował chrzest z rąk Jana, jak człowiek grzechami skalany, lecz Ojciec niebieski oznajmił o Nim: „Oto Syn mój najmilszy, w Nim upodobałem sobie”. Trapił się postem na pustkowiach gór Judei, kuszony po trzykroć, lecz „aniołowie przystąpili i służyli Mu”. Zasypiał na łódce piotrowej, snem i trudem upalnych dni zmożony, lecz za chwilę pełen mocy uciszał bałwany morza. Złość i zawiść okrzyknęła Go winnym śmierci i godnym hańby, nad którą większej nie znają dzieje, lecz nawet sędzia sceptyk uznał Go niewinnym. Jak ostatni zbrodniarz umarł na krzyżu, lecz oburzona przyroda przyoblekła kir żałoby. Skała podarła swą pierś

twardą pod stopami przebitymi Stwórcy. Słońce i księżyc, przejęte zgrozą, biorą na twarz zaslonę, podczas, gdy zasłona Świętego Świętych rozdarła się w świątyni... Razem z Sercem Jezusowym, włócznią przebodzionym...

Straszne to godziny, kiedy aniołowie milczą, a głazy i groby wołają.

Chwała umarłego Ciała Bożego...

Zaiste—mówił drżący setnik — On był Synem Bożym. A to samo mówiły martwe głazy i niebiosa.

Tak więc pierwsza doba dziejów zakończyła się na Golgocie. Człowiek oczekiwał Boga i zamordował Oczekiwanego...

Ale wówczas rozpoczęła się druga doba dziejów ludzkich. Bóg zabity w ciele podejmuje na nowo ciało ludzkie, tylko już chwalebne. Wkracza w narody, idzie poprzez wieki i — oczekuje serc ludzkich.

Serc istot, pogrążonych w ciele.

BÓG SIĘ RODZI...

W tysiącach obrazów, obrazków i szopek oglądamy rok rocznie Boże Narodzenie. I przyzwyczailiśmy się w maleńkim, a ślicznym Dzieciątku Jezus widzieć tylko dzieciątko, dzieciny ludzkie.

Maleńki, czarujący człowiek oto spoczywa na sianku, w żłóbku betlejemskim. Człowieczeństwem swym bezbronnym pociąga i zniewala serca nasze. Takim Go przedstawia malarstwo i rzeźba — podkreślając w Jego Osobie człowieczeństwo. Takim opiewa Go poezja prawie wszystkich naszych kolęd. Tylko nieliczne spośród nich uderzają w najwyższy ton wiary: „Bóg się rodzi”.

Tak, „Bóg się rodzi”! — Często bowiem zapatrzeni w słodkie rysy Dziecięcia Najśw. Maryi Panny, zapominamy o Synu Boga żywego. A przecież w postaci tego Dzieciątka nawiedza ziemię Pan i Bóg nieskończonego Majestatu.

Ten Sam, o którym ewangelista powie: „Na początku było Słowo, a Słowo to było u Boga, a Bogiem było to słowo”. Ten Sam, który wyznał o sobie jawnie: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy... kto mnie widzi, widzi i Ojca”. Ten Sam, o którym przed wielu wiekami gło-

sili prorocy: „Oto Panna pocznie i porodzi Syna i nazwą Imię Jego Emanuel, to znaczy Bóg z nami... I będzie Imię Jego — Przedziwny, Bóg, Mocny, Ojciec przyszłego wieku, Książę pokoju”. Ten Sam, na którego współczesni Mu „żydzi porwali kamienie, aby Go ukamienować, ponieważ ty będąc człowiekiem, czynisz się sam Bogiem” (Jan X, 30). A gdy im kamienie z rąk wypadły, porwali za miecz krzyża. Zasadzili Go i zabili na Golgocie nie za co innego, tylko za to, że się „czynił Synem Bożym”.

Zaprawdę, święcimy przy żłóbku „Boże” Narodzenie. Nie na człowieka czekał świat kilka tysiącleci, bo wiele w tym czasie ludzi się narodziło. I nie na wielkiego mędrca, ani króla czekały pokolenia ludzkie, bo wielu mędrców i królów wydały ze siebie i płakać musiały na ich pustą mądrość, na ich nędzne rządy. Ani na geniusza oczekiwała ludzkość upadła, bo geniusz choćby nie wiem jak genialny nie ogarnie swym rozumem potrzeb wszystkich pokoleń, co są, były i będą. Ludzkość upadła, grzechem uciemżona, z utęsknieniem wyglądała, kiedy zabłyśnie dzień wyroczny przyjścia na świat Syna Bożego. Ten, który stworzył ród ludzki, musi go Sam przetworzyć na nowo, w jego najmniejszych komórkach, grzechami skażonych. — I On sam przyjść musi, jak zresztą zapowiedział pierwszym rodzicom w raju... Aż wreszcie przyszedł na zie-

mię i zakwilił w pieluszkach... Tym słodszy, tym miłszy, tym bardziej ukochany — ale to nie człowiek tylko „Bóg się rodzi”!

Kiedy maleńki Jezus przychodził na ziemię, zastał na niej pełno bogów i bogiń. Wprawdzie Jeruzalem i Ziemia św. wolna była od ich posągów, ale wszystkie miasta Rzymu i Hellady, Egiptu i Azji zaludniał tłum „boskich” figur i rzeźb. W umysłach ludzkich istniało zrozumienie, w sercach ludzkich było mieszkanie dla bóstw fałszywych, ale dla prawdziwego Boga w ciele ludzkim „miejsca nie było w gospodarstwie”. Syn Boży nie znalazł pełnego dla Siebie zrozumienia. Ludzie przyzwyczaili się „bawić” bożkami, niewiele troszcząc się o to, by się „zbawić”. A zbawienie przynieść mógł tylko prawdziwy Bóg, współlistotny Ojcu — Syn Boży.

On, który choć pełen niemocy w żłóbku, jednak prowadzi po błękitach nieba gwiazdę cudowną i gwiazdy. On, który choć skrepowany pieluszkami, rządzi wszystkim i wszystko utrzymuje w istnieniu. Jego maleńkie, prawie bezwładne rączki, dźwigają wszechświat nad otchłanią nicestwa, utwierdzają ziemię i niebo. Jego słodkie oczęta swym wejrzeniem obejmują wszechstworzenie, przenikają do tajników dusz i sumień, przepatrują mroki przeszłych i przyszłych pokoleń. Różowe usteczka Dziecinny tają w sobie słowa Mądrości wie-

kuistej. Jednym słowem, Dziecię, w żłóbku jest żywym i prawdziwym Bogiem.

Jego to przyjścia oczekiwała ziemia wówczas, i dziś oczekuje. Ziemia cała, wszystkie narody i każdy człowiek — oczekują Boga żywego.

Zagarnia nas olbrzymia machina świata. Tysiące kół w niej i kółek, miliony śrubek, pasów, połączeń, cewek. Maszyna ta wiecznie w ruchu, nie zna spoczynku. A świat ludzki tak od początku skłonny do odchylenia od jednolitego pionu! Tak łatwo w nim rozluźnia się tu cewka leniwa, tam śrubka nie dość dopasowana, gdzie indziej kółko złamane odpada. A maszyna w ruchu... Stale naprzód dąży nurt życia. Ileż katastrof grozi takiej maszynie! Jak przedziwnie mądra ręka kieruje nią i prowadzi!

Gdzieś od wewnętrznych, zatajonych komór ludzkości puszcza w ruch maszynę ludzkich stosunków Moc Boża. Nikt nie widzi jej twórczej, zabiegliwej, troskliwej pracy. A jednak nad maszyną tą Bóg pracuje w każdym momencie. I jednego tylko chce, aby z wewnętrzną Jego działalnością, z wewnętrznymi planami Jego uzgodniona została zewnętrzna, powierzchowna praca: ludzi dla samych ludzi.

W miarę rozrostu pokoleń ludzkich i stosunków na całym świecie, myśl ludzka staje bezradna. Nie umie się zorientować w cało-

kształcie zagadnień. Jak za dni Augusta trzeszczały wytracone ze swych miejsc ludzkie cewki i śrubki starożytnego świata, a rozumy ludzkie stawały wobec nich bezsilne, tak samo dzieje się dziś. Starożytny chaos stosunków ludzkich powtarza się w czasach nowych, tylko w dziesięciokrotnej potędze. Wysilają się bezskutecznie rozumy ludzkie, jak podkręcać wypadłe cewki, rozluźnione śrubki ludzkich stosunków, kiedy dwumiliardowa maszyna przecież nie stoi, lecz jest stale w biegu, i to w biegu wprost szalonym?

Ręce ludzkie opadają. Rozumy ludzkie się kończą. Potrzeba rozumu Boga Człowieka. I oto „Bóg się rodzi”.

